

Copyright © by Ewa Ostrowska
Edycja © Copyright by Skrzat, Kraków 2008
Redakcja: Joanna Skóra
Korekta: Łukasz Libiszewski
Projekt okładki: Łukasz Libiszewski
Skład: Aleksandra Kowal

ISBN 978-83-7437-252-7

Wydanie II poprawione

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski 31-202 Kraków, ul. Prądnicka
77 tel. (012) 414 28 51 wydawnictwo- skrzat.com.pl
Odwiedź naszą księgarnię internetową: www.skrzat.com.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Iluminacja zbliżała się godzina, w której martwy przedmiot, czyli telefon, ożyje, stanie się jego oddechem i głosem modulowanym ciepło i przyjaźnie. Głosem pełnym troski i łagodnej perswazji. „Jak długo jeszcze? Nie zwlekaj. To przecież proste. Na co czekasz? Nie obawiaj się, nie lękaj. Chcę ci pomóc. Wyzwolić”.
Dobry, łagodnie brzmiący głos. Cichy oddech. Jakby nie dzieliła ich żadna odległość, jakby Karol znajdował się tuż obok, głowa przy głowie, policzek przy policzku. Czują ciepło oddechu byłego męża na swojej szyi: „Mówię do ciebie, Anno. Wiem, jak bardzo się męczysz. Na co więc czekasz? Nie opieraj się. Nie walcz sama ze sobą. Zrób to, a będziesz wolna. To nie boli. Czy słuchasz mnie, Anno?”.
Cichy głos szmerła: „To nie boli. Zrób to wreszcie. Teraz, Anno, słyszysz? Teraz”.
Nikły trzask odkładanej słuchawki. Cisza. Ulica za oknem ze swoim nieustannym

poszumem zamierała. Cisza. Lecz już za sekundę telefon wybuchł krzykiem: „Na co czekasz?! Nie bój się! Dlaczego tu jeszcze stoisz?”.

Zmieniał taktykę. Nie prosił, nie perswadował, lecz nakażywał i żądał: „Tyle razy powtarzałem ci, co masz zrobić! Rusz się! Idź do kuchni. Otwórz gaz. Wszystkie cztery palniki. Po-tem wróć do pokoju. Połóż się na tapczanie. Przykryj nogi ko-cem. I zaśnij. Sen nie boli. Przyniesie ci ulgę. Zaśniesz i zosta-niesz wyzwolona. Od swoich koszmarów, urojeń, obsesji. Od cierpień, na które nie ma lekarstwa. Słyszysz mnie? Nie od-wlekaj tej chwili! Idź do kuchni!”.

Lśniący czarną politurą, martwy przedmiot groził, chociaż słuchawka spoczywała na widełkach: „Szybko! Szybko, Anno. Otwórz gaz!”.

Początkowo Karol dzwonił trzy razy dziennie z punktual-nością zegarynki. Pierwszy telefon — godzina ósma rano. Drugi — godzina piętnasta. Trzeci — godzina dwudziesta. Mogłaby według telefonów Karola regulować zegarek. Dzień po dniu — trzy razy. Usiłowała bronić się przed tą szepczącą lub krzyczącą słuchawką, przed głosem Karola i przed jego oddechem, ale bez powodzenia. Wychodziła z domu rano, włóczyła się po mieście cały dzień, aż nogi odmawiały posłu-szeństwa. Lecz gdy wskazówki zegarka zbliżały się do okre-słonej godziny, słyszała ten głos i czuła ten oddech niezależnie od miejsca, w jakim się znajdowała. Wtedy zaczynała wierzyć, że to jednak urojenia.

— To typowe objawy pani choroby — powtarzała lekarka, poważnie zaniepokojona pogarszającym się stanem swojej stałej pacjentki. Zawsze cierpliwie pozwalała jej wyrzucić z siebie bezładny potok słów. Usiłowała pocieszać, że w koń-cu amitriptylina wraz z haloperidolem pomogą i urojenia miną.

— Tak, tak, miną, oczywiście — Anna przytakiwała po-tulnie, myśląc o swojej złudnej nadziei, która kazała jej przez moment uwierzyć, że u lekarki spotka się ze zrozumieniem. Nadzieja mijała wraz z pierwszym zdaniem, że trzy razy dziennie otrzymuje telefony od Karola. Słszy jego głos, nakazujący lub proszący zawsze o to samo, że ma iść do kuchni i otworzyć gaz. „Boże, po co tu przyszłam. Przecież wszystko, o czym mówię, potwierdza tylko diagnozę. Nikt mi nie uwierzy, nigdy. Czego się spodziewałam? Cudu? Czemu jej opowiadałam za każdym razem o telefonach Karola? Ona mi nie wierzy. Mówi mi, że to typowe objawy choroby. Sama za-czynam wątpić. Bo jeśli to rzeczywiście urojenia? Boże, i zno-wu wszystkie drogi są ślepe, wszystkie ulice to ciemne tune-le, i wszystko znowu zaprowadzi mnie tam, skąd niedawno wyszłam — do szpitala psychiatrycznego. I nadal każde dzia-łanie Karola, wymierzone przeciwko mnie, w interpretacji lekarzy stanie się nieodwołalnie jeszcze jednym symptomem mojej choroby, charakterystycznym dla depresji prześladow-czo-maniakalnej”.

— To na pewno wkrótce minie — lekarka pogłaskała Annę po policzku — niech więc pani tak się nie przejmuje tymi tele-fonami. Musi pani pamiętać, że choroba została zaledwie po-wstrzymana, a nie jest wyleczona całkowicie. Zwolnienie pani ze szpitala było zabiegiem profilaktycznym, wliczonym w te-rapię. Chociaż może rzeczywiście...? — lekarka taktownie nie dokończyła zdania, lecz Anna zrozumiała niedomówienie. Może rzeczywiście zwolnienie ze szpitala było błędem me-dycznym i pochopną decyzją? Anna jednak zaprzeczyła gwał-townie i namiętnie:

— Nie! Czuję się świetnie, zaś te głosy, te telefony? One nie są w stanie mnie zastraszyć, poradzę sobie z nimi!

Lekarka dotknęła uspakajająco dłoni Anny.

— Wszyscy wierzymy, że przetrzyma pani tę próbę sił. Powiem więcej: wierzymy, że w końcu pani wyzdrowieje całkowicie. To doskonale, że pani walczy. Trzeba walczyć i się nie poddawać. Proszę jak najwięcej spacerować. Dwa razy dziennie chodzić do kina. Proszę wreszcie zacząć stać się o pracę. Praca to najlepsze lekarstwo. Proszę również... — ciągnęła lekarka, lecz Anna już nie słuchała. Karol miał rację. To wszystko było bez sensu. Po co się męczyć? To proste. Pójść do kuchni, otworzyć gaz... I odtąd wyzwolona, spokojna.

— No, droga pani Anno, głowa do góry — uśmiechnęła się serdecznie lekarka i Annę ta serdeczność wzruszyła do łez.

Od momentu opuszczenia szpitala, pozbawiona nawet Dominiki, jedynej osoby, która ją kochała i która potrafiła ją pocieszyć, izolowana w nowym, obcym dla siebie otoczeniu, w tej koszmarnej kamienicy komunalnej, gdzie wszyscy pa-trzyli na nią z odrazą, niechęcią oraz wścibską ciekawością, zamknięta w nowym mieszkaniu, pozostawiona sam na sam z telefonami Karola, jego głosem i oddechem, dzień po dniu, noc po nocy, sama ze swoim strachem, przeżywała uśmiech lekarki jak objawienie. Rozpłakała się.

— Pani Anno, droga moja, proszę nie płakać — mówiła wciąż z uśmiechem lekarka.

Nagle Annę olśniła myśl, tak prosta w swoim założeniu, tak zwyczajna, że, nie panując nad głosem, Anna krzyknęła:

— Magnetofon! Proszę mi pożyczyć lub wystarać się o magnetofon! Ja nagram! Rozumie pani? Nagram te głosy, te szep-ty, oddechy! Ja nagram! Błagam, niech mi pani pomoże! Przy-tnaję, że tamto wszystko przed szpitalem było, musiało być urojeniem, lecz teraz! Teraz ja nagram! Rozumie pani? Na-gram! Nagram!

— Zaraz dam pani zastrzyk. Spokojnie, Anno, spokojnie...

— Magnetofon — powiedziała Anna już cicho, beznadziej-nie, wiedząc, że przegrała. Gorączkowe podniecenie opadło. Anna przygarbiła się. Było jej wszystko jedno: zastrzyk, ka-rtan bezpieczeństwa, znowu szpital. Oczywiście lekarka miała rację. To bzdura żądać magnetofonu. Telefony od Karola są urojeniami. Przecież owa granica między światem realnym a urojonym dawno uległa zniszczeniu, więc walczyć nie ma o co, pozostaje wykonać to, czego żąda głos Karola. Nic po-nadto. Nic więcej.

Bardzo mnie pani zaniepokoiła — powiedziała lekar-ka — Zadzwoń do pani dzisiaj, zaś o reszcie... O reszcie zadecydujemy podczas kolejnej wizyty. Nie wolno pani się poddawać. Obiecuję mi to pani?

Anna kiwnęła głową. Magnetofon. Cóż za pomysł! Czy nie lepiej zaprosić kogokolwiek z sąsiadów na określoną go-dzinę, w której dzwonił Karol? Miałaby świadka... Świadka czego? Bo jeśli dzwoni, ale głos w mojej głowie? Ostatecznie choroba jest faktem stwierdzonym przez zespół specjali-stów. Zdawała sobie przecież sprawę — jeszcze zdawała — że jest chora. Może byłoby znacznie lepiej, gdyby depresja przyjęła formę bardziej brutalną, odebrała resztki świado-mości, jakie jej pozostały? Może wtedy nie cierpiałyby aż tak?

— Będę do pani dzwoniła codziennie — obiecała z troską lekarka.

Anna nie odpowiedziała. Wyszła z gabinetu bez słowa. Musiała całą siłę woli skupić, aby pokonać nagły bezwład nóg i rąk. Stała bezradnie przy krawężniku ulicy. Jak długo tam tkwiła? Godzinę? Dwie? Trzy? Nie pamiętała. Nie pamiętała również, jak znalazła się we własnym pokoju, leżąc na tapczanie? A może w ogóle nigdzie nie wychodziła i przeżyła jedno urojenie więcej? Może tak leżała w ubraniu, w pantoflach od paru dni? Wszystko stało się obojętne, nawet dźwięk telefonu, głos Karola i jego oddech. Zrobiłaby to, co jej nakazywał ten głos, lecz była tak bardzo, tak straszliwie znużona. „Nie od-wlekaj, otwórz gaz, wyzwól się”. Pragnęła się wyzwolić ostatecznie, ponieważ to znużenie było też cierpieniem. Kilka razy wstawała, dochodziła do drzwi, mój Boże, mój Boże, tak daleko do kuchni, więc wracała na tapczan. Wreszcie udało się pokonać tę drogę, odkręciła gaz, myśląc, że kurki ważą kilo-gramy. Przymknęła oczy i czekała. Na sen. Jednak nie nad-chodził. Niecierpliwiła się, tak długo czekać? Za oknem ulica była zupełnie wyciszona. I nagle w tę doskonałą ciszę wdarł się pisk hamulców. Potem przeciął ją wysoki krzyk dziecka. I ulica rozszalała się ludzkimi głosami. Ulica krzyczała: żyć!

— Nie, nie chcę! — pomyślała Anna, podbiegła do okna, otworzyła je na całą szerokość. W dole, na jezdni auto stało w poprzek, zaś tłum ludzi zwarł się ciasno wokół czegoś, co teraz już było tylko jaskrawą plamą — po prostu kobietą w błękitnym kostiumie, haftowanym w czerwone maki. „Jakże ja-skrawa ich czerwień!”. Anna przymknęła oczy, zawrót głowy minął, a kiedy spojrzała raz jeszcze na rozkrzyczaną ulicę — pojęła: to nie był haft w maki na błękitnym kostiumie, ale krew. Gdzie dziecko? Przecież słyszała krzyk dziecka. Szuka-ła długo w tłumie, zanim je dostrzegła — klęczące przy błękitnej plamie w czerwone maki.

Przechylając się przez parapet, krzyknęła: „Dziecko! Zabierzcie dziecko!”. Ale zwarty, wciąż powiększający się tłum atakował wolną przestrzeń dokoła leżącej, ścieśniał się, napierał, gestykulował, wrzeszczał, zaglą-dał w twarz zabitej i nagle Anna zobaczyła ten tłum tu, w swoim pokoju, przy swoim tapczanie, na którym przed chwilą oczekiwała na sen wybawienia. Zobaczyła wulgarny, czarny pieprzyk przy pomarańczowych ustach ekspedientki ze skle-pu spożywczego, obwisłą, zawsze obślinioną dolną wargę do-zorczyni i krogulczy nos jaśniepani Nowakowej.

— Nie — powiedziała. — Nie!

Zacisnęła dłonie na parapecie w proteście: „Nie, nie chcę!”. Ekspedientka ze spożywczego pochylała się nad błękitną plamą kobiety, zaś dozorczyni, która widocznie spóźniła się na początek widowiska, potężnymi wyrzutami tegich ramion forsowała właśnie tłum, przebijając się do pierwszej linii wi-dzów.

— Nie! — krzyknęła Anna. — Nie! Nie! — powtarzała, wie-trząc mieszkanie.

— Karol — powiedziała, gdy zadzwonił. — Nie zrobię tego. Nie licz na to.

Roześmiał się w odpowiedzi.

— Ależ tak, droga Anno, zrobisz to, kochanie.

— Nie jesteś urojeniem. Jesteś głosem realnego człowieka, mojego męża, Karola — odpowiedziała. — Mogę cię nawet na-grać. Ten twój głos. Twoje słowa.

— Więc nagraj — roześmiał się ponownie — ale pamiętaj

0 Dominice. Jest stara, a stare kobiety mogą umrzeć szybko

1 na cokolwiek.

— Nie odważysz się — powiedziała. Śmiał się długo.

— Nie boję się nikogo ani niczego, przecież o tym doskonale wiesz, kochanie. Jestem bezkarny. Jestem ponad, ale mimo wszystko szkoda by mi było Dominiki. Stara poczciwi-na, prymitywna, ufna. Kocha ciebie, Anno, kocha bardzo. Jak rodzoną córkę, której nigdy nie urodziła. Więc proszę, nagraj. Czy wiesz jednak na pewno, że mój głos nie jest wytworem twojej chorej psychiki? Nagraj. Masz odwagę, żeby to sprawdzić?

— Poinformowałam lekarkę o twoich telefonach...

Roześmiał się. Miała dość tego szyderczego, pewnego siebie śmiechu, traciła poczucie rzeczywistości. Słyszy Karola naprawdę czy tylko wyobraża sobie, że słyszy?

— To świetnie, Anno. Dla mnie, nie dla ciebie — śmiał się głos męża. — Opowiedz również swojej pani doktor o Domini-ce, że cię nią szantażuję. Opowiedz, kochana, koniecznie. Mnie ostatecznie wszystko jedno, czy popełnisz samobójstwo, czy znikniesz w zakładzie psychiatrycznym na oddziale bez-nadziejnych przypadków. Mnie chodzi o to, żebyś zniknęła na zawsze. Zbyt dużo o mnie wiesz albo domyślasz się, zresztą teraz to już nie ma znaczenia...

Cisnęła słuchawkę. Znowu chciała umrzeć.

A on zmienił metodę. Nie znała odtąd dnia ani godziny, w której odezwie się telefon. Czasami dzwonił uporczywie co kwadrans, czasami milczał przez kilka dni.

Zrezygnowała z walki, przeliczyła się z siłami. Miał Dominikę. Dobrą, kochaną, ufną. Ufającą nawet jemu i niczego niepodejrzewającą: „Dlaczego, Aniu, rozwodzisz się z nim? Przysięgałeś mu przed Bogiem. Grzech łamać przysięgę. Przecież on dobry, bogaty. Nie męcz go. Chora jesteś, nie rozumiesz więc, że źle postępujesz. Obrażasz Pana Boga i męża”.

Poczciwa, najlepsza, kochająca Dominika. Przywiązała się w swojej poczciwości nawet do Karola. Dla niej wszyscy ludzie byli uczciwi i porządni. Karol rozegrał swoją partię tak, że prostoduszna Dominika zagubiła się zupełnie. Kto zresztą wiedział, jak było naprawdę? Karol jest mistrzem mistyfikacji. Bezkarny. Ponad. Walczyć przeciwko niemu? Przecież walczyła i osaczył ją, a potem zniszczył. Za dużo o nim wiedziała i dlatego stała się niewygodnym świadkiem. Każdy, kto Karolowi zagrażał w jakikolwiek sposób, ponosił karę, choćby Tadeusz i jego żona, ta biedaczka Krystyna. A Róża? Kim był Róża? Ktoś z przeszłości, kogo Karol zniszczył.

Tak. Bezkarny i ponad.

Więc już więcej nie opowiadała lekarce o telefonach ani o groźbach Karola, co zrobi z Dominiką, gdyby odważyła się nagrać rozmowy. „Stare kobiety mogą umrzeć szybko i na co-kolwiek”. Dominika skończyła siedemdziesiąt pięć lat i jest stara.

— Telefony ustały — skłamała lekarce, zaś lekarka ucie-szyła się:

— To świetnie, pani Anno. Bałam się, że trzeba będzie pa-nią znowu hospitalizować. Jednak nie podoba mi się, że pani tak bardzo zeszczuła. Wygląda pani okropnie. Czy nie ma pani nikogo bliskiego, kto by z panią zamieszkał, zaopiekował się?

— Nie mam — odparła niechętnie Anna. Nie lubiła się przyznawać do swojej samotności. — Nikogo — dodała po chwili milczenia.

— No, aż tak źle na pewno nie jest — zbagatelizowała lekarka. — Musi pani po prostu odnowić dawne kontakty towarzyskie. Teraz, szczególnie teraz, nie powinna być pani sama. Może mąż coś poradzi? Zadzwoń do niego.

Niech pani tego nie robi! — krzyknęła Anna. — Oczywiście, przesadzam — dodała pospiesznie. — Mam rodzinę. Mam ciotkę, napiszę do niej, niech przyjedzie, ale zawiadomić mojego męża? Nie! Błagam panią!

Wyszła zrozpaczona, nie ufając zapewnieniom lekarki, że nie zawiadomi Karola. Teraz do wszystkich poprzednich lęków dołączył strach o Dominikę. Chociaż tłumaczyła sobie, że to ze strony Karola zwykły szantaż, niewiele ją to uspakało.

— Masz mnie — powiedziała Karolowi, gdy zadzwonił. — Zrobię, co każeś. Tylko oszczędź Dominikę.

Roześmiał się. Ostatnio podczas rozmów telefonicznych lubił się śmiać. Wiedział, że jego śmiech wzbudza w niej paniczny strach.

— Aż tak bardzo zależy ci na tej starej? — bardziej stwierdził niż zapytał, czym przeraził Annę ostatecznie. Karol jest rzeczywiście bezkarny i ponad. Nikt nigdy nie dał wiary jej słowom. Wszystko, co kiedykolwiek wypowiedziała na swoją obronę, Karol ze zręcznością wytrawnego pokerzysty wykorzystywał przeciwko niej. Niedawno powróciła z leczenia. Sądziła, że jest już wolna. Przez kilka miesięcy żyła w tym mieszkaniu, które jej tak wspaniałomyślnie ofiarował Karol, szaloną nadzieją, że jest wolna nie tylko od choroby, ale przede wszystkim od niego. Trzeciego dnia zadzwonił telefon. Zrozumiała, że jeszcze raz dała się oszukać, że wspaniałomyślna szlachetność Karola była próbą osaczenia. A teraz posuwa się w swoich żądaniach dalej:

— Posłuchaj mnie, Anno. Dominika jest starą kobietą. Takie stare kobiety umierają z byle głupstwa. Nie stawiaj mi się, kochana. Myśl o Dominice. O tym, że może potknąć się na schodach.

Głos Karola zawsze był łagodny, pieszczotliwy, wyciszony, a jego oddech — gorący i spokojny.

Dziś jeszcze nie dzwonił. Od bladego świtu leżała na tapczanie, wpatrując się w telefon. Co oznajmi dziś głos, co każe uczynić palący oddech? Przez ostatni tydzień rozwodził się na temat Dominiki. „Wszystko zależy wyłącznie od ciebie”, mówił, „Kochasz tę starą, prawda? I ona ciebie kocha. Jej los jest w twoich rękach, pamiętaj”.

Krzyknęła, gdy telefon rozszalał się dzwonkiem. Patrzyła na terkoczący aparat i krzyczała. Pragnęła zakrzyczeć jego dźwięk, lecz telefon dzwonił uparcie, długo i nieprzerwanie.

— Posłuchaj mnie — powiedział bez wstępów. — Właśnie dziś jesteś mi potrzebna. Posłuchaj, jeżeli zachowasz się tak, jak ja sobie życzę, pozwolę Dominice zamieszkać z tobą. Anno, czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Tak — odpowiedziała. — Tak, ale ci nie wierzę.

— I słusznie, Anno, bardzo słusznie. Przygotuj się. Rozgrywam dziś swoją wielką partię i ciebie potrzebuję jako świadka. Poza mną i tobą będzie moja młoda, śliczna żona oraz Smugowie. To będzie takie małe, kameralne przyjęcie. Sami swoi. Cokolwiek się w trakcie tego przyjęcia przydarzy, zachowasz pełne milczenie. Jakby

ci ktoś założył kłódkę na usta.

— Mam dziś umrzeć? — zapytała spokojnie, nawet z poczuciem ulgi. Po raz pierwszy śmiech Karola nie wzbudził w niej lęku. „Więc to dziś... nareszcie”.

— Ty, Anno, być może będziesz żyła — śmiech Karola urwał się, a głos zabrzmiał ostrzegawczo. — Bez żadnych kaźni. Masz przyjść. Czekam. Punktualnie o godzinie ósmej.

*

Odłożył słuchawkę. Był pewien, że ze strony Anny nie grozi mu już najmniejsze niebezpieczeństwo. Anna okaże pełne posłuszeństwo.

Biedaczka — pomyślał i poczuł coś na kształt litości — tak dzielnie i tak niepotrzebnie broniła swojego prawa do normalnego życia. Nawet jeszcze teraz usiłowała się bronić. Nie dał jej żadnej szansy, nigdy takiej nie miała, od początku.

Biedaczka — pomyślał ponownie, lecz już z nagłą złością.

Wzruszył ramionami — ostatecznie sama sobie jest winna. Gdyby nie jej głupi bunt i ta obsesyjna, chorobliwa ciekawość, wręcz wścibstwo, ich życie toczyłoby się ustalonym torem. Do dziś byłiby razem. Zmarnowała sobie życie. Mogła je sobie marnować, jej życie należało do niej, lecz jakim prawem zagrozała jemu? Cóż za upiorny bezsens.

Poczuł w czubkach palców chłód. Ilekroć ogarniała go wściekłość, palce mu drętwiały, tak jakby mu gwałtownie obumierały. Całe życie obrócone zostałyby wniwecz, wysiłek tylu lat zmarnowany, zaprzepaszczone i trzeba by zacząć wszystko od nowa, z niepewnym wynikiem końcowym, nie wiedząc, z której strony spadnie cios. Bo jeżeli to nie Anna? Gdyby umiał się modlić, padłby na kolana, prosząc Boga o tę jedną, jedyną łaskę dla siebie, żeby to właśnie była Anna.

Uderzył z całej siły zdrtwiałymi już zupełnie dłońmi w blat biurka.

— Chcę, żeby to była Anna! To musi być Anna. Nikt inny, tylko ona — powtarzał, waląc pięściami w biurko. Bo kto? Kto go tak osaczał od prawie czterech lat? Kto mu zagroził? Kto go ścigał?

Gotów był darować Annie, ulaskawić swój wyrok wydany na nią, jeżeli to była ona.

Dopóty nie tracił spokoju ani opanowania, dopóki nie ogarnęła go ta przekłeta wątpliwość: a jeśli to nie Anna? Uczucie strachu było mu obce, zaś Anny nie musiał się obawiać. Ona dla niego to żaden przeciwnik, była istotą słabą i nieszkodliwą.

Poza tym została schwyтана w pułapkę. Gra z Anną — bo to nawet nie walka, lecz właśnie gra — dostarczała mu emocji, tak wspaniale się bawił. Wspaniale, ale krótko. Nie przypuszczał, nie pomyślał nawet, że w tej uległej kobiecie drzemią tak niespożyte siły. Nie zamierzała się poddać — nawet szalona, nawet chora.

Cóż za upiorny bezsens — pomyślał znowu. Spojrzał na siniejące, puchnące dłonie, w których nadal nie czuł bólu. — Czasami wydaje mi się, że to nie Anna, ale ja oszalałem i ulegałem halucynacjom.

Niezdarnie manipulując opuchłymi dłońmi, wyjął z kieszeni pęk kluczy i wybrał jeden. Długo trwało, nim udało mu się pokonać martwość palców, włożyć klucz do

zamka w szufladzie, przekręcić i wysunąć. Nie, nie oszalał ani nie ulegał halucynacjom. Były tu, w szufladzie, zapełniały ją wonną obfitością. Ktoś obcy, gdyby przypadkowo natknął się na zgromadzone tu, w większości zasuszone już, kalekie kwiaty róż, pomyślałby, że ma do czynienia ze starzejącym się, roman-tycznym głupcem, który z sentymentalną troskliwością przechowuje „ku pamięci” zwietrzałe dowody przebrzmiałej miłości. Tak, to były dowody. Lecz nie sentymentalizmu, ale dowody czyjegoś działania z premedytacją.

Anny! Anny! — pomyślał.

Umarły dawno temu czas odżywał w tych uschniętych różach. Groził. Ostrzegał. Co za ironia losu: róże, które kochał, róże — idea jego życia, zwróciły się przeciwko niemu. Zapełniały pojemną szufladę, wysuszone, czarne, połama-ne, a szuflada aż dyszała ich namiętym zapachem. Te z ostatnich dni leżały stłoczone byle jak, jedna na drugiej. Ta wczorajsza dopiero zaczynała więdnąć, zachowując swo-ją krwistą czerwień: odmiana Mister Lincoln. Od kilkunastu dni na willę spadała istna lawina róż. Znajdował po dwie, trzy, pięć dziennie, w różnych zakamarkach domu: na werandzie, na schodach, pod drzwiami do salonu, świeże, gorzące czerwiecią, duszące zapachem, który nie chciał umierać.

Zniszczyć — pomyślał — spalić to różane archiwum, pozwolić rozwiać z wiatrem i te karteczki, dołączane do róż (nie tylko miłosne, o nie!), karteczki-wyroki, karteczki-ostrzeże-z tekstem: PAMIĘTAJ O RÓŻY. Kto kazał mu pamiętać o Różach? Kto wywołał upiora Róż? Kto kazał Różę zmartwychwstać i grozić? Anna?

Zapatrzył się w litery, napisane pismem technicznym, z takim natężeniem, jakby zamierzał dostrzec rękę, która je wypisywała. Czy ta ręka należy do Anny? Wydało mu się, że litery „R” i „A” noszą cechy starannego pisma Anny.

Tak, to Anna, nikt inny.

Ale Anna od pół roku mieszka na drugim końcu rozległego miasta i posłusznie podnosi słuchawkę, ilekroć do niej dzwoni, przecież nie mogła się rozdzielić! Uświadamiał sobie od paru dni tę straszliwą dla niego prawdę, że to nie Anna, lecz wolał udawać przed sobą, że nikt inny. Tak było mu łatwiej — zachowywać kamienny spokój twarzy.

Zniszczyć te róże, spalić wraz z karteczkami — pomyślał znowu, ogarnięty paniką. — Tak, lecz jeżeli je zniszczy, wówczas straci jedyny realny dowód, że ostrzeżenia nie są tworem jego chorej od strachu wyobraźni i wówczas zacznie wierzyć w duchy, które ożyły, w upiory z przeszłości — wszystkie, nie tylko Różę, i odtąd strach stanie się jego nieodłącznym towarzyszem i naprawdę zwariuje.

Raz jeszcze spojrzął na złowrogi napis. „R”, „A”, to było jednak pismo Anny. „R” charakterystycznie wychylone do przodu, „A” zbyt opęczniełe, zawsze się śmiał z tego „A” żony, upodabiającego się do „O”.

To Anna.

Odetchnął głęboko, jak człowiek wydobywający się z wodnej topieli. Odzyskał równowagę. Musiał wierzyć, że te karteczki podrzucane wraz z różami są dziełem Anny. Nieważne, że fizycznie Anna jest nieobecna w jego domu. Mogła na przykład, mimo jego zakazu, skontaktować się z Dominiką, a stara spełni każdą prośbę

VOHUCKA BIBLIOTEKA

PUBLICZNA w Krakowie FILIA NR 5 31-949 Kraków, os. Zgody 7 tel. 012 642-16-

Anna. To takie proste.

Kiedyś nie miał żadnych wątpliwości. Uznał bowiem, że Anna uciekła się do szantażu, zamierzając w ten sposób wymusić na nim zgodę na rozwód. Przyszła i ze spokojną twarzą oznajmiła, że żąda rozwodu. Żąda! Ona? Powinna się czuć zażycycona faktem, że jest jego żoną! Uderzył ją mocno, rozkrwawiając usta. Bił, oczekując próśb o przebaczenie, jęków i płaczu. Milczała. Nie prosiła o przebaczenie. Nie jęczała. Ani jedna łza nie stoczyła się po jej pięknie wklęsłym policzku. Bił dopóty, dopóki nie upadła.

— Nigdy, dziwko — zasyczał. — Nigdy.

Głupia dziwka — pomyślał. — Nawet nie domyślasz się, co ci na dziś szykuje... Zaslugujesz na karę. I ją otrzymasz. Dośtałaś rozwód, ale dlatego, że on był mi potrzebny. Twój szantaż był głupi. Nie dam się zastraszyć. Usiłowałaś dotrzeć do mojej tajemnicy. Ta twoja mania szperania, dziwko. Szperałaś i nie udało ci się. Jestem wielki. Jestem ponad. Ponad tym motłochem, nazywanym nie wiadomo dlaczego ludźmi.

Pamiętał mniej więcej, kiedy Annę opanowało maniackalne szperanie. Chyba niedługo po publikacji pracy o transformatorach, co wiązało się z błyskawicznym awansem na wicedyrektora instytutu. Czy to zresztą było ważne kiedy? Ważny był fakt jej obsesyjnych poszukiwań. Zaczęła nieśmiało, od przeglądania kieszeni, korespondencji, od prób podsłuchiwania rozmów telefonicznych, gdyż często słyszał, kończąc rozmowę w gabinecie, słaby trzask odkładanej słuchawki drugiego aparatu w holu. Od dziwnych pytań, które go złościły i na które nie miał zamiaru odpowiadać. Anna nie była od zadawania pytań, ale od posłusznego wykonywania poleceń i zaspokajania zachcianek męża, tak w łóżku, jak i w roli gospodyni domu. Jego domu. Gdzie nic do niej nie należało i do niczego nie posiadała prawa. Nieraz zwracał jej uwagę, żeby przestała. Ale nie. Usiłowała wedrzeć się do jego intymnego życia, naruszając najbardziej sekretne obszary. Sądziła zapewne, że on tego węszenia nie zauważy.

Biedna idiotka! - pomyślał z pogardliwą irytacją.

Spojrzał na napis: PAMIĘTAJ O RÓŻY. „A” oraz „R” na ewno pisała Anna. Idiotka, doigrała się! Kilka razy przyłapał Pone w swoim gabinecie, tym wydzielonym, nienaruszalnym terytorium, którego progu nikomu nie wolno było przekroczyć. W gabinecie, który był jego tabu. Sam tu sprzątał, odkurzał dywan i ścierał kurze. Robił to z przyjemnością, ponieważ to wielkie pomieszczenie osłonięte od światła dziennego ciemnobrązowymi storami, z ogromnym biedermeierowskim biurkiem, klubowymi fotelami ze skóry, podłogą wyłożoną grubym, tłumiącym kroki dywanem, należało wyłącznie do niego. Nie tolerował w nim niczyjej obecności nie tylko dlatego, że na dolnej półce wielkiego, wypełniającego dwie ściany regału spoczywał między stronicami Rozwoju rybołówstwa na terenie dawnego powiatu kaliskiego dowód jego niekaralności i jego władzy, ale po prostu nie życzył sobie dzielić swojego gabinetu z nikim. Lubił rozmyślać tu o doskonałości swojego życia. Dywan tłumił kroki, szczelne story nie przepuszczały światła dziennego, zapalał kinkiety, zasiadał za biurkiem i rządził duchami zmarłych. Tu wracała przeszłość. Żył swoim dawnym, świetnie zaprogramowanym życiem, w którym nie

mógł się doszukać najmniejszego błędu. Tu rosła jego pogarda dla reszty świata. Tu wiedział na pewno, że jest ponad, doskonały i niekaralny. Na regałach wzdłuż ścian stały tysiące książek, których nie kupował po to, by czytać i rozkoszować się lekturą. Trzech tysięczny zbiór był tylko zabezpieczeniem jego tajemnicy, ukrytej w Rozwoju rybołówstwa. Tajemnicy, z którą nie chciał się rozstawać, czerpiąc z niebezpiecznego faktu jej przetrzymywania tyle emocji i samozadowolenia. Dla niej zbudował te regały, dla niej kupował masami książki, dla niej była cała ta dekoracja: trzy tysiące woluminów. Szansa trafienia jego tajemnicy do niepowołanych rąk równała się praktycznie zeru. Po pierwsze, nikt obcy tu nie wchodził. Nawet, gdyby przypadek zrzucił, że dostałby się tutaj w jakiś sposób, zostałby porażony taką biblioteką! Nawet, gdyby dostał się do gabinetu celowo, coś podejrzewając, to nie szukałby jej w książkach. A jeśli nawet chciałby szukać w książkach, szansa odkrycia była jedna na tysiąc. Kogóż bowiem zainteresuje wydawnictwo tak ściśle specjalistyczne, zaopatrzone w odpychający tytuł Rozwój rybołówstwa na terenie dawnego powiatu kaliskiego?

Tę historyczną cegłę rozmyślnie wstawił między innymi cegłami historycznymi w rodzaju Badania nad owczarstwem niezinnym w wieku osiemnastym czy Podstawy gospodarcze formowania się państw słowiańskich. Tymczasem między stronice Rybołówstwa wkleił cieniutkie stroniczki akt swojej własnej historii. Lubił ją wspominać. Jego wielkość nie znała świadków, nie miała widowni i cierpiał nad tym bardzo. Myślał nawet napisać wspomnienia, żeby dać się poznać, ale kiedyś, nieestety, dopiero po swojej śmierci chciał pokazać jaki był wielki, doskonały i ponad. Kilka razy próbował napisać wstęp.

„Zawsze uważałem, już we wczesnym dzieciństwie, że wybitnie się różnię od swoich rówieśników...” — zaczynał, rozkoszując się tym pierwszym zdaniem, po czym odsuwał notatnik, bo ostatecznie miał jeszcze przed sobą dość czasu, więc zdąży swoje wspomnienia skończyć. Po co się spieszyć? Rozkosz należy przedłużać. Czuł rozkosz, myśląc o swoich dokonaniach.

Czasami zaczynał inaczej: „Wszyscy ludzie, z którymi zetknąłem się dotąd w swoim życiu, to głupcy”. To zdanie również sprawiało mu rozkosz. Chował swoje zapiski starannie w przepastną szufladę biurka, dla siebie, potem dla potomności. Któregoś dnia spostrzegł, że kolejność kartek została naruszona. Ktoś wszedł do jego gabinetu. Ktoś wtargnął w jego myśli. Podglądał je.

Zabiję — pomyślał, ociekając potem.

Spostrzegł również, że zielony mazak leży za mazakiem czerwonym, zamiast za żółtym. Ktoś tu szperał, grzebał,

Może nawet siedział w jego fotelu za biurkiem? Ta myśl Węsa mu się odrażająca, fotel skażony. Długo czyścił poręcz siedzisko, targany mdłościami obrzydzenia.

Kto? Oczywiście Anna. Dominika zbyt ślepo szanowała zakaz swojego WłScodawcy, z daleka omijała drzwi gabinetu, nie odważyłaby dotknąć nawet klamki przy drzwiach. Więc Anna. Na razie nie mógł jej zabić fizycznie, ale karę musiała ponieść.

Złamała zakaz. Naruszyła tabu. Okazała nieposłuszeństwo. Po trafi ją boleśnie ukarać. Tak sobie wtedy postanowił. A to, co postanowił, zawsze spełniał. Myślał zresztą o swojej żonie z pewnym zdumieniem, bo skąd nagle w niej to nieposłuszeństwo? Przez piętnaście lat była całkowicie uległa, całkowicie bierna.

Nie interesował się nią bliżej, rzadko kiedy rozmawiał, bo nie uważał jej za pełnowartościowego człowieka, ot, piękna kobieta, bezrozumna, jak wszystkie zresztą, i niestety konieczna mężczyźnie do zaspokajania potrzeb fizjologicznych. Ani razu nie dała mu powodu do niezadowolenia w ciągu tych piętnastu lat, toteż jej ufał i nie zamykał gabinetu oraz szuflad biurka na klucz. Bez obaw zostawiał korespondencję, papiery, dokumenty. Anna. Cicha, uległa, pokorna, właściwie jakby nieistniejąca. Aż nagle bunt? Najpierw szperanie po kieszeniach, był pedantem, więc natychmiast odkrył, że szpera, następnie podchwytliwe pytania i dziwna dociekliwość. Zupełnie zdumiewające. W końcu zażądała rozwodu. Doprawdy, Anna go zdumiewała. I świetnie bawiła. Niczego o nim nie wiedziała. Niczego nie mogła się dowiedzieć, biedaczka. Już nie obawiał się manii szperania. Ciągłe miał nad nią władzę. Nie pozwolił wyprowadzić się jej ze wspólnej sypialni. Co noc gwałcił zaciskając uda żonę. Odkrył, że gwałt sprawia mu taką rozkosz, jakiej dotąd nie znał z żadną kobietą. Gdy przestała się bronić, leżała pod nim ^Po, niczym worek. Lubił zadawać jej fizyczny ból. Lecz Anna nie reagowała już i na ból. Wymknęła mu się. Szkoda, ^olałby dłuższy opór. Bierność żony pozbawiała go tyłu przyjemności. Szkoda. Za to z zadowoleniem obserwował co-róż bardziej nieprzytomne, jakby szklane oczy i niezborne ru-chy. Jeszcze trochę dręczenia i biedaczka wyląduje w wariat-kowie. Bardzo dobrze.

A jednak czasem niepokoiło go, że Anna z taką rozpaczli-wą namiętnością czegoś szuka, a raczej doszukuje się, nie próbując się nawet maskować i wiedząc, że nocą będzie w jej pochwę wpychać butelkę. Pomyślał, że owo maniackalne po-szukiwanie jest wynikiem postępującej depresji Anny. Idiot-ka! Niech szuka! I tak nic o nim nie wie. Może tyle, że lubi zadawać ból. Specjalnie nie zamykał gabinetu na klucz. Co-dziennie spotykał ślady obecności Anny. Doskonale. Przyj-dzie noc i weźmie odwet sprawiający tyle przyjemności. Więc szukaj, kochanie, szukaj. Któregoś dnia zauważył, że Rozwój rybołówstwa wystaje z równej linii książek. Przerzucając stronicę, na stronie sto trzydziestej spostrzegł plamkę. Gotów był przysiąc, że tej plamki tu nie było. Przestraszył się. A po-tem ogarnęła go wściekłość. Nie potrafił pojąć, w jaki sposób tak doskonała kryjówka, tak długo i tak starannie zaplano-wana, została ujawniona przez istotę na wpół szaloną i w do-datku tak mało inteligentną jak Anna? Może trafiła na Roz-wój rybołówstwa dzięki zwykłemu przypadkowi? Nie znosił przypadków, uważając, że każde działanie i każdy skutek da się zaprogramować z matematyczną dokładnością. Oczywiście nikt, a więc tym bardziej Anna, nie był w stanie dociec sedna jego tajemnicy. Tak, Anna tę książkę wybrała przez przypadek. Po głębszym zastanowieniu postanowił Rozwój rybołówstwa pozostawić na jej stałym miejscu. Nawet jeśli dotarła do jego tajemnicy, nie zdoła zidentyfikować bohatera dokumentów z osobą własnego męża. Nie, nie zdoła. Jednak zacznie ją zastanawiać fakt, dlaczego takie wlepione doku-menty jej mąż przechowuje w Rozwoju rybołówstwa. Doku-menty, które powinny znaleźć się na biurku prokuratora. Jest głupia, to prawda, ale nie aż tak, aby nie wyciągnąć wniosku,

• • mąż przechowuje je dlatego, gdyż dotyczą albo jego ŻG ^ albo kogoś mu bliskiego, kogo ona nie zna. Może lepiej °S0 zczyć książkę wraz z jej kompromitującą zawartością? ZI11SZ nie! Tego nie potrafi! To jedyny dowód, jaki

mu poza-B(Tdowód jego wielkości. Nie po to budował dekoracje, aby Staaż niszczyć tę książkę. Przypadek ma to również do siebie, ^dwa razy się nie zdarza. Dokumenty w Rozwoju rybołówstwa są bezpieczne. Tę książkę i jej podobne cegły skupował sukcesywnie — na wszelki wypadek — w kilku antykwariatach a rachunki przechowywał skrupulatnie. Czy w antykwariacie podczas zakupu kartkuje się książkę dokładnie strona po stronie? Miał prawo nie wiedzieć, że jego nabytek liczy nadprogramowo czterdzieści stron, perfekcyjnie wstawionych między właściwe strony. Pierwsza obca strona do dokumentu szła dopiero za pięćdziesiątą piątą, natomiast tłumaczenie, że zaciekawienie rozwojem rybołówstwa na terenie dawnego powiatu kaliskiego wyczerpała się już po pierwszych dziesięciu stronach lektury nikogo nie zdziwi i powinno brzmieć wiarygodnie. Zainteresowany tematem kupił książkę, lecz prędko się zniechęcił, odstawił na półkę i więcej do niej nie zaglądał. Nie ponosi odpowiedzialności za to, co dalej zawiera Rozwój rybołówstwa. Zdecydowanie nie. Toteż jeżeli Anna powiązała treść dokumentów z jego osobą i ośmieli się go jawnie oskarżyć, i jeżeli znajdzie się ktoś, kto oskarżeniom Anny da wiarę, to wówczas dowodem obciążającym byłby brak Rozwoju rybołówstwa na półce regału.

Poczuł się znacznie pewniej. Oczywiście, wolałby, aby nie grzebano w jego przeszłości. Dla tamtej strony pracował, używając panińskiego nazwiska swojej matki i trudno je skojarzyć z nazwiskiem, jakim się posługiwał oficjalnie, lecz ostrożność nigdy nie zawadzi. Annę też powinien w jej ewentualnych podejrzeniach uspić fakt, że książka tkwi na swoim miejscu. Potrzebował teraz trochę czasu dla siebie. Należało Przemysleć strategię zniszczenia Anny. Przede wszystkim na początek — przestanie się nad nią znęcać. Wyrazi skruchę Stanie się dobry, czuły, troskliwy. Kobiety łatwo nabrać na czułe słówka. A potem...

No cóż. Potem Annę ubezwłasnowolni. Wsadzi do czubków. Cokolwiek by później powiedziała, nikt nie uwierzy osobie na żółtych papierach.

Następnego dnia przyszło pierwsze ostrzeżenie. Kamień nie był duży. Wpadł przez otwarte okno, owinięty w karteczkę. Na karteczce wypisane technicznym pismem krótkie zdanie: PAMIĘTAJ O RÓŻY.

Patrzył teraz na te karteczki, poskładane w szufladzie, na zetlałe i na wciąż jeszcze żywe róże. Róże — groźne memento, róże — budzące potworny strach.

Zasunął szufladę. Nigdy, w najgorszym śnie, nie przypuszczał, że on — doskonały, wielki, ponad — będzie się pocić ze strachu. Był zniszczony. Cokolwiek jeszcze w jego życiu się przydarzy, był zniszczony, ponieważ na zawsze zachowa wspomnienie fali obrzydliwie lepkiego strachu. Ryzykował w swoim życiu po wielokroć, dziesiątki, setki razy, lecz bez strachu, który należał do nieznanego mu emocji.

Myślał o sobie, że przyszedł na świat obdarowany wspaniałym darem, wynoszącym go ponad innych. Pojęcie strachu było mu obce od wczesnego dzieciństwa. Dlatego lubił przyglądać się tym, którzy się bali. Wielu takich oglądał, a największą przyjemność sprawiał mu cudzy lęk przed śmiercią. Stąd wojna była wspaniałą zabawą. Celebrował zabijanie, aby przedłużyć własną rozkosz. Osiągał, jak przy kobiecie, pełne szczytowe. Ci, którzy mieli umrzeć, których zabijał powoli, pocili się, ślinili, jęczeli, obsikiwali spodnie, skamlali o darowanie życia. Teraz on się poccił i ślinił. Nie umiał opanować fizjologicznych odruchów i ciepły mocz

spływał mu po nogach. Jeszcze trochę, rozklei się zupełnie i zacznie skamlać. On, który zawsze uważał, że jest ponad. On, zawsze taki opanowany, do-
ie przewidujący ruchy przeciwnika jak wytrawny szachista — nie do pokonania — teraz nie wiedział, jak się sta a jutro, pojutrze, za tydzień. Dwadzieścia lat temu znał Zaprzysiężone życie. Zaprogramował je pedantycznie i z pedantyczną skrupulatnością realizował punkt po punkcie, chociaż czas balansował nad samym brzegiem przepaści,
riaz uiugi ^Ł"->

Wygrał bezapelacyjnie. Ani jeden cien z przeszłości nie zagroził mu nawet słabym echem przez te lata, a wyrzutów sumienia przecież nie znał — tak jak strachu. Postanowił skończyć studia politechniczne i skończył je. Postanowił znaleźć dla siebie kobietę godną go reprezentować, a więc piękną, a równocześnie uległą oraz posłuszną, i znalazł Annę. Postanowił wybudować białą willę z tarasem, zasadzić ogród róż — i miał białą willę z tarasem, i miał ogród róż. Kochał swój biały dom i kochał swój różany ogród, pożądał takiego domu i takiego ogrodu całymi latami, jednak nie śpieszył się ani z budową willi, ani z założeniem ogrodu. Nie miał prawa się śpieszyć, ponieważ to była idea jego życia, summa: ta biała willa i te róże. Musiał być pewien, że nikt mu nie zagrozi. Może gdyby Róża nie szarpnęła w obronnym geście zamkiem torby i gdyby ta torba nie otworzyła się, wyrzucając ze swojego wnętrza między kępy oszronionych mrozem wrzosów swoją zawartość, może wtedy cel jego życia stałby się zupełnie inny. Może po prostu pospolicie przehulałyby całą fortunę, przelajdaczył, roztrwonil, ale Róża, padając, szarpnęła torbę. Szarpnęła mocno, zamek puścił i czeluść torby buchnęła, a potem rozlała się naokoło razem z krwią Róży. Krew zabarwiła czerwienią czarno-biały prospekt reklamowy angielskiej firmy budowlanej, ominęła białą, piętrową willę z szerokim tarasem, nie sięgnęła fontanny w kształcie delfina, lecz rozperliła się na klombach i róże rozkwitły. W jednej sekundzie biała willa z szerokim tarasem, fontanna w kształcie delfina oraz różany ogród stały się wizją przyszłości. Doznał gwałtownego, nagłego, niespodziewanego wstrząsu. Ta idealna biel

otoczona była czerwienią ogrodu... Gdyby nie krew umierają, cego, nie zwróciłby uwagi na ten czarno-biały prospekt, jed. nak krew ożywiła płaskie wymiary fotografii, nadała im przestrzeni, barwy, zapachu. I już wtedy wiedział, pochylony nad ciałem Róży, że przyjdzie taki czas, w którym tę wizję urealni bo wybuduje białą dom, szeroki taras, fontannę w kształcie delfina, zaś to wszystko otoczy pożoga róż. Róża konał powoli, długo rwał palcami oszroniony wrzos. Ze śmierci Róży wskrzeszał najdoskonalszą formę życia. Nigdy przedtem ani potem nie doznał podobnego uczucia, tak twórczego natchnienia, tak zachłystującej ekstazy. Z mrówczą cierpliwością czekał na spełnienie, nie spieszył się nawet wówczas, gdy był bezpieczny, przedłużał rozkosz oczekiwania, a tamten ogród z prospektu nabierał coraz silniejszych barw, rozrastał się i olbrzymiał.

Wreszcie kupił parcelę, największą jaką znalazł w ofertach, prawie dwa tysiące metrów kwadratowych, lecz i ta wydawała się mu zbyt ciasna, pragnął swój dom otoczyć morzem róż, a jego wizja stała się zachłanna, zanim ją zrealizował, doprowadził do perfekcji układ ścieżek w ogrodzie, klombów, rabat i szpalerów. Został specjalistą od róż, i to jego hobby sprawiło, że w oczach znajomych uchodził

za człowieka wyjątkowo wrażliwego. Rozprowiał o swoich różach ze znanostwem i uczuciem, tracił swój chłodny styl bycia, ożywiał się, egzaltował. On, na co dzień taki skrupulatny, suchy, kostyczny zamieniał się w natchnionego poetę, gdy opowiadał o czysto różowej Balet, karminowej Belle Epoque, kakaowej Róży Brandenburskiej, ciemnoczerwonej jak świeża krew Dame de Coeur, ognistoczerwonej jak pożar Border King, rozpalał wyobraźnię słuchaczy feerią czerwieni. Znał upodobania każdej odmiany Prowadził rozległą korespondencję ze specjalistami z kraju i z zagranicy, a kiedy wreszcie zaczął swoją wizję urzeczywistniać — nie potrzebował fachowców. Sam sadił swoje róże, sam szczepił, przycinał i biała willa od wiosny do jesieni otoczona ogrodem — jakby w krwawym pierścieniu płonęła o ^ Różany ogród był niewątpliwie piękny, eCZdzał ogólne zainteresowanie, nawet przypadkowych :bUnodniów, lecz róże rozrosły się ponad wytyczonymi prZeCkami pożerając w okresie kwitnienia każdy wolny skra-^Tprzestrzeni między sobą. Nie dało się już rozróżnić ani kształtów, tylko sam kolor jak krzyk. Ogród przypo-ł żarłoczną dżunglę, która sama siebie dusi i pożera, nie-ubłaganie zagrażając lśniącym od białości ścianom willi. Pier-ścień róż zacieśniał się każdego lata i luna wokoło domu go-rzała. Zapachy stały się duszące, a wielość odcieni jednej i tej samej barwy (od jasnoróżowej czerwieni, aż po czerwono-czarną) była tak agresywna, że po pierwszym westchnieniu zachwytu oślepiła i wywoływała odruch buntu. Tej czerwieni było stanowczo za wiele! Ta stłoczona, rozpasana czerwień nie pozwalała na siebie długo patrzeć. Ale on właśnie tak, nie ina-czej, wyobrażał sobie swój ogród. Każdej jesieni dosadzał nowe gatunki, wymieniał słabsze odmiany na silniejsze, na co-raz bardziej wyrafinowane w odcieniach. Kiedy zasiadał w wi-klinowym fotelu na białym tarasie, spoglądając na swój ogród, czuł dumę. Sądził, że osiągnął wszystko. Wokoło rozlewała się buchająca zapachami czerwień, a on był jej twórcą. I ten ogród znaczył dla niego o wiele więcej niż jedynie spełnienie planów. Ogród był rozpasanym, bezkarnym synonimem jego siły, apo-teozą bezprawia. Czasami wspominał Różę. I uśmiechał się — oto poniżej tarasu kołysało się morze róż czerwonych jak krew, wszystkie odcienie krwi, a znał ich wiele, i myślał dalej, że w ten sposób zamknął życie Róży w tym ogrodzie, w jego barwie, że Róża wciąż żyje, dzięki niemu. Najpierw go zabił, Potem zwrócił mu życie. Właściwie był wdzięczny Róży. Gdy-by nie on, czym stałoby się jego własne życie? Siłą rzeczy upodobniłby się do tych wszystkich pospolitych, mizernych ludzi i nie uniknąłby losu ślepej mrówki. Uśmiechał się, zanu-rzał Atonie w szemrzącej fontannie, woda miała zapach i smak olejku różanego. Kiczowatość fontanny nie przeszkadzała mu. na prospekcie reklamowym angielskiej firmy budowlanej, która w chwili śmierci zaciskał w swoich dłoniach Róża, fontanna w kształcie delfina była w niebo tuż przy tarasie willi, więc bita w niebo również i tutaj, zawsze był dokładny, skrupulatnie wy. konywał to, co zaplanował.

Nieposłuszeństwo Anny było dla niego szokiem. Kobieta którą wyróżnił, biorąc ją za żonę? Anna szperająca, wdzierająca, ca się w jego tajemnice, usiłująca je drażyć, stała się wrogiem. Najpierw uspi jej czujność. Obsypie ją prezentami. Wyzna, że jest jedyną kobietą jego życia, przeprosi za swoje zachowanie i przysięgnie, że nigdy więcej jej nie uderzy ani nie będzie się z nią kochał, jeśli ona tego nie zechce. Sam nie wie, co w niego wstąpiło. Jakoś przeżyje to upokorzenie i przetrzyma kilka

miesiący dla zachowania pozorów, potem weźmie odwet, ubez-własnowolni ją i zamknie na oddziale w psychiatriku.

Tak zamierzał. Lecz późną wiosną przez otwarte okno wpadł kamień z ostrzeżeniem: PAMIĘTAJ O RÓŻY. Anna akurat była w ogrodzie. Zdrętwiał.

Zabiję — pomyślał — ta dziwka wypowiada mi wojnę? Mnie! Szantażuje Różą, chcąc zmusić do rozwodu? Biedacz-ka. Nie wie, z kim zadziera.

Ogarnęła go furia. On, zawsze nieomylny, popełnił zasadni-czy błąd, żeniąc się z Anną, która tylko pozornie jest nieśmia-ła, jakby załęczniona, a więc podatna na manipulacje. Był prze-konany, że nauczył ją uległości, pokory i szacunku dla siebie. Przez dziesięć lat nie miał z nią kłopotów. Anna miała piękny dom, wokoło siebie zbytek i tak pięknie wyglądała w różanym ogrodzie ze swoimi czarnymi włosami i jasną cerą. Nagle po-jął, że Anna nigdy mu całkowicie nie uległa, prowadziła wła-sne życie, do którego z kolei on nie miał wstępu. Choćby ta sprawa, na którą wyraził zgodę, a która go serdecznie ubawiła, bo kiedy wreszcie mógł ujawnić posiadanie majątku i zaczyna! budować willę, Anna nie chciała zrezygnować z pracy. Każda

kobieta na jej miejscu natychmiast rzuciłaby pracę, aby innymi garSciami czerpać z pieniędzy męża. Anna — nie. Za CałynTe zamierzała zrezygnować z pracy w szkole. Ubierała się "dal u taniej krawcowej albo w gotową konfekcję. Myślał Wówczas nawet z pewnym rozczuleniem, że w gruncie rzeczy nna jest jak wygrany los na loterii — jest taka skromna i bez-interesowna. Ale to nie była skromność, to był przejaw pychy.

Żądam rozwodu — powiedziała, patrząc mu bezczelnie prosto w oczy.

Po pierwszym uderzeniu zachwiała się lekko, ale oczu nie opuściła. Krew z rozbitych warg chlusnęła jasnym strumie-niem na bluzkę, a ta suka nawet nie osłoniła twarzy przed dru-gim ciosem, pozwalała się bić, wciąż patrząc mu w oczy. Ta krew, identyczna w barwie jak krew Róży i tych wszystkich innych, których zabijał, podnieciła go. Nadszedł okres wspa-niałej zabawy, teraz będzie konstruował każdy dzień życia swojej żony, stanie się jak kot, lis i sęp w jednej osobie. Teraz w stosunku do Anny nie popełni już błędu, nauczy ją strachu, przerażenia i pokornej uległości, doprowadzi żonę do całko-witego obłędu. Chryste, jak ją nienawidził!

To kilka miesięcy tylko — pocieszał się. — Za kilka miesię-cy, moja droga żono, zostaniesz oficjalnie uznana za wariat-kę.

Odczytując w szoku treść karteczki, jego nienawiść do żony osiągnęła apogeum. Ten napis jak głos z tamtego świata spadł gromem, bo przecież Róża nie żył, umarł na jego oczach i nie żył nikt, kto mógłby go oskarżyć o jakąkolwiek zbrodnię, i to Pytanie, też rażące jak grom: w jaki sposób Anna odkryła ją-dro tajemnicy? W Rozwoju rybołówstwa, w dokumentach po-wklejanych w strony nie było ani słowa o Róży. A jeśli Anna skontaktowała się z kimś, kto znalazł zwłoki Róży? Jednak taki nie istniał! Tamten las, jedyny świadek zbrodni, był niemy, głuchy. Sprawdzał zresztą teren przez kilka lat po woj-1 ani Jedna legenda spośród setek opowiadanych przez

okolicznych mieszkańców nie zawierała najmniejszego ele-mentu pasującego do

historii Róży. Przetaczający się przez te tereny front zniszczył tak dokładnie tamten odcinek lasu, że jego obszar zamieniono na pola uprawne. W upiory ani w zmarłych twychwstanie nie wierzył, sprawiedliwość była dla niego wymysłem asekuracyjnym istot poślednich i im służącym, więc jedynie Anna miała szansę dotarcia do Róży. W jaki sposób? Tego nie potrafił sobie absolutnie wytłumaczyć, lecz wszystko się zgadzało. Najpierw Anna nabrała podejrzliwości, potem zaczęła szperać, węszyć i podglądać, a trwało to rok. W końcu po kilku miesiącach dotarła do Rozwoju rybołówstwa. Przez trzy miesiące wymierzał Annie kary za nieposłuszeństwo, a teraz od krótkiego czasu próbował ją ułagodzić. Anna wystąpiła jednak z żądaniem rozwodu, a gdy oświadczył, że rozwodu nie dostanie, dostał kamień z karteczką zawierającą otrzymanie, że ma pamiętać o Róży.

Obmyślał sposoby wyeliminowania Anny całkowicie. Zabić dla niego, znaczyło tyle samo, co splunąć. Przy okazji wyeliminowałyby i tę staruchę, Dominikę. Ale Anna uciekła przed nim sama. W chorobę. Depresja endogenna z syndromem maniako-lękowym, brzmiała diagnoza, która była mu sprzyjająca. Anna wyeliminowała się sama.

Lecz mimo jej nieobecności pałowe, krwistoczerwone, karminowe róże z liścikami PAMIĘTAJ O RÓŻY nie ustały. Pojawiały się przez całe lato, powodując słabość w kolanach, trzępot serca i pot na czole. Nadal uważał jednak, że to Anna.

Analizował pismo: „R” oraz „A” podobne do pisma żony. Wtedy uczucie zagrożenia ustępowało. Anny się nie obawiał, bo nawet jeśli wiedziała o Róży, to on już nie żył. A umarli milczał. Zresztą tamci także nie żyli, więc nie było nikogo, kto ewentualnie mógłby posiadać jakikolwiek strzęp dowodu. Sprawdził przecież wszystkie ścieżki, kanały, wiele lat czekał cierpliwie, nim spełnił swoją wizję białej willi i rozpasanego różami ogrodu. Oficjalny życiorys miał nienaganny. Tak, to nie z zewnątrz,

od wewnątrz. To Anna. Ostatecznie w trakcie dziesięciu lat małżeństwa mogło mu się przez sen wyrwać jakieś nieostrożne zdanie, może majaczył w gorączce, a chorował dość często i zawsze miał wysoką temperaturę. Z owych luźnych zdań poszczególnych słówek Anna zbudowała sobie pewien mocno niedokładny obraz, wspomogła ten obraz odkryciem Rozwoju rybołówstwa, lekturą najbardziej osobistych notatek i przystąpiła do nierównej walki. Nie wytrzymała jednak napięcia. Tym lepiej, bo teraz cokolwiek powie, obróci się przeciwko niej i nikt nie uwierzy w majaczenie chorej psychicznie kobiety. Kto i w jaki sposób na polecenie Anny podrzucał róże? Obserwował Dominikę, lecz niczego nie zauważył. Wziął ją na spytki, ale na nieco debilnej twarzy Dominiki pojawiło się tak bezmierne zdumienie, gdy zapytał o róże i liściki, że rozwiało ono jego wątpliwości. Rozmowy z lekarzami Anny uświadomiły mu, że, poza nim, czyli swoim mężem, z nikim nie ma kontaktu. Chryste, więc kto? Kto, skoro nie Anna? Przeraził się ostatecznie.

A jeśli ta Dominika wcale nie jest mało rozgarnięta, lecz na polecenie Anny od początku taką udaje?

Też mu nie pasowało. Dominika kochała Annę jak własną córkę, lecz i na niego spoglądała z bałwochwalczym uwielbieniem. To przecież on zapewnił Annie luksus i wygodne życie. Dominika nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Anna upiera się przy rozwodzie. Zrozpaczona poprosiła o rozmowę.

— Pan chyba nie pozwoli Annie odejść, jej to minie, ona jest teraz taka chora, i skąd ta jej choroba? Mówię do niej, a ona nie rozumie, patrzy tymi szklanymi oczami w ścianę i ani słowa albo opowiada o panu takie straszne rzeczy... ale o choroby. Błagam pana, niech się pan nie zgadza na rozwód... gdzie ona znajdzie takiego drugiego jak pan, z takim dobrem, takim majątkiem?
No proszę, nawet Dominika nie chce wierzyć swojej ukochanej Annie!

30

31

Ze szpitala Anna na krótko powróciła do domu, a różane przesyłki skończyły się. Ale to wystraszyło go jeszcze bardziej. Nie umiał znaleźć klucza do gry, jaką z nim niewątpliwie prowadziła żona. Dwa tygodnie dręczenia Anny nocami wystarczyło, aby z powrotem znalazła się w szpitalu.

Przesyłki nadal nie nadchodziły.

Powoli odzyskiwał utracony spokój. Przeprowadził szybko rozwód i wiedział, że Anna już nie wejdzie w progi jego domu. Dominikę zostawił. Kto wie, może mu się jeszcze przyda. W każdym razie odepchnął ją od kontaktów z jej ukochaną Anną. Poza tym Dominika świetnie gotowała i utrzymywała dom w doskonałej czystości.

Ewę poznał nad morzem. Spodobała mu się. Jak Anna była brunetką, pasowała więc urodą do jego różanego ogrodu. Była młoda, skromna, nieśmiała i naiwna.

Odpowiadała mu pod każdym względem. Poddał ją kilku próbom, z których wyszła obronną ręką. No i była w nim — tyle lat starszym — straszliwie zakochana. Ożenił się.

Wówczas jednak Anna gwałtownie ozdrowiała. Zbyt gwałtownie. Jakby uzdrowił ją fakt, że już jest wolna od męża. Zdrowa Anna, nawet z żółtymi papierami, stała się znów groźna. Postanowił nad nią „czuwać”. Kupił jej mieszkanie, założył telefon, nie żałował pieniędzy. Cel uświęca środki. Miał nowy plan na unieszkodliwienie Anny, który wydawał się prosty i skuteczny. Zamierzał żyć spokojnie z piękną, młodą dziewczyną u boku. Annę musiał więc usunąć. Zwłaszcza, że następnego dnia po jej powrocie znalazł w garażu za wycieraczką fiata szkarłatny kwiat z karteczką:

PAMIĘTAJ O RÓŻY. Przystąpił do ataku. Trzy razy dzień w dzień, punktualnie w tym samym czasie, wykręcał numer Anny i cichym głosem nakazywał udać się do kuchni, otworzyć gaz. Nie chciała się jednak poddać. Znowu próbowała szantażu. Groziła mu, że nagra jego rozmowę na magnetofon. Głupia cipa. Miał jej Dominikę. Stare kobiety mogą.

— na cokolwiek. Niezłe Annę nastraszył. Co jednak mu Umrze? Róże — jakby się otworzyła jakaś wstrzymywana. Z tego spadły lawiną na jego dom. Znajdował je wszędzie. Po kilkanaście.

— Cóż to takiego? — zapytała Ewa, podając mu znalezione na tarasie różę. — O jakiej Różie masz pamiętać? Kto to jest? Jakaś twoja dziwka?

Umalowała się tego dnia wyzywająco. Powieki fioletowe, usta pomarańczowe. Anna

nigdy się nie malowała. Ewa dotąd też nie stosowała makijażu. Nie znosił wypacykowanych kobiet. Były takie wulgarne. Podniesionym głosem kazał żonie zmyć kosmetyki. Roześmiała mu się prosto w twarz. Oniemiał. Nie była niewinnym dziewczęciem. Była łasą na forszę dziwką. Zrzuciła maskę, przestała udawać, bo poczuła się pewna siebie. Przyłapał ją pół roku po ślubie z młodym osiłkiem. Upiłi się pod jego nieobecność francuskim koniakiem kupionym za dolary w Peweksie. Nie zważali na Dominikę. Osilek nałwiał, a Ewa pijana i naga śmiała się. Uderzył ją kantem dłoni. Zalała się krwią.

— Ty stary capie — powiedziała. — Nabrałam cię.

Słuchał jej cynicznych zwierzeń, nie przerywając. Nie uderzył po raz drugi. Po prostu wyszedł. Umył ręce. Czuł się zbrukany. Ogarnęły go mdłości. Jeszcze wczoraj pieścił tego wycierucha. Został oszukany, sponiewierany, po raz drugi splugawiony przez kobietę. Sprawa Róży zeszła na dalszy plan. Zamknął się w gabinecie i przez długie godziny obmyślał nowy plan. Łaknął zemsty. W końcu znalazł rozwiązanie i wydało mu się ono idealne. Potrzebował na jego realizację nieco czasu oraz Annę do pomocy. Zrobi to, co jej każe. Anna śmiertelnie boi się o Dominikę, o jedyną osobę, która ją kocha. Za jednym zamachem pozbędzie się Ewy oraz zniszczy Annę.

Wtedy również skończy się koszmar związany z karteczkami zawierającymi tekst: PAMIĘTAJ O RÓŻY. Pod warunkiem że to sprawka Anny.

.32

3.3

Ale wiedział, że okłamuje sam siebie. Anna mieszkała na drugim końcu miasta, natomiast róże pojawiały się o różnych porach dnia. Po każdej przesyłce dzwonił do Anny. Przeważnie nie odbierała telefon. Nie mogła być równocześnie w dwóch miejscach. Więc kto? Kto zagraża?

Bał się tego kogoś. Pocił się i ślinił, popuszczał mocz, oglądał różane archiwum. Jego własne róże w ogrodzie też go przerażały. Stały się wrogie i nienawistne. Jeżeli to nie była Anna, lecz ktoś z zewnątrz, to w końcu się ujawni i zniszczy mu życie. Jak się bronić przed nieznanym? Przed widmem? To było najstraszniejsze, ta anonimowość, ta cichość wroga. Wróg bez imienia, bez twarzy. Cień, którego nie można pochwycić ani zabić. Krążył gdzieś blisko, nieopodal. Niewidoczny.

Nierozpoznawalny.

— Nie! Nie! — krzyknął i uderzył czołem w blat biurka. — To musi być Anna.

Chryste, spraw, żeby to była Anna.

Dusił się. Od dawna odnosił wrażenie, że jest obserwowany. Obce oczy śledzą każdy jego ruch. Nawet tu, w gabinecie, patrzą przez szczelnie zaciągnięte zasłony. W każdym razie, mimo zasłon, do jego gabinetu bez trudu wdierał się zapach róż, który był duszący i mdły.

Róże tego lata rozkwitły szaleńczo. Otoczyły biały dom jakby pierścieniem ognia.

ROZDZIAŁ. DRUGI

Tadeusz Smuga zbyt późno zrozumiał, że postąpił głupio. Wręcz nierozważnie. Należało potulnie wyrazić zgodę. Protest był bez sensu, bo Krystyna i tak zawsze stawiała na swoim.

W ciągu ostatnich miesięcy zdołał się uspokoić. Rzadko myślał o Borowskim. Przestał go nareszcie spotykać w instytucie. Przymusowa dymisja jego szefa ze stanowiska zastępcy dyrektora do spraw naukowych nie sprawiła jednak mu najmniejszej satysfakcji. Długo czekał na wpadkę Karola, więc teraz nie potrafił się nią cieszyć. Był zmęczony, bardzo zmęczony, czuł się wypalony i pusty. Słuchał wybuchu plotek o Borowskim z obojętnością, która go zdumiewała. A instytut huczał, jakby wybuchł w nim gejzer. Okazało się, że o Borowskim wszyscy wszystko wiedzieli od dawna — od początku, od zawsze, nie tolerując go, nie znosząc i nie trawiąc. Okazało się również, że wszyscy zawsze sprzeciwiali się mało kompetentnym decyzjom zastępcy dyrektora, łącząc się we wspólne i odważnym frontie. Poza tym okazało się też, że nikt nigdy Borowskiego nie szanował ani nie cenił. Tadeusza bmuę ten zbiorowy akt odwagi rozśmieszył, bowiem Borowski przez kilka lat trząsł instytutem, a instytut pad przed nim plackiem. Teraz zaś, gdy Borowskiemu powińeł się noga, wszyscy twierdzą, że od początku byli przeciw. a

Obrzydliwość — myślał Smuga, słuchając niekończącej się dyskusji, w których nazwisko Borowskiego odmieniane było przez wszystkie przypadki i dodawano do niego inwektyw tywy typu: miernota, cwaniak, karierowicz, dureń. Najbardziejziej pluli ci, którzy wcześniej najsilniej zabiegali o względy szefa. Smuga, chociaż nienawidził Karola z całego serca, milczał; trzymał się na uboczu, czekając, aż nagonka ucichnie. On, który jak nikt inny miał najwięcej do powiedzenia i znał ignorancję zawodową Borowskiego, mógł właśnie teraz skorzystać ze sprzyjającej koniunktury i powalić swojego wroga jednym zdaniem, ponieważ teraz wszyscy chętnie, z największą skwapliwością uwierzyliby w to zdanie, nie wyrażając zastrzeżeń ani wątpliwości. Natomiast gdyby pięć lat temu powiedział otwarcie, że Karol Borowski przywłaszczył sobie jego pracę naukową i opublikował ją pod własnym nazwiskiem, nikt by mu nie uwierzył, bo pięć lat temu nie miał żadnego dowodu.

Musiał więc milczeć i obecnie też milczał, gdyż myśl o skwapliwości innych, podchwytyjących oskarżenie, była upokarzająca. Czułby się splugawiony tą skwapliwością bardziej niż swoją własną, krecią działalnością przeciwko Borowskiemu, czyli tymi dziesiątkami, setkami anonimów, pisanych z rozpaczliwym pragnieniem zemsty do wszelkich możliwych władz, organów i instytucji nadrzędnych.

W instytucie już nie było Borowskiego. Nie musiał słuchać jego głosu. Nie musiał oglądać jego twarzy z tym aroganckim, szyderczym uśmiechem. To przynosiło ulgę. Pozostawał jednak dom oraz Krystyna. Tam byli stale we troje, o każdej porze dnia i nocy. Stamtąd nie potrafił go wyrzucić. Borowski był wciąż obecny — w oczach Krystyny. Rozjaśnione, gorejące namiętnością po spotkaniach lub apatyczne, bierne, kiedy Borowski kazał Krystynie na siebie zbyt długo czekać. Po mil' i3' serwował, jak gasną, obserwował, jak dźwięk telefo-żony, OD ^ k.ika sekund szaioną nadzieją, obserwował nu 0ZJ*? du lat wyrZucając sobie własne tchórzostwo i czu-taKdo stóbie jeszcze większą odrazę niż do żony. Nie potrafił JąC ednak obejść bez Krystyny, przeżyć choćby dnia, więc od S'Idu lat udawał ślepego i głuchego w obawie, aby jej nie utra-! Czasami nawet, gdy telefon milczał uparcie, a oczy Kry-styny matowiały od cierpienia - współczuł jej prawdziwie, szczerze i myślał: „No zadzwoń, zadzwoń, ty draniu”.

Osiem miesięcy temu Borowski ożenił się ponownie. Krysty-nie została odebrana wszelka nadzieja. Smuga zrozumiał to, czego dotąd w ogóle nie uwzględniał, że gdyby Karol kiwnął małym palcem, Krystyna odeszłaby, nie oglądając się nawet za siebie. On, jej mąż, był dla niej nikim. Powinien więc czuć do Karola dozgonną wdzięczność, że nie kiwnął. Powtórny ożen-kiem z dziewczyną młodszą od siebie o trzydzieści lat, od Kry-styny o piętnaście, Borowski zniszczył w jego żonie wszystkie złudzenia. Jak bardzo postarzała się, jak zbrzydła. Więc Smuga znowu współczuł żonie, przepełniony cichą radością. W końcu czas leczy rany, minie kilka miesięcy i Krystyna zapomni, zaś potem będą razem szczęśliwi. Ona wyleczona ze swojej namięt-nej miłości, on pogodzony z jej przeszłością. Stąd otoczył żonę czułą troskliwością. Dbał o nią jak o chore, skrzywdzone dziec-ko. Po raz pierwszy od tylu lat był szczęśliwy.

Dziś jednak, zaledwie stanął w progu domu, pojął, że to on mdził się jak ostatni głupiec, zobaczył bowiem, że Borowski Wrocil i znowu oczy Krystyny pałały bezwstydną namiętno-SClą- Pomyślał, patrząc na żonę, że to wprost nieprawdopodob-ne- by można było w tak krótkim czasie ulec takiej metamorfo-zę. Rano zostawił żonę znużoną, wymiętą, szarą i bezbarwną, a teraz — jakby jej ubyło lat. Znowu była piękna i godna pożądania. Poczul dotkliwy ból. On, chociaż się tak starał \w baczał, troszczył i kochał — nie umiał dać jej szczęścia. Na nie go nigdy nie patrzyła z taką czułością, z takim rozjaśnienie^ jak teraz — omijała go wzrokiem, bo on już dla niej w tej chwii nie istniał — uśmiechała się w myślach do tamtego. Trzeba z tym skończyć — pomyślał, muskając ustami poj. czek żony. — Trzeba z tym wreszcie raz na zawsze skoń-czyć — myślał, siadając do obiadu.

Nie tknął zupy ani drugiego dania.

Koniecznle skończyć.

Kiedy Krystyna oznajmiła mu, że na godzinę siódmą za-proszeni są do Borowskich,

zbladł, a potem rozkrzyczał się cienkim, piskliwym głosem, że nie pójdzie i żadna siła go do tego nie zmusi. Krzyczał o bezczelności Borowskiego, o swoich krzywdach, swojej nienawiści, coraz bardziej piskliwie. Krystyna milczała, uśmiechając się leciutko, jakby pobłażliwie, jemu zaś wydawało się, że szyderczo, więc to szyderstwo uznał za obelgę. Wpadł w szal, przerażony, że będzie musiał oglądać znieawidzoną twarz, słuchać znieawidzonego głosu, zaś przede wszystkim patrzeć na nich razem: Karola oraz swoją żonę z pałającymi pożądaniami oczami. Ach, uderzyć w ten szyderczy uśmiech, w te nagle odmłodniałe, oczekujące pocałunków innego mężczyzny usta! Uderzyć i niech się raz na zawsze wszystko skończy. Ale Krystyna w pewnym momencie podszła do niego i pogładziła po włosach — jakby współczująco, jakby pocieszająco i to dotknięcie jej dłoni wypełniło go bolesnym szczęściem. Nie, nie przeżyłby ani dnia bez Krystyny. Więc opuścił głowę, poddając się tej nieoczekiwanej pieszczocie. Posłuszny ruszył do łazienki, aby wziąć prysznic i przebrać się w wizytowy garnitur.

Całą drogę przebył w milczeniu, nie odzywając się do żony A i ona milczała, zajęta swoimi myślami, przygotowując się do tego pierwszego, po wielomiesięcznym niewidzeniu, spotkania.

weszli w cichą uliczkę, pachnącą intensywnie różami, ■ Drżenie rąk było tak silne, że nie wiedział, co ma SPn°imi zrobić, gdzie schować.

Z 7 trzymali się przed furtką w parkanie. Krystyna nacisnęła dzwonek domofonu. Nie oglądając się na męża poszła 13 Z szą wąską ścieżką wśród rozbuchanych róż.

Nadażał za pierWtrudem, odnosząc wrażenie, że przestrzeń między nim a Krystyną powiększa się i że oto nigdy nie zdoła dogonić swojej żony. Tracił ją. Może już stracił bezpowrotnie? Krystyna zniknęła za rozłożystym, krwawo kwitnącym krzakiem Border Kinga i Smuga z rozpaczą zawołał:

— Krystyna!

Jakaś róża usiłowała go zatrzymać, zaczepiając kolcem o marynarkę. Złamał ją z wściekłością, rzucił, rozdeptał, potem złamał kolejną, która go uderzyła w policzek i tak z różą w dłoni wyplątał się wreszcie z tego przekłętego, różanego labiryntu. Szemrała przy tarasie pretensjonalnie kiczowata fontanna w kształcie delfina. Smuga przystanął. Fala krwi uderzyła mu do głowy. Na tarasie wysoka postać Borowskiego pochylała się poufale nad dużo od niego niższą Krystyną.

— No, jesteś! — zawołała. — Myślałam, że zabłądziłeś w ogrodzie. Karol — zwróciła się do Borowskiego — twoje róże w tym roku chyba oszalały! Jeszcze tak bujnie nigdy nie kwitły!

— Halo, Tadeusz — powitał go Karol. Smuga zbliżał się ku niemu z różą w dłoni, wciągając na usta uśmiech powitalny. Szedł powoli, a myśl, że będzie musiał zaraz dotknąć ręki tego znieawidzonego faceta, była mu wstrętne, więc chcąc uniknąć tego gestu, wyciągnął ku Borowskiemu różę.

Borowski cofnął się gwałtownie. Zbladł pod opalenizną.

— Co to ma znaczyć, do cholery?

Zgłupiał, czy co? — pomyślał skonsternowany zachowaniem Borowskiego Smuga. T7 > t0 ma znaczyć, pytam?! — z groźbą w głosie powtórzył Borowski.

— Karol... — Krystyna łagodząco dotknęła ramienia Borowskiego, lecz ten

odepchnął ją z furją.

— Skąd masz tę różę? — doskoczył do Smugi, uchwycił go za klapy marynarki, zajrzał mu w oczy i Smuga zobaczył nad sobą rozszerzone źrenice Borowskiego. Wariat — pomyślał.

— Z twojego własnego ogrodu. Nie poznajesz?

Ruch ręki Karola był szybki, prawie niezauważalny. Wytrwana brutalnie róża przeorała kolcami boleśnie, do krwi dłoń Smugi.

— Zwariowałeś? — ale róża już szybowała ponad tarasem i spadała daleko w ogród.

— Nie znoszę. Nie pozwalam nikomu zrywać moich róż. Nie po to je hoduję, aby jakiś bałwan mi je niszczył — wyrzucił Borowski przez zaciśnięte zęby.

Krystyna podeszła do męża, ujęła go pod ramię.

— Powitanie, jakie nam zgotowałeś, nie należało do przyjemnych. Widocznie przyszliśmy nie w porę. Albo czujesz się nie najlepiej, albo twoje małżeństwo zmieniło cię tak dalece, że my twojego zachowania nie zamierzamy tolerować. Smuga spojrział na żonę z wdzięcznością. Krystyna okazała mu lojalność, którą by może spowodowały wyrzuty sumienia, jednak przyjemnie słyszeć żonę gromiącą swojego kochanka. Biedna. Tak wiele znaczyła dla niej ta wizyta, czekała tak długo, aby zobaczyć Karola. Cóż i tak przy jego młodziutkiej żonie nie ma teraz żadnych szans.

— To moja wina — powiedział pośpiesznie Smuga — zachowałem się idiotycznie. Wybacz, Karol. Nie wiedziałem, że jesteś aż tak przewrażliwiony na punkcie swoich róż.

— Nie, to moja wina, wybaczcie, ale rzeczywiście nie czuję się dobrze. Od rana boli mnie głowa — z wymuszonym uśmiechem, wciąż bardzo blady, usprawiedliwiał się Borowski. — Nie wiem, dlaczego tak się zdenerwowałem.

Ucałował Krystynę w rękę.

Nie gniewaj się, kochana. Wiesz, ile przyjaźni żywię dla • h' i twojego męża.

Jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi. 016 róbowanymi od lat. Zapraszam do salonu. Drink dobrze !am wszystkim zrobi.

Przez szeroko otwarte, francuskie okna weszli do holu. Smuga w wysokim lustrze zobaczył siebie, drepcącego obok Borowskiego, który odzyskał równowagę i zartował już niefrasobliwie. Objął Krystynę ramieniem. Smudze znowu gwałtownie podskoczyło ciśnienie.

Boże _ pomyślał — nic dziwnego w tym, że Krystyna za-kochała się bez pamięci w Karolu. On jest przystojnym face-tem. A ja?

Raz jeszcze spojrział w lustro: niski, na krótkich nogach, z wydatnym brzuszkiem, łysiejący brzydal.

Dobry Boże, a jeśli ona mnie nigdy nie kochała?

— Gdzie się podziewa twoja Ewa? — świergotała Krystyna. — To niegrzecznie, że nie wita swoich gości.

— Robi się na bóstwo — roześmiał się Borowski. Pchnął drzwi do salonu, wielkiego pokoju z kominkiem, ze ścianami wykładanymi modrzewiową boazerią. Głębokie fotele z miękkiej skóry, puszysty dywan, tkany na zamówienie u znanego plastyka. Wszystko w tej willi było kosztowne, luksusowe.

A ja — pomyślał Smuga — od piętnastu lat mieszkam z żoną w dwupokojowym mieszkanku blokowym, ciesząc się ze skąpego nadmetrażu, jaki przysługuje pracownikowi naukowemu. Mnie, doktora habilitowanego, wciąż nie stać na kupno samochodu. Meble na raty. Telewizor na raty...

— Siadajcie, siadajcie — zaprosił Borowski. — Komu dzin z tomkiem, wermutem i cytrynką? Komu lampeczkę koniacz-
Salon łączyły z sąsiednim, stołowym pokojem rozsuwane, one drzwi. W tej chwili szeroko otwarte ukazywały stół nakryty na cztery osoby.

— Nikogo poza nami się nie spodziewasz? — zdziwiła się Krystyna.

— Moje życie towarzyskie skończyło się w momencie dy-misji — mruknął Borowski. — Szeregi przyjaciół wykruszyły się natychmiast. Składają teraz oferty dozgonnej przyjaźni no-wemu władcy instytutu. Umarł król, niech żyje król. A więc — zdrowie króla!

— Którego — spytał Smuga.

— Ach, czy to ważne? Za zdetronizowanego wypijesz?

— Mnie wszystko jedno — odparł Smuga.

— Oczywiście, szara eminencjo. Smuga gwałtownie odstawił szklaneczkę z dzinem.

— Co mi insynuujesz, Karol?

— Doskonale wiesz. Ja też wiem, komu zawdzięczam pod-łożoną mi świnię.

— Nikt ci nie podłożył świni, niestety. Sam wpadłeś. Wy-starczyło dwa tygodnie mojej nieobecności, zaledwie czterna-ście dni, a ty wykazałeś się wspaniale zaletami swojego nie-zrówanego umysłu — mówił Smuga zjadliwie, z satysfakcją.

— Specjalnie się rozchorowałeś. Specjalnie podsunąłeś mi fałszywe dane.

— Miałem prawo się pomylić. Jestem szeregowym pracow-nikiem, a nie zastępcą dyrektora do spraw naukowych, laure-atem nagrody ministra.

— O czym wy mówicie? Panowie? Karol? Masz jakąś pre-tensję do mojego męża? O co? Wątpisz w jego lojalność? Jak możesz! — uniosła się Krystyna i też odstawiła demonstracyj-nie swój koniak.

Borowski wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

— Ach, te kobiety! Urocze stworzenia. Nigdy niczego nie rozumieją i na tym polega ich wdzięk. Prawda, Tadeuszu? Alez. Krysiu, rozchmurz się, ja i twój mąż jesteśmy nierozłącznymi przyjaciółmi, jeszcze z okresu studiów. Czy nie tak, Tadziu-Zdrowie Tadzia, Krystyno. Za naszą długoletnią przyjaźń.

okował. Drażnił. Cyniczny i bezczelny. Uderzyć. Ude-P ^Tę znieawidzoną twarz mocno — pomyślał Smuga i po-le w nerwowym tiku drga mu powieka. czUJ^ skąd ta grobowa cisza? Dobry wieczór, kochani! — do ~" weszła Ewa. — Przepraszam za spóźnienie. Mam na-H^eie1 że Karol mnie usprawiedliwił. Pani Krystyno! Widzia lam panią zaledwie raz, na naszym ślubie, i cieszę się, że wi dzę panią nareszcie w swoim domu. Cudownie pani wygląda, ana również serdecznie witam, panie inżynierze. Karol mi ele o panu opowiadał. Podobno pracuje pan od lat nad ja-imś ważnym odkryciem naukowym. Czy to będzie coś takie-go jak praca mojego męża, która zrewolucjonizowała prze-mysł transformatorowy? Karolku, misiaczku, ja

również poproszę o dżin z tonikiem... — zapadła w fotel z westchnieniem ulgi — piękny wieczór, kilka minut po siódmej, a słońce jeszcze nie zaszło... Kocham czerwiec. To najpiękniejszy miesiąc. Wydaje mi się wtedy, że będę żyć zawsze, noc taka krótka, dzień wspaniale długi...

Popijała swój dżin drobnymi łyżkami. Trzymała szklaneczkę, odginając mały palec, zakończony szponiastym paznokciem powleczonym emalią w kolorze fioletowym. Krystyna przyglądała się żonie Karola ze zdumieniem. Na ślubie poznała młodziutką, skromną, nieśmiałą dziewczynę, sprawiającą wrażenie przestraszonego dziecka, płonącą się rumieńcami, bez cienia makijażu na ładniutkiej twarzy, a teraz miała przed sobą wulgarnie umalowaną, pewną siebie kobietę. Podkreślając w zwykłej, towarzyskiej rozmowie co chwilę swoje prawa do Karola, jego willi, samochodu i majątku. „Zapisatam się — właśnie na kurs jazdy. Gdy skończę, na-sPolitelaSt SprZedam nasz stary samochód. Fiaty są takie po-1 e. Kupię za dolary w Peksie opla lub citroena, zresztą jeszcze nie jestem zdecydowana, ale wiem, że musi być ko niecznie w czerwonym kolorze, będzie pasował do moich czarnych włosów — paplała, a Krystyna zdumiewała się Co. raz bardziej, ściskając pustą lampkę po dawno wypitym ko- niaku.

Karol nie znosił umalowanych kobiet, uważał, że malują się wyłącznie dziwki. Anna nie malowała się nigdy, w ogóle nosiła się skromnie, jej uroda, co Krystyna musiała z niechę- cią przyznać, nie wymagała poprawek. Ona dokonywała ekwilibrystycznych zabiegów, szykując się na spotkanie z Bo-rowskim. Chciała być piękna, lecz nie śmiała poprawić twarzy najbardziej delikatnym makijażem. „Brzydzę się tego, rozu- miesz?” — powiedział jej kiedyś, odkrył bowiem ślad rózu na policzku i urządził karczemną awanturę. „Nie ró b tego nigdy więcej. Pamiętaj, bo nigdy więcej się z tobą nie spotkam”. A te-raz patrzył z psim uwielbieniem na swoją młodą żonę, której powieki kapały wprost od fioletowo-srebrnego cienia, usta jakby ugiwały się pod ciężarem grubo nałożonej fioletowej szminki. Ubrana w obcisłe dzinsy i czarną, ażurową bluzkę, przez którą prześwitywało nagie ciało i kołysały się duże pier- si z dużymi brodawkami, Ewa wyglądała jak pospolita dziw-ka, podsumowała Krystyna, a jej zdumienie zamieniło się w gniew. Karol, taki nobliwy, elegancki, nieskazitelny, i ta ko- bieta, jego nowa żona, śmiejąca się hałaśliwie, wulgarnie od- ginająca szponiasty mały palec, czy on oślepl? Naprawdę mi- łość może być aż tak żałośnie ślepa? Jak mógł wybrać na to-warzyszkę życia podobna dziewczuchę, jakim prawem tej pewnej siebie, bezczelnej, jaskrawo wymalowanej idiotce opo- wiadał o intymnych sprawach Tadeusza? Biedny Tadeusz. Oczywiście, jego praca nad transformatami była fikcją, nie udało mu się, natomiast powiodło się Karolowi. To nikczemne — pomyślała Krystyna — szydzić w taki ni- ski sposób z mojego męża, zarzucać mu brak lojalności, insy- nuować, że Tadeusz podłożył świnię. żęła żałować, że przyjęła zaproszenie. Wytrzymała tyle ZaCbez Karola, już go zapominała, już prawie nie płakała CZ3SU ch nie tęskniła aż tak boleśnie do jego pieśczoł, do P° "dała było już prawie dobrze, spokojnie, wiedziała, że Ta- Inuajej wybaczył, chociaż nigdy ani razu nie zrobił jednej aluzji do

jej związku z Karolem. Tadeusz był lojalny, za bardzo lojalny i wobec niej, i wobec jej kochanka.

Niepotrzebnie tu przyszedłam — myślała, dziwiąc się jednocześnie swemu opanowaniu. Nie było szalonego bicia serca, jak wtedy, na ślubie Borowskiego z tą małą, dziś natomiast serce wyciszone, a tak się przecież obawiała, że to spotkanie okaże się zbyt trudne, że nie potrafi zapanować nad sobą, nad twarzą, nad głosem, by chociaż spojrzeć na niego, choć tyle! Była świadoma, że to niczego między nimi nie zmieni, ożenił się, ostatnia nadzieja prysła. Tyle lat łudziła się, że Karol ją jednak kocha, że po prostu musi kochać — skoro raz po raz wraca. Nadzieja zaświtała wraz z chorobą Anny, której nigdy nie traktowała jako rywalki — tak szybko Karol zaczął Annę zdradzać, wniosek nasuwał się sam: nie kochał swojej żony, a więc jego małżeństwo było omyłką. Chora Anna może na zawsze zostanie u czubków, a Karol będzie wolny i stanie się mój, na zawsze. Choroba Anny spadła jak cud, na jaki czekała długo i cierpliwie, toteż modliła się, aby Anna nigdy nie wyzdrowiała, błagała opatrzność żarliwie, by cud się spełnił.

Pewnego dnia Tadeusz przyniósł nowinę z instytutu: „Cóż za łajdak, wiesz, rozwiódł się z Anną”. Więc nie wychodziła z domu, nawet po zakupy: czekała na telefon od Karola. Telefon milczał. Czekala. Każdy dzień zaczynał się myślą, że dziś za-zwoni i powie: „Kocham cię, Krystyno, rozwiedź się z Tadeuszem, zostań moją żoną”. Każdy dzień kończył się rozpaczą: nie kochał! •Dlaczego nie zadzwonił? Dlaczego zwleka? Skoro Była31 mnie potajemnie Przez długie lata małżeństwa z Anną? Dzw ^ dumna' ze nigdy sama nie prosiła o spotkanie. "* umawiali się w hotelu, kochał się z nią, wychodząc mówił: „Do widzenia”, ona zaś rozpoczynała kolejne czekanie Po rozwodzie Karol nie powinien zwlekać z telefonem. Czekala więc znowu, aż któregoś dnia listonosz przyniósł zaproszenie na ślub Karola. Nie rozumiała: jaki? czyj? Potem Krystynie wy dało się, że już umarła, zaś wszystko, co wokół niej się dzieje jest odrealnione, nieprawdziwe. Na ślubie Karol przedstawił jej swoją nową, młodą żonę. Z czarującym, gładkim uśmiechem Identyfikacyjnym, z jakim przychodził na potajemne spotkania. Po-myślała wtedy, że zapewne w taki sam gładki sposób uśmiecha się do kelnerki w restauracji czy konduktora w tramwaju, po prostu gładki, bezosobowy, uprzejmy uśmiech. A ona dała się na ten jego uśmiech nabrać, więc serce wybuchło szalonym bi-ciem późniejszego protestu, że przecież Karol niczego, poza uśmiechem oraz seksem, jej nie dawał. Była głupia i naiwna niczym pensjonarka, licząc na odwzajemnione uczucie. Zniszczyła swoje życie i życie Tadeusza, który ją kocha wiernie i bez-nadziejnie. Boże drogi! Czy Tadeusz wiedział? Domyślał się? Nie, wszystko, tylko nie to! I dla odmiany błagała opatrzność żarliwie, żeby jej mężowi zostało oszczędzone to upokorzenie. Spojrzała z czułością na męża, który składał gratulacje Karolowi oraz jego młodej żonie. Boże drogi, jeszcze nie jest za późno, jeszcze można wiele zmienić, co za szczęście, że przejrzała na oczy, więc aby sobie samej udowodnić, że Karol dla niej już nic nie znaczy, podeszła do niego i wygłaszając formułkę gratulacyjną, pocałowała go w policzek. Poczula się tak, jakby dotknęła ustami kogoś obcego. Widok młodej żony również nie sprawił jej bólu, zresztą ją również uściskała serdecznie. Lecz gdy skończyła się ceremonia ślubna — euforia Krystynie minęła. Kochała Karola zbyt długo i zbyt namiętnie, toteż zrozumiała, że

nie potrafi o nim zapomnieć i przestać na niego wyczekiwać Teraz, gdy związał się z młodą dziewczyną, nie doczeka się od niego nawet jałmużny. Więc gdy zadzwonił, zapraszając ich na kolację, Krystyna pomyślała:

Cud! — i rozplakała się jak małe dziecko.

Dlaczego pani milczy? Pani Krystyno, halo! Tu jestem! " olały umalowane na fioletowo usta Ewy. — Karol, dolej ^ZaZ°nie wypijmy za jej zdrowie!

ml przepraszam. Zamyśliłam się — oprzytomniała Krysty-

naCzy chociaż na temat? — zapytała Ewa i roześmiała się dośno ze swojego dowcipu.

Ewa! — skarcił żonę Borowski. __ A co? Nie spodobał ci się mój dowcip? — Ewa z pogardą spojrzała na męża. — Widzicie, państwo? Karolowi nie podo-bają się moje żarty! Trudno. Przeżyję. Mnie na przykład nie podoba się ten salon. Takie paskudne, stare meble. Wyrzucę je wszystkie i umebluję swój salon nowoczesnie. A pani, Krysty-no, jak uważa? Proszę walić śmiało, czy mam rację?

— Postawiła mnie pani w dość kłopotliwej sytuacji — za-protestowała Krystyna.

— Proszę mi mówić per „ty". Jest pani tyle starsza ode mnie. Mnie krępuje, gdy starsi mówią do mnie „pani".

— Jesteś wprost rozbrajająco szczerą — odpowiedziała Krystyna, starając się zapanować nad złością.

— No, ale trzyma się pani niekiepsko. Całkiem, całkiem — komplementowała wyzywająco Ewa.

— Słuchaj, Ewo... — zaczął Borowski.

Krystyna roześmiała się, młoda pani Borowska była, ła-godnie określając, szokująca. Nie podoba się jej salon, ume-blowany antykami. Pogratulować wybrance Karola gustu! Wyrażonka dosadne chociaż nieco wulgarne. Biedny Karol zamierzał się odmłodzić, więc ma teraz żonę, owszem młodą, ale ta jego młoda żona wygląda na taką, co z niejednego pieca chleb jadła.

No, niepokalana to ona nie jest — pomyślała złośliwie Kry-s yna. — Może ci taka właśnie, Karolku, była potrzebna. Cy-może3 bezczelna' rjez skrupułów, bez ogłady, nieokrzesa, wreszcie trafiłeś w dziesiątkę. Już się skręcasz, przecież to obserwuję. Biedak! Tak zawsze dbał o maniery, 0 f0r o konwenanse. Miał tak wysublimowane poczucie własn ^ — choćby gabinet, o którego drzwi nawet otrzeć się nikonf nie było wolno. A teraz, proszę, ta mała już rozporządza salU nem, samochodem, kupi sobie nowy samochód, wyrzuci a ki. Postawiła cię do kąta, Karol. Ciekawe, jak się w nim czujesz? Na kilometry czuć, że ta twoja mała nie wyszła za ciebie z miłości, dupku. Dalej sądzisz, że trafiłeś wreszcie na tę swo ją jedyną? Zawsze szukałeś „jedynę". Anna była „jedyna", ja byłam „jedyna". Dupek.

— ...przede wszystkim, bardzo cię proszę — kończył swo-je napomnienie Borowski — nie pij więcej. Zaczynasz być nie-sympatyczna.

— Dlaczego? — Krystyna uśmiechnęła się złośliwie. — Twoja żona jest wprost wyjątkowo sympatyczna. Po prostu od-rzuca konwenanse, do których my, starzy, jesteśmy niewolni-cho przykuci. Mnie się podoba postawa twojej żony. Gratuluję ci po raz drugi, mój drogi. Dokonałeś szczęśliwego wyboru.

— Ale ja nie życzę sobie, aby nadal piła. Ma słabą głowę. Zacznie pleść głupstwa.

— Jej wolno. Jest młoda.

— Cudownie, że mnie pani broni! On jest taki zasadniczy, że wytrzymać z nim nie można. Wszystkiego się czepia...

— Ewa!

— Och, nie bądź nudny!

— Widzicie, jaka ona jest... — Borowski bezradnie rozłożył ręce.

— Bardzo, bardzo urocza — zaśmiała się Krystyna. — Na prawdę, nie przypuszczałam, że tak świetnie będę się bawić.

Borowski ściągnął wargi w wąską kreskę. Rzucił Krystynie wściekłe spojrzenie.

— Ciesz się, że dobrze się bawisz — wycedził. — A teraz, moi drodzy, skoro wszyscy bawimy się świetnie, poza Tadeuszem, bo on uparcie milczy, zapraszam was do stołu. Tade

szynka poprawi ci nastrój, zawsze lubiłaś do-usZ, Piec*o*n*wa bardzo się postarała, od rana szykowała

w kuchni P1"2^^ zwykle! - parsknęła Ewa. - Dominika, - On gżma nie wpuszcza mnie nawet za próg kuchni, ta stara *ie ' co t0 za numer z tej starej. No, ale nie-Nie wyobrażacie &u ,

tu zagrzeje miejsce. dIU°Ewa! - gł°s Borowskiego brzmiał ostro — bardzo pro-bez dyskusji na temat Dominiki! Pracuje w moim domu hU piętnaście lat i nie zniosę, abyś w ten sposób o niej się wyrażała No, chodźmy — dodał z lekkim zniecierpliwieniem, udając rękę Krystynie.

Dominika właśnie zmieniała talerze po przystawkach, gdy zabrzączał dzwonek.

Borowski zaskoczony spojrzał na żonę.

— Ewa? Zapraszałaś kogoś? Jakaś przyjaciółkę w charakterze niespodzianki?

— Przyjaciółkę? Wołałabym przyjaciela! — zawołała Ewa. Wypiła dużo, oczy jej błyszczały, mówiła głośno, za głośno, gestykulowała zbyt przesadnie.

Dzwonek znowu zabrzączał.

— Idź, otwórz — polecił Dominice Borowski. — I powiedz, że nikogo nie ma w domu. I że nie wiesz, kiedy wrócimy.

— Dobrze, proszę pana — odparła Dominika. Obrzuciła zebranych ponurym spojrzeniem i wyszła z jadalni.

— Dominika źle wygląda — zauważył Smuga. — Nie widziałem jej co prawda dawno, lecz bardzo się postarzała.

— To z tęsknoty za Anną — wypaliła Ewa. — Ta stara wiedź-mają ub°stwia i dlatego mnie nie trawi.

— Ewa!

m^e Ewa nie zwróciła najmniejszej uwagi na karcący głos za. Wychyliła kieliszek do dna i roześmiała się chrapliwie.

— Kilka dni temu ta stara powiedziała do mnie: „Moja Anna jeszcze tu wróci”.

— Ewa!

— Och, zamknij się! — rzuciła ordynarnie. — Niech ci będzie, już milczę skruszona.

Dominika ponownie pojawiła się w drzwiach.

— Pan pozwoli na chwilę — powiedziała zmienionym głosem.

— Co się stało? Jesteś blada jak śmierć — zaniepokoił się Borowski.

Milczała. Spojrzała tylko znacząco na Ewę, jakby dając do zrozumienia, że przy niej nic nie powie.

— No? — ponaglił Borowski. — Zobaczyłaś upiora?

— Przyszła pani — odezwała się wreszcie Dominika. Borowski zerwał się pospiesznie.

— Przepraszam na sekundę. Wybaczcie.

I przeszedł przez salon, zasuwając za sobą starannie drzwi. Dominika stała nieporuszona.

— Czego tak na mnie patrzy! — krzyknęła ze złością Ewa. — Wynocha do kuchni!

Gospośia nie reagowała. Przyglądała się dziewczynie jasnoniebieskimi, wypłowiałymi oczami. Nagle uśmiechnęła się i był to uśmiech wyrażający tak zapiekłą wściekłość i taką skondensowaną nienawiść, że Ewa krzyknęła cicho i chwyciła rękę Krystyny, jakby szukając obrony. Dominika uśmiechnęła się jeszcze raz, odwróciła się i wyszła.

— Stara wiedźma! — wybuchnęła Ewa nerwowo. — Nienawidzi mnie i okazuje tę nienawiść na każdym kroku. A ten idiota, Karol, nie chce jej wywalić.

Tymczasem ja się boję. Wchodzi bez pukania, nic nie mówi, stoi i świdruje tymi swoimi wyblakłymi oczyskami albo się uśmiecha. Nie do wytrzymania. Nie mogę jej znieść, rozumiecie? Od rana do wieczora szpieguje! Nie mogę wyjść z domu, bo ona idzie za mną. Nie mogę się z nikim spotkać, bo ona podsłuchuje, a potem donosi Karolowi.

Trochę demonizujesz pocziwą Dominikę — powiedziała Krystyna.

Dlaczego jednak Karol zatrzymał Dominikę, tego nie rozumiała. Po co mu ona?

Dominika kocha Annę, Anna kocha Dominikę. Poza tym ma własne mieszkanie i to podobno bardzo ładne. Dominika z pewnością wolałaby mieszkać z Anną, której przydałaby się bardziej niż Karolowi. Coś tu jest nie tak — zastanawiała się Krystyna.

Nie demonizuję — zaprzeczyła Ewa. — Ta stara mnie nienawidzi.

Och, to zbyt mocne słowo: nienawidzi. Rzeczywiście, Dominika jest przywiązana do pierwszej żony Karola. Trudno jej ciebie zaakceptować. Zresztą Karol nas wszystkich zaskoczył, żeniąc się tak nagle. Musisz wykazać więcej cierpliwości. Cierpliwości i tolerancji.

— Dziękuję pani za lekcję — obruszyła się Ewa — lecz nie zamierzam tolerować tej starej wiedźmy w swoim domu. Bo to teraz jest mój dom — powiedziała z naciskiem. — To wszystko jest moje. Należy do mnie. A Karola też potrafię zmusić. Zrobi dokładnie to, co ja mu każę.

— Będzie to dość trudne — zauważyła Krystyna. — Znam twojego męża dłużej niż ty, jest apodyktyczny.

— Nie szkodzi. Mam na niego swoje sposoby.

— Nie wątpię, że masz swoje sposoby — powiedziała znacząco Krystyna. Wstała. — Wybaczcie, ale muszę zapalić. Papierosy zostawiłam w salonie.

Rozsunęła oszklone drzwi i wyszła.

— A pan? — Ewa zaatakowała Smugę. — Pan również myśli o mnie, że jestem okropna, prawda? Starą gosposię zamierzam wyrzucić na bruk. Lecz ta stara ma swój rozum, chociaż wygląda na debilkę. O, ja doskonale wiem, co ona planuje. Ona mi zresztą wprost powiedziała, że to nie mój dom, tylko tamtej. Że tamta tu jeszcze wróci. Od momentu, gdy mój mąż wprowadził mnie do swojego domu, ta cała Anna — chociaż nieobecna fizycznie — jakby tu była. To jest nie do zniesienia rozumie pan? Chciałam przemeblować pokoje, przede wszystkim sypialnię. Karol nie zgodził się. Powiedział, że Anna miała dobry gust i nie życzy sobie, żebym cokolwiek zmieniała. I wie pan co? Ja podsłuchałam; on do niej często dzwoni! o i ja o nim wiem dużo, bardzo dużo. I zamierzam to, co wiem odpowiednio wykorzystać. Tkwią tu mocno, nie pozwolę się zbyć byle czym. Biedaczek, trafiła kosa na kamień! Ta stara wiedźma też się stąd wyniesie, niech idzie do tej ukochanej Anny. Czy pan wie, że Karol kupił tej Annie mieszkanie? Cwa-niara! Wyłudziła od niego masę szmalu i pewno sądzi, że uda się jej wydębić więcej! Bezczelne babsko! Ośmiela się przychodzić do mojego domu jak do siebie! — i Ewa w pasji walnęła widelcem w talerz.

— Do niedawna to był jeszcze jej dom, proszę pani — odezwał się Smuga. Czując awersję do nowej żony Borowskiego. Gdzie Krystyna? — pomyślał. Towarzystwo Ewy mierziło go coraz bardziej.

— Pan zapewne też Annę lubi, szanuje, poważa i tak dalej?

— Zgadza się. Lubie, szanuję i... współczuję, proszę pani — powiedział. Krystyna wciąż nie wracała. Karol zbyt długo rozmawia z Anną, a ten dom niedługo zamieni się w piekło — pomyślał Smuga. Dlaczego Borowski zagustował w takiej dziewczynie? Ładna i młoda, lecz prostacka, wulgarna i chyba wyjątkowo głupia. Czy jest aż tak rozbijającą szczerą, że nie zachowuje nawet pozorów? A może tak pewna siebie?

— Krystyna! — zawołał półgłosem. — Krysiu!

— Szukam, szukam, lecz zapadły się jak pod ziemię — oznajmiła Krystyna, stając w rozsuniętych drzwiach. Ewa roześmiała się.

— Prawidłowo, ponieważ pani papierosy leżą jak byk obok pani talerza. Pani wyszła wyłącznie dlatego, aby podejrzeć lub podsłuchać mojego męża i jego wspaniałą byłą żonę. Pani z tych ciekawskich, nie?

Jakiż wrogi ton — zauważyła ze spokojem Krystyna. Zażona papierosa, zaciągnęła się głęboko. - Niepotrzebnie.

przejmie. Dam ci dobrą radę. Twój mąż wręcz nie znosi 1 "t które nie znają wstrzeźliwości w picu alkoholu. Nie k°bie także kobiet tak wulgarnie umalowanych oraz ubranych, *k ty Obawiam się, że nie doceniasz Karola, moja droga. ja Co chce pani przez to powiedzieć?

Tylko tyle, że Karol był dobrym mężem i bardzo swoją żonę kochał. Nie zawsze rozwód oznacza zwycięstwo. Czasem staje się życiową klęską. Mniej pewności siebie, dobrze ci radzę. To zasada, która może okazać się bardzo przydatna na przyszłość.

— Mam w nosie pani zasady! — wykrzyknęła Ewa. Nie pytając o pozwolenie, sięgnęła po papierosa z paczki Krystyny i zapaliła.

— Tadeusz — odezwała się Krystyna — obawiam się, że za moment zaboli mnie głowa, dostanę migreny i z wielką przykrością pożegnamy naszych przemiłych gospodarzy.

— Cóż za wersal! — prychnęła Ewa.

— Wolałabyś usłyszeć, że nie podoba mi się twoje zachowanie, twój ton, twoje maniery? — zaczęła z uśmiechem Krystyna i urwała, ponieważ w rozsuniętych drzwiach salonu stał Borowski, wyraźnie wzburzony, ze sztucznym uśmiechem, w towarzystwie Anny.

— Moi drodzy, dawno nie widzieliśmy Anny — oznajmił kurtuazyjnie Borowski; głos drżał mu lekko. — Ewo, pozwól, to jest właśnie Anna, zawsze powtarzałaś, że pragniesz ją poznać. Anno, a to jest moja żona, Ewa. Moi drodzy. Jesteśmy ludźmi kulturalnymi, na poziomie i mam nadzieję, że reszta wieczoru upłynie nam w miłej i przyjacielskiej atmosferze... Anno, pozwól bliżej, Ewa zaraz się tobą zajmie. Ewo, zrób koło siebie miejsce dla Anny — Borowski podprowadził Annę do stołu, jednak Ewa nie ruszyła się z miejsca. Wyglądała jak rozjuszona kocica, gotująca się do skoku z pazurami.

— Ewo — ponaglił Borowski — proszę, czyn honoru pani tego domu. Anna usiądzie między tobą, a swoim zagorzałym wielbicielem, Tadeuszem.

— Oczywiście! — powiedział pospiesznie Smuga. Wstał, lecz Ewa nadal siedziała nieporuszona, chociaż Borowski utkwiał w niej rozkazujące spojrzenie.

— Tak się cieszę z naszego spotkania. Tak dawno cię nie widzieliśmy Anno — wyjąkał Smuga. W pierwszej chwili w ogóle nie poznał Anny. Boże drogi, jak ona się zmieniła! Postarzała się, wychudła, jej czarne włosy są niemal całkowicie siwe, a bruzdy przy ustach ostre. — Boże drogi! — myślał Smuga, pochylając się zmieszany nad ręką Anny — choroba ją kompletnie wyniszczyła, biedna, biedna, chyba nigdy się nie pozbiera, nie wróci do normalnego życia. — Ucałował rękę Anny, objął ją, ucałował policzki. Rzucił proszące o pomoc spojrzenie żonie, bo sytuacja była nader kłopotliwa, natomiast Ewa oglądała Annę jak jakieś monstrum i najwyraźniej nie zamierzała pełnić wobec niej jakichkolwiek honorów domu, a Anna ledwo trzymała się na nogach, jej blada twarz przypominała pośmiertną maskę, Borowski natomiast wydawał się być bliski wybuchu.

— Jak się miewasz, moja kochana — odezwała się Krystyna, ściskając Annę. Szok, wywołany jej widokiem, minął i zamienił się w ogromne współczucie. — Ileż ona musiała wycierpieć — pomyślała Krystyna. — Anno, droga, siadaj tu, choćby na miejscu Tadeusza, skoro nowa pani tego domu nie zamierza się ruszyć. Karol, krzesło dla Anny i nakrycie — dyrygowała Krystyna, tymczasem Anna biernie, milcząco poddawała się uściskom. Krystynie drżały ręce, gdy rozkładała nakrycie. A ja modliłam się — pomyślała — żeby oszalała do końca... Czy ona nas poznaje? Tadeusza? Mnie? Karola?

— Anno, kochanie — powiedziała cicho — dlaczego milczysz? Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Usta Anny poruszyły się, nie wydając głosu.

A ja modliłam się... — pomyślała znowu Krystyna, dopiero wstrząśnięta własną podłością poczuła złość do Karola, bo dlaczego przyprowadził Annę do stołu? Jak mógł narazić ją na podobne upokorzenie?

Tak się cieszę, Anno, naprawdę... Oboje z Tadeuszem zaniedbaliśmy cię... Jeśli pozwolisz, będziemy cię odwiedzać, pomagać... Prawda, Tadeuszu?

— Oczywiście, oczywiście — zapewnił Smuga, pozwolisz, że wpadniemy do ciebie jutro? Kupimy ciasto... lody... a potem pójdziemy na dobry obiad do dobrej restauracji... Prawda, Tadeuszu?

— Oczywiście, oczywiście, świetny pomysł!

— Dziękuję — głos Anny zabrzmiał matowo, obojętnie. — Jednak jutro... jutro już mnie nie będzie...

— Dajcie spokój tym czułościom — wtrącił szybko Borowski. — Anna jest pod moją stałą opieką i wie, że na mnie może zawsze liczyć. Jeszcze nie zdarzyło mi się odmówić Annie pomocy. Czy nie mam racji?

— Tak. Masz całkowitą rację — odpowiedziała głucho Anna. Usiadła na podsuniętym przez Smugę krześle.

Na próżno Borowski dwoił się i troił, ze sztucznym uśmiechem zabawiając gości. Ewa, kilkakrotnie zganiona za nieuprzejme zachowanie wobec Anny, ostentacyjnie zamilkła, piła dużo, oczy jej błyszczały podniecone alkoholem i wrogością. Anna wciąż milczała, nietknięty plaster szynki leżał na jej talerzu. Smuga pogrążył się w niewesołych wspomnieniach, myślał o swojej zaprzepaszczonej szansie na awans i o tym, jak się czasem dziwacznie toczą ludzkie losy. Kochał Krystynę i tylko dla niej pozwalał sobą pomiatać, gdyby jednak na pierwszym roku studiów nie spotkał Borowskiego i nie zaprzyjaźnił się z nim, to całe jego życie potoczyłoby się innym torem.

— Krysiu, może poszlibyśmy do domu? — zaproponował w pewnym momencie.

— Jutro mam ciężki dzień w instytucie a i ciebie zdaje się boleć głowa?

— Jeżeli pójdziecie, to się obrażę — zagroził Borowski. — Dlaczego tak nagle? Czemu wmawiasz Krystynie, że ją boli głowa?

— Ale mnie naprawdę boli głowa, Karol. Mam migrenę. Ewa parsknęła krótkim, podobnym do szczeku śmiechem.

— Daj spokój, nie szukaj pretekstów — zasmucił się Borowski. — Przykro mi... Wiem, że to przyjęcie na razie jest nieudane, ale przecież my, Tadziu, jak za dawnych, dobrych czasów jeszcze się rozkręcimy.

— Boli mnie głowa i czuję się zmęczona — powtórzyła Krystyna.

— Zamiast mnie wesprzeć, występujesz przeciwko! Czy to ładnie? I pomyśleć, że kochałem się w tobie kiedyś niczym sztabak — zażartował Borowski. — A wiesz dlaczego? Ponieważ przyrządzałaś najwspanialszy na świecie koktajl, pamiętasz?

— Ja? — zdumiała się Krystyna. — Chyba wypileś zbyt wiele lub starzejesz się i tracisz pamięć. Tak się pomylić! Przecież to Anna była specjalistką od koktajli!

— Rzeczywiście, Anna! Jak mogłem zapomnieć? No tak! Anna!

— Nawet jeden z nich nazwaliśmy jej imieniem. Słynny koktajl Anny miał kolor białego wina, piło się go lekko, lecz działał niebezpiecznie jak narkotyk, bo człowiekowi nagle zaczęło się wydawać, że cały świat należy do niego — powiedziała Krystyna, zadowolona, że może podtrzymać rozmowę na neutralny

temat.

— W tej chwili bardzo by się przydało nam wszystkim podobnie optymistyczne złudzenie — odezwała się Ewa. — Chętnie napiłabym się tak rozweselającego trunku. Gdyby więc pani była łaskawa... — zwróciła się do Anny.

— Ewa! — upomniał Borowski.

Czy proponuję coś niestosownego? Zachwalacie ten nie-kły koktajl, więc czemu się go nie napić? Przy okazji odświeżylibyście swoje czułe wspomnienia. Ewa! Doprawdy, nie rozumiem, skąd twój gniew? — Ewa odęła pogardliwie wargi.

— Pomysł twojej żony nie jest zły. Ja również napiłabym się koktajlu Anny, właśnie po to, droga Ewo, aby odświeżyć czułe wspomnienia. W przeciwieństwie do ciebie, ponieważ jesteś tu nowa, mamy takich wspomnień wiele. I to nas łączy — Krystyna z przyjemnością odgryzła się Ewie.

— Nie śmiem prosić... — westchnął Borowski.

— Tobie, Anno, również dobrze zrobi szklaneczka — wtrąci! Smuga, ale Anna tak silnie zbladła, że przestraszył się. — Chyba nie sprawiłem ci przykrości? — zapytał przepraszająco.

— To miłe, że wszyscy pamiętacie mój koktajl — odezwała się Anna. Nagle chwyciła rękę Smugi i ścisnęła ją mocno. — Ty nie wiesz, Tadeuszu, jakie to straszne, tak czekać... Tak, dobrze, niech nareszcie się to skończy! Świetny pomysł, przyrządę koktajl, wypiję i już. Po prostu...

— Co ty pleciesz, Anno! — zdenerwował się Borowski. Spojrzała na niego z panicznym strachem.

— Powiedziałam coś nie tak? Przepraszam. Plotę. Tak, masz rację, plotę bez sensu. Wybacz, błagam. Skoro sobie życzysz, to oczywiście, oczywiście... — Anna wstała od stołu i zdecydowanym krokiem podeszła do barku. Przyglądała się różnorodnym butelkom z alkoholami. Barek był obficie zaopatrzony, więc nie zastanawiając się, wybrała kilka gatunków alkoholi i win, wlała do shakera i rozpoczęła mieszanie.

— Może nie należało... — szeptem zwrócił się do Borowskiego Smuga. — Anna wygląda fatalnie.

— No i bredzi od rzeczy — powiedziała nazbyt głośno Ewa.

— Ewa! — syknął Borowski. A ścisząc głos, odpowiedział. — Nie wiem, co należało, a czego nie. Znalazłem się w głupiej sytuacji. Sama nalegała, żeby tu wejść. Przecież nie mogłem jej wyrzucić za drzwi.

— Nie zapraszałeś Anny? — zdziwiła się Krystyna.

— Jej przyście zaskoczyło mnie w takim samym stopniu co was — odszeptał Borowski. — Nie wiem, po co przyszła. Pieniądze wysyłam jej regularnie — westchnął. — Jest w złym stanie, bardzo złym, to nie ulega wątpliwości. Nie chciałem jej drażnić, bo była ogromnie wzburzona. Dlatego tak długo przetrzymałem ją w holu, ponieważ chciałem się jej pozbyć, a potem zależało mi, żeby się uspokoiła... Proszę cię, Krysiu — powiedział głośno. — Służę ogniem.

— Jacy delikatni, szepczą konspiracyjnie — zawołała Ewa. — Ale ja powiem bez konspiracji, co myślę, przynajmniej będę szczerą. Nie wiecie, po co przylazła? A ja wiem! Żeby wydebić jeszcze szmalu! Ona jest z tych cwańszych, znam się na takich!

— Ewa! — krzyknął Borowski.

Stojąca przy barku Anna skuliła się. Butelka, z której dolewała do shakera jakiś alkohol, wypadła jej z rąk, potoczyła się cicho po miękkim dywanie.

— To oburzające — powiedział ostro Smuga. — Jak pani nie wstyd?

— E tam, ojczulku — zaśmiała się Ewa. — Wstyd to kraść i dać się złapać.

Borowski spurpurowiał. Pochylił się ku żonie i szepnął:

— Radzę ci w twoim własnym interesie, uspokój się. Radzę ci dobrze, moja kochana. Zachowujesz się dziś poniżej wszelkiej krytyki.

Wstał od stołu, podniósł butelkę i podszedł do Anny. Jej plecy drżały, jakby w tłumionym płaczu.

— Zostaw ten koktajl, obejdziemy się bez niego. Nie przejmuj się, przecież wiesz, jak szczerze jestem ci oddany. Ewa wypła zbyt wiele, co oczywiście, nie usprawiedliwia jej zachowania. Okaż wspaniałość i wybaczone. No, przestań płakać — łagodnie dotknął ramienia Anny. Odwróciła się gwałtownie z tak pogardliwym wyrazem twarzy, że Borowski czym prędzej cofnął dłoń.

Koktajl gotowy — oświadczyła krótko. — Zabawa skończona.

— Gotowy? To znakomicie! Jesteś nieoceniona, kochanie — powiedziała szybko Krystyna. — Zaraz rozproszą się złe nastroje. I może przejdzie mi ta przeklęta migrena? Pamiętam, Aniu, że twój koktajl zawsze działał jak środek przeciwbólowy.

Boże — pomyślała — mam dość tej ponurej komedii. Wyjść stąd. Wyjść. Czym prędzej.

— Pomóż mi, to ciężkie — odezwała się Anna do Borowskiego. — Weź shaker. Straciłam wprawę, dawno nie przyrzędałam tego koktajlu. Chyba przyrzędziłam go stanowczo za dużo.

— Och, wypijemy wszystko, do dna! Och, jakież aromaty, bukiet zapachów! — zachwycił się Borowski, niosąc shaker do stołu. — Pierwszy toast wypijemy, Anno, za twoje powodzenie w życiu. Wierzę, że spotka cię jeszcze wiele szczęścia.

— Między szczęściem a powodzeniem istnieje zasadnicza różnica — odparła Anna, zabierając z barku tacę z koktajlowymi szklaneczkami.

— Wobec tego zmienimy toast — zażartował Borowski. — Najpierw wypijemy za pomyślność, a potem za szczęście — odstawił shaker na stół. — Pozwól tacę. Też jest ciężka.

Rozstawiając szklaneczki przed nakryciami, obejrzał się, Anna nadal stała w miejscu.

— Pięć szklaneczek — powiedziała.

— Co takiego? — zdziwił się Borowski.

— Akurat pięć. Dlaczego akurat pięć? A gdzie szósta?

— Pewno się gdzieś zawieruszyła, kochanie. Czy to istotne? Siadaj, proszę.

— Pani troska o koktajlowe szklaneczki jest wprost wzruszająca — zaszczębiotała Ewa.

— Uspokój się wreszcie! — rzucił Borowski.

— Powiedziałam znowu coś nie tak? Dlaczego mordujesz mnie wzrokiem? Daruj, zamierzam jeszcze pożyć — Ewie na policzki wystąpiły krwawe rumieńce. Chwyciła shaker z koktajlem. — Kolor nietęgi, lecz zapach rzeczywiście wspaniały.

Pozwólcie, że chociaż was obsłużę — powiedziała z wściekłością. — A tych

szklaneczek było faktycznie sześć, ma pani dobrą pamięć i dobry gust, piękne te szklaneczki, zapewne kiedyś kupiła je pani w prezencie, może imieninowym, memu mężowi? — perorowała, obchodząc stół i nalewając koktajl.

— Proszę pana, telefon — w rozsuniętych drzwiach salonu pojawiła się Dominika.

— Należało powiedzieć, że wyszedłem.

— Mam powiedzieć, że pana nie ma?

— Teraz za późno. Pójdę odebrać. Niedługo podasz nam kawę i tort.

— Kawa już zaparzona — odparła oschle Dominika.

— Dla mnie herbata — powiedziała Krystyna.

— Herbatę też zaparzyłam.

— Jesteś nieoceniona — roześmiał się Borowski. — Prawda, Anno?

— Przypominam o telefonie.

— Do diabła! Zupełnie zapomniałem! — Borowski odczekał, aż gosposia zniknie. — Czasami aż mnie denerwuje, że jest tak idealna.

Od drzwi dodał prosząco:

— Kochani, ale nie pijcie beze mnie. Pierwszy toast za powodzenie Anny musimy spełnić wspólnie.

Ledwo zniknął, a Ewa podniosła szklaneczkę.

— Nie mam zamiaru czekać. Zdrowie! — upiła łyk. — Nawet nieźle — upiła ponownie. — Nawet bardzo dobre, pochwały były zasłużone. — Halo, kochanie? — zawołała do powracającego męża. — Tak szybko? A kto dzwonił? Może jakaś trzecia, dotąd nieujawniona żona?

— Upiłaś się — powiedział z niesmakiem Borowski. — Nie toleruję pijanych kobiet.

— Być może, być może — roześmiała się Ewa — lecz mimo swojej awersji jakoś nie przeszkadzałeś mi w picciu. Wiecie co? Ten koktajl podziałał na mnie rozweselająco. Bardzo mi wesoło!

— Nie będziesz więcej piła — przerwał ostro Borowski.

— Jeżeli sobie życzysz, nie będę. Przepraszam pokornie, wyrażam głęboką skruchę i wychodzę. Po pierwsze zastanowić się nad swymi niecnymi grzechami, a po drugie... po drugie jest mi trochę niedobrze. Muszę do toalety.

I Ewa zataczając się, wyszła. Borowski, zakłopotany, potarł czoło.

— Nie rozumiem zupełnie, co się z nią dzieje. Nigdy nie zachowywała się w taki sposób. Bardzo mi przykro.

— Po prostu wypiła za dużo. To zresztą twoja wina, ciągle jej dolewałeś.

Dziewczyna i tak ma mocną głowę albo wprawna w picciu — powiedziała złośliwie Krystyna. — Teraz koktajl Anny zwałił ją z nóg.

— Może go wreszcie spróbujemy? — zaproponował Smuga.

— Właśnie, najwyższy czas — zgodził się Borowski. Ujął szklaneczkę, uśmiechnął się do Anny. — Żeby ci się wiodło... Co tam znowu? Słyszycie? Chyba telefon... Tak, telefon! Nie dadzą mi dziś spokoju, naprawdę! — wybiegł szybko, nie zasuwając tym razem drzwi do salonu. Te do holu też musiały być otwarte, ponieważ zaraz rozległ się jego niecierpliwy głos:

— Halo? Halo? Kogo? Kogo pan prosi?

— Boże, nie wytrzymam dłużej — krzyknęła nagle Anna. — Nie wytrzymam!
— Anno, telefon do ciebie — Borowski zatrzymał się w rozsuniętych drzwiach do salonu. — Bądź uprzejma odebrać.

Anna spojrzała zdumiona.

— Do ciebie — powtórzył z naciskiem.

— Słuchaj — powiedziała Anna. — Proszę cię, nie rób ze mnie wariatki. Nie sądz, że tak pokornie zgodzę się na wszystko.

— Odbierz telefon! — wybuchnął Borowski — a potem porozmawiamy, kto z kogo robi wariata!

— Słuchaj — nie poddawała się Anna. — Nie wmówisz mi, że ktoś do mnie tu dzwoni. Do mnie nikt nie dzwoni. Telefon, który mi tak uprzejmie zainstalowałeś w moim nowym mieszkaniu, milczy jak zaklęty. Jeżeli ktoś dzwoni, to wyłącznie ty. Rozumiesz? Więc nie próbuj mi wmawiać, wiele udało ci się we mnie wmówić, jeszcze przed paroma minutami posłuchałabym ciebie, zrobiła, co każesz, ale ja zrozumiałam, że ty blefujesz, że...

— Jesteś chora, Anno — przerwał Borowski. — Bredzisz. Majaczysz.

— Mój Boże, żebyście wiedzieli... — Anna zwróciła się do Krystyny i Tadeusza.
— Gdybyście tylko znali prawdę...

— Doskonale. Zapamiętam to sobie — powiedział blady z gniewu Borowski. Odwrócił się i wyszedł.

— O, Boże — jęknęła Anna. — I kto mi uwierzy?

— Anna nie życzy sobie podejść do telefonu i rozmawiać z panem! — głos Borowskiego brzmiał gniewnie, a trzaśnięcie słuchawką wściekle.

— A więc, Anno — wycedził Borowski — winna mi jesteś wyjaśnienie.

— Zostaw ją — powiedział Smuga. — Anna jest chora.

— Czy to zresztą ważne, jakiś głupi telefon... — poparła męża Krystyna.

— Gdybyście poznali prawdę... — Anna nagle chwyciła kurczowo rękę Borowskiego. — Proszę cię, wypuść mnie stąd!

— Słuchaj, ty chyba ponownie zwariowałaś! — Borowski odskoczył jak oparzony.

— Opamiętaj się, nie urządź scen. Akurat my wszyscy cię doskonale znamy i wiemy o twoich skłonnościach do urojeń.

— Tadeusz! Krystyna! Ratujcie! On jest zdolny do...

— Tego już za wiele! — krzyknął Borowski. — Czego ty ode mnie chcesz? Czy ja cię zapraszałem? To ty zażądałaś tego spotkania, przyszałaś do mojego domu, stawiając i mnie, i moją żonę w niezręcznej sytuacji! Ewa już dawno straciła panowanie nad sobą. Starłem się być wobec ciebie uprzejmy, mając na uwadze twój nie najlepszy stan zdrowia. Lecz i moja cierpliwość ma granice. Jak ty się zachowujesz? Kazałaś komuś tu zadzwonić, potem nie chcesz odebrać telefonu, urządźdasz scenę za sceną. Cóż to za sprawa niecierpiąca zwłoki? Najwyższy czas, żebyś teraz, korzystając z nieobecności mojej żony, a za to w obecności świadków, raczyła ją wyjaśnić!

— Ja... — zaczęła Anna już spokojnie, chociaż była bardzo blada. — Ja... Mógłbyś mi oszczędzić czekania. To bardzo trudne, tak czekać.

— Słuchaj, co ty bredzisz, do diabła!

— Nie krzycz na nią, Karol. Czy nie widzisz, że jest bliska omdlenia? Że się czegoś potwornie boi? — odezwała się Krystyna, myśląc, że Anna cały czas od momentu przyścia czegoś się bardzo obawia.

— Odprowadzimy cię do domu, zajmiemy się tobą — Smuga uśmiechnął się do Anny współczująco. — Nie martw się, kochana. Jesteś po prostu zmęczona.

— Urządza sceny — mruknął Borowski. — Jak dawniej. Po co tu przysła? Czego chciała? Was to nie interesuje? Jacy do-brzy! Okazują współczucie wariatce!

— To nie było grzeczne — Krystyna wstała. — Rozumiem, jesteś zdenerwowany, nie tyle zachowaniem Anny, co swojej młodej żony, bo to ona zachowywała się kompromitująco i jak widać, ma poważne kłopoty z opuszczeniem łazienki.

Pozwolisz, że się pożegnamy, zaś Anna odjedzie z nami, pod naszą opieką.

— Tak mi przykro — prosząco odezwał się Borowski. — Zostańcie.

Niepotrzebnie się uniosłem. Przepraszam.

— Tadeusz, dzwón po taksówkę! — Krystyna zignorowała przeprosiny Karola, była na niego wściekła, tak traktować Annę! Dlaczego Karol zaprosił ją do stołu? I coś najwyraźniej mataczył. Anna należała do dumnych kobiet, jeżeli nawet miała do niego ważną sprawę, to dlaczego nie załatwili jej gdzie indziej? Willa jest duża, ma wiele pokoi, Karol nie mu-siał Anny przyprowadzać do jadalni.

— Ależ, Krysiu, chyba nie wyjdziecie bez pożegnania z moją żoną? Byłoby jej bardzo przykro. Zaraz po nią pójdę. Poczekajcie chwilkę.

— Jeżeli potrafisz ją otrzeźwić! — rzuciła Krystyna, lecz Borowski nie słuchał, wyszedł drugimi drzwiami, prowadzą-cymi przez pasażyk gospodarczy do łazienki oraz kuchni.

— Co za koszmarny wieczór — westchnęła Krystyna.

— Chciałaś tu przyjść — zauważył Smuga i dodał w my-śli — żeby zobaczyć swojego dawno niewidzianego kochanka.

— Chciałam, chciałam — burknęła Krystyna. — Nie wy-mawiaj mi, ledwo żyję. Dzwón po tę taksówkę, ponieważ wą-pię, czy Karol zdoła docucić swoją wspaniałą żonecz-kę... — urwała. W pasażu stał Borowski. W ramionach trzy-mał bezwładne ciało Ewy.

— Boże... — powiedziała Krystyna.

Borowski ciężkim krokiem przeszedł pokój, zatrzymał się przed fotelem. Ostrożnie ułożył w nim Ewę. Głowa jej opadła na piersi, a długie, ciemne włosy zasłoniły twarz.

— Na litość boską, co się stało? —jęknął Smuga. Borowski milczał. Pochylił się nad leżącą. Odgarnął włosy

z twarzy. Jej wzrok był martwy, a usta miały kolor ołowiu. Krystyna krzyknęła.

— Pogotowie... trzeba pogotowie! — zawołał Smuga. Borowski uparcie milczał. Trzask rozbijającego się szkła, to Anna straciła talerz ze stołu. Podbiegła do fotela. Zajrzała w szkliste oczy Ewy.

— Nie żyje. Ona? — powiedziała, jakby się dziwiąc. — Dla-czego ona? Dotknęła ręki zmarłej.

— Nie żyje — powtórzyła.

I wciąż z tym zdumieniem na pobladłej twarzy rozejrzała się po zebranych.

— To ona została otruta? Dlaczego ona?

ROZDZIAŁ, TRZECI

— J!rzejdę się piechotą.

— Nie wygłupiaj się — niecierpliwił się Żabicki w głębi wozu. — Wsiadaj. Padasz z nóg. Stąd masz dobre dziesięć ki-lometrów do centrum i fatalne połączenie komunikacyjne. No, wsiadaj.

— Jeśli się zmęczone spacerem, wezmę taksówkę.

— Och, rób, co chcesz, ty uparciuchu! — Żabicki trzasnął drzwiczkami milicyjnego fiata. Wóz ruszył, za moment znik-nął za rogiem wąskiej uliczki. Zbliżała się szósta rano. Było jeszcze wcześniej, a dzień w pełni już rozkwitł. Niebo czyste, jednolicie błękitne. Słońce piekło niemiłosiernie mimo wczesnej pory. Andrzej przerzucił marynarkę przez ramię, rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk Przykoszuli. Duszno. Ranek zapowiadał piekielny upał. Bę-dzie męczący jak noc, która minęła. Annę Borowską, podej-rzaną o dokonanie zabójstwa Ewy Borowskiej, zatrzymał go-dzinę temu. Przyjęła to obojętnie i biernie, jakby bez większe-go wrażenia.

Przystanął. Zapalił papierosa. Który to z kolei? Trzydziesty? Czterdziesty? Stracił rachubę. Obejrzał się, szukając kosza na

śmieciami, ale w tej cichej, willowej uliczce nikt nie zatroszczy! się

0 kosze na śmieci. Obraca! wypaloną zapalną w palcach.

Co z nią począć? — pomyślał i rozbawiony swoimi skrupu-łami odrzucił zapalną na chodnik.

Biała willa została jakieś pięćdziesiąt metrów w tyle. Jej olśniewająca biel wydawała się Andrzejowi nienaturalna, jak-by fałszywa, podstępna prawie. Za biała. Za czysta. A teraz — za cicha. Uliczka również udawała, że śpi. To luksusowa dziel-nica, luksusowa uliczka, a przy niej wille tonące w kwiatach

1 otoczone wysokimi parkanami z żywopłotów lub siatek na podmurówkach, zabezpieczone w domofony i potrójne zamki. Obojętne, ciche, uspięne. Ani jednej głowy ciekawie wygląd-jącej zza firanki. A przecież milicyjne syreny wyły tu całą noc, podczas której mieszkańcy luksusowych domów nie zaznali ani spokoju, ani wypoczynku. Syreny wyły, zwiastując nie-szczęście, nagłą śmierć, zbrodnię, przestępstwo. Przed paroma minutami odjechał ostatni fiat, a tu wciąż pozorowany spokój i obojętność, która wprawiła Andrzeja w zamyślenie. Raz jeszcze odwrócił się, spojrzął na białą willę Borowskich. Archi-tektonicznie nie była ciekawa, intrygowała wyłącznie bielą. Nawet dach biały. No i ten rozlewający się wokoło czerwienią ogród róż, który był niewątpliwie piękny i dodatkowo oszała-miał zapachami.

Znowu przystanął. Gdzieś w okolicy serca poczuł silne uktucie.

Za dużo papierosów — pomyślał i natychmiast zapalił ko-lejnego, już ostatniego.

Zmiał paczkę. Zawahał się, co innego wyrzucić zapałkę, ale paczkę po papierosach? Z irytacją wsadzi! zmięte opakowanie do kieszeni, a potem z jeszcze większą je wyjął i cisnął między gałęzie żywopłotu.

Zdecydowanym krokiem zawrócił.

Furtka przy bramie Borowskich pozostała niedomknięta. Pchnął ją i od razu zanurzył się w gąszczu róż. Szedł dusznym czerwono-krwistym tunelem.

— Trzeba być wariatem — pomyślał Andrzej — żeby założyć sobie taki ogród.

Wyminął kiczowatą fontannę w kształcie delfina, przeszedł przez biały taras. Na białym, ażurowym stoliku, otoczonym czterema białymi fotelami, płonęła róża. Nie znał się na odmianach, ale ta była wyjątkowej urody: na wysmukłej łodydze delikatny, jeszcze nierozkwitły, aksamitnoczerwony pąk.

Świeżo zerwana — pomyślał.

Przyjrzał się róży i zauważył, że nie została ona zerwana, lecz ścięta. Jakby przed chwilą, bo łodyga wciąż jeszcze wilgotna, na pąku wisiała kropla rosy, natomiast do zielonego, sztywnego listka dopięta była biurowym spinaczem karteczka.

Róża z miłosnym liścikiem? — pomyślał Andrzej. Odłożył kwiat na stolik. Przecież nie wypada czytać cudzych liścików. Przeszedł kilka kroków i raptownie zawrócił.

Nagle uświadomił sobie, że jeszcze dziesięć minut temu tej róży tu nie było!

Dziesięć minut temu szli tedy razem z Żabickim i obaj zatrzymali się przy tym właśnie stoliku, szukając popielniczki. Kto tę różę podrzucił, korzystając, że milicja wraz z prokuratorem opuścili willę Borowskich?

Odpiął karteczkę i odłożył spinacz. Przeczytał: PAMIĘTAJ O RÓŻY. Wyznanie miłosne? Na pewno wyznanie? Kto jest adresatem? Kto autorem? Ewa Borowska nie żyje od kilkunastu godzin. Annę Borowską zabrano stąd godzinę temu. Krystyna Smuga wraz z mężem zostali zwolnieni do domu po przesłuchaniach około drugiej w nocy. Gospoia, jak jej tam... Domini-ka, w rachubę nie wchodzi, to oczywiste.

Kto jest nadawcą? Bo adresat może być tylko stąd. I tylko właściciel tej luksusowej willi i tego obsesyjnie czerwonego ogrodu. Karol Borowski. PAMIĘTAJ O RÓŻY.

Miłosny bilecik, dopięty ordynarnym spinaczem biurowym? Wykaligrafowany pismem technicznym? ^ jakiego powodu zakochana kobieta, romantyczna wielbiciel-ka róż wypisuje swoje wyznanie pismem technicznym? Dba

śmiec, ale w tej cichej, willowej uliczce nikt nie zatroszczył się

o kosze na śmieci. Obracał wypaloną zapałkę w palcach.

Co z nią począć? — pomyślał i rozbawiony swoimi skrupułami odrzucił zapałkę na chodnik.

Biała willa została jakieś pięćdziesiąt metrów w tyle. Jej olśniewająca biel wydawała się Andrzejowi nienaturalna, jak-by fałszywa, podstępna prawie. Za biała. Za czysta.

A teraz — za cicha. Uliczka również udawała, że śpi. To luksusowa dziel-nica, luksusowa uliczka, a przy niej wille tonące w kwiatach

1 otoczone wysokimi parkanami z żywopłotów lub siatek na podmurówkach, zabezpieczone w domofony i potrójne zamki. Obojętne, ciche, uśpione. Ani jednej głowy ciekawie wyglądającej zza firanki. A przecież milicyjne syreny wyły tu całą noc, podczas której mieszkańcy luksusowych domów nie zaznali ani spokoju, ani wypoczynku. Syreny wyły, zwiastując nie-szczęście, nagłą śmierć, zbrodnię, przestępstwo. Przed paroma minutami odjechał ostatni fiat, a tu wciąż pozorowany

spokój i obojętność, która wprawiła Andrzeja w zamyślenie. Raz jeszcze odwrócił się, spojrzął na białą willę Borowskich. Architektonicznie nie była ciekawa, intrygowała wyłącznie bielą. Nawet dach biały. No i ten rozlewający się wokoło czerwienią ogród róż, który był niewątpliwie piękny i dodatkowo oszałamiał zapachami.

Znowu przystanął. Gdzieś w okolicy serca poczuł silne ukłucie.

Za dużo papierosów — pomyślał i natychmiast zapalił kolejnego, już ostatniego. Zmiał paczkę. Zawahał się, co innego wyrzucić zapałkę, ale paczkę po papierosach? Z irytacją wsadził zmięte opakowanie do kieszeni, a potem z jeszcze większą je wyjął i cisnął między gałęzie żywopłotu.

Zdecydowanym krokiem zawrócił.

Furtka przy bramie Borowskich pozostała niedomknięta. Pchnął ją i od razu zanurzył się w gąszczu róż. Szedł dusznym czerwonokrwistym tunelem.

— Trzeba być wariatem — pomyślał Andrzej — żeby założyć sobie taki ogród.

Wyminął kiczowatą fontannę w kształcie delfina, przeszedł przez biały taras. Na białym, ażurowym stoliku, otoczonym czterema białymi fotelami, płonęła róża. Nie znał się na odmianach, ale ta była wyjątkowej urody: na wysmukłej łodydze delikatny, jeszcze nierozkwitły, aksamitnoczerwony pąk.

Świeżo zerwana — pomyślał.

Przyjrzał się róży i zauważył, że nie została ona zerwana, lecz ścięta. Jakby przed chwilą, bo łodyga wciąż jeszcze wilgotna, na pąku wisiała kropla rosy, natomiast do zielonego, sztywnego listka dopięta była biurowym spinaczem karteczka.

Róża z miłosnym liścikiem? — pomyślał Andrzej. Odłożył kwiat na stolik. Przecież nie wypada czytać cudzych liścików. Przeszedł kilka kroków i raptownie zawrócił.

Nagle uświadomił sobie, że jeszcze dziesięć minut temu tej róży tu nie było!

Dziesięć minut temu szli tedy razem z Żabickim i obaj zatrzymali się przy tym właśnie stoliku, szukając popielniczki. Kto tę różę podrzucił, korzystając, że milicja wraz z prokuratorem opuścili willę Borowskich?

Odpiął karteczkę i odłożył spinacz. Przeczytał: PAMIĘTAJ O RÓŻY. Wyznanie miłosne? Na pewno wyznanie? Kto jest adresatem? Kto autorem? Ewa Borowska nie żyje od kilkunastu godzin. Annę Borowską zabrano stąd godzinę temu. Krystyna Smuga wraz z mężem zostali zwolnieni do domu po przesłuchaniach około drugiej w nocy. Gospościa, jak jej tam... Dominiśka, w rachubę nie wchodzi, to oczywiste. Kto jest nadawcą? Bo adresat może być tylko stąd. I tylko właściciel tej luksusowej willi i tego obsesyjnie czerwonego ogrodu. Karol Borowski. PAMIĘTAJ O RÓŻY. Miłosny bilecik, dopięty ordynarnym spinaczem biurowym? Wykaligrafowany pismem technicznym? Z jakiego powodu zakochana kobieta, romantyczna wielbicieleńka róż wypisuje swoje wyznanie pismem technicznym? Dba o anonimowość? Dlaczego podrzuca swoje wyznanie nad ranem i to tuż po dokonanej w tym domu zbrodni?

Przypiął karteczkę do listka i odłożył różę na stolik. Francuskim oknem przeszedł wprost do holu. Zatrzymał się przed stolikiem, na którym stał telefon i na którym wczoraj znalazł torebkę Anny Borowskiej. Ta porzucona, jakby zapomniana torebka wzbudziła w nim niepokój. Kobiety na ogół nie lubią rozstawać się z torebkami, a

tymczasem Anna porzuciła swoją zaraz po przyjściu do byłego męża.

Anna Borowska nie była jeszcze stara, na zniszczonej, wychudłej chorobliwie twarzy pozostały ślady wielkiej urody. Miała bardzo duże i bardzo jasne oczy. Ale jakiego koloru? Nie potrafił sobie przypomnieć. Ręce przez cały czas przesłuchania trzymała splecione nieruchomo, wyglądały jak martwe. Podczas przesłuchania patrzyła obojętnie i ze znużeniem na milicjantów, zupełnie niezainteresowana tym, co się wokół niej dzieje. Jakby znajdowała się gdzieś daleko, bardzo daleko i to, co stało się w domu Karola Borowskiego, nic ją nie obchodziło. Przesłuchując Annę, Andrzej odnosił wrażenie, że mówi do kogoś, kto nie słyszy, nie widzi, nie reaguje, aż w pewnym momencie, zdenerwowany, miał ochotę zamachać tej kobiecie czymś przed oczami, żeby spowodować obronny odruch powiek lub dłoni, spoczywających nieruchomo na kolanach. Po tym dowiedział się, że Borowska choruje psychicznie i jest al-koholiczką, zrozumiał więc powody jej nienaturalnego zachowania, lecz stale niepokoił go bezruch wychudzonych dłoni. Ich martwota. Ich bezwład. Te dłonie, wciąż nieporuszone, w jednej pozycji, niczym sparaliżowane, budziły w nim sprzeciw, one nie broniły się, one się od razu poddawały. Gdy zmęczony przesłuchaniem, zamienił się z Żabickim i poszedł do holu, na tym przesłuchaniu, secesyjnym stoliku spostrzegł leżącą przy telefonie, szarą, mocno zniszczoną torebkę. Wiedział, że torebka nie należała do Krystyny Smugi, bo ta z kolei swoją nerwowo ścisnęła przy sobie. Nie należała do denatki, ponieważ była niemodna, a rzeczy młodej żony Borowskiego były nowe, drogie i eleganckie. Wniosek więc nasuwał się jeden — torebka należała do Anny Borowskiej. Od razu się zdziwił — dlaczego zostawiła ją tu na czas przyjęcia? Natomiast zawartość torebki jego zdziwienie spotęgowała. Borowska korzystała bowiem z leków antydepresyjnych, takich jak haloperidol, retalina. I jeżeli nosiła te leki ze sobą, to oznaczało, że korzystała z nich często lub o wyznaczonych przez lekarza godzinach. Skoro je zabrała, znaczyło, że w planie miała korzystanie z któregoś leku. Tym bardziej niezrozumiały stawał się fakt beztróskiego porzucenia torebki. Jeżeli nawet odłożyła ją podczas witania się z Borowskim, a potem zapomniała zabrać, to powinna była jednak po torebkę wrócić. Dlaczego tak nie postąpiła? Jak wytrzymała bez swoich leków tyle godzin, sama będąc w stanie skrajnego napięcia nerwowego?

— Pan tu? — usłyszał. Borowski stał w drzwiach gabine-tu. — Sądziłem, że wszyscy już opuścili mój dom — dodał.

— Wszyscy, poza mną — odparł Andrzej.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na nim Borowski ubiegłego wieczoru, nie było korzystne.

Gdy wraz z Żabickim przyjechali — po otrzymaniu od oficera dyżurnego meldunku o zgłoszonym zabójstwie — do willi Borowskiego, ta przywitała ich spokojem i ciszą. Zapadł już zmrok, różany ogród przybrał odcień głębokiej czerni i tylko ściany willi lśniły bielą. Milicyjny fiat hamował ostro, a sygnał syreny w wieczornej ciszy potrafiłby nawet umarłego postawić na nogi, lecz z willi nikt nie wybiegł i nie wyjrzał. Przeciskali się z Żabickim wąską ścieżką między krzewami róż. Żabicki zastanawiał się, czy to nie jest czasem jakiś kretyński kawał.

Nie był to jednak kretyński kawał, chociaż nawet w progu willi nikt na nich nie

czekał. Drzwi zastali zamknięte, musieli dzwonić. Otworzyła im stara kobieta. Miała lęk w wypłowiałych oczach. Milcząco, ruchem głowy wskazała im wejście do obszernego holu, wykładanego ciemną boazerią, z mozaikową posadzką parkietu. W ciemne drzewo boazerii wpuszczone były wysokie, wąskie lustra. Przez biały sufit biegły ciemne stropy. Żadnych mebli, jedynie ten secesyjny stoliczek pod telefon, podwieszane schody prowadzące na piętro, ozdobione balustradą kunsztownie rzeźbioną w kwiatowe ornamenty oraz wielki, sześcioramienny, secesyjny żyrandol zwisający z sufitu. Zatrzymali się w holu, zdezorientowani, ponieważ gosposia zniknęła za jakimiś drzwiami, zaś z wnętrza domu nie dobiegał żaden dźwięk. Wszędzie panowała cisza. Otworzyli drzwi z lewej strony holu. Ujrzeni duży pokój, który pełnił rolę jadalni. Na środku stał długi, prostokątny stół, za którym siedziały dwie bardzo blade kobiety i dość krępy mężczyzna z twarzą zasłoniętą dłońmi. Mąż — pomyślał wtedy Andrzej. Ale okazało się, że mężem był drugi mężczyzna, który stał przy kredensie lub dużym barku, zastawionym butelkami markowych alkoholi. Wysoki, zadbany blondyn. Wyglądał tak, jakby dopiero co wrócił od fryzjera, krawca i kosmetyczki. Ubranie letnie, jasne, świetnie skrojone, leżało na wysokim blondynie, jakby je przed chwilą włożył po raz pierwszy, kanty spodni nieskazitelne, krawat zawiązany idealnie, a ciemna chusteczka wystawała przepisowo z kieszonki przy marynarce. Buty też miał jasne.

— Panowie — odezwał się — moją żonę otruto. Głos brzmiał chłodno, nie wyrażał żadnych emocji, twarz wyglądała jak maska. Andrzej widywał wiele osób, które w sposób tragiczny, także przez zabójstwo, traciły swoich bliskich, lecz po raz pierwszy spotkał się z takim opanowaniem.

— Nazywam się Karol Borowski, to ja zawiadomiłem milicję. Moją żonę otruto w trakcie prośzonej kolacji — powtórzy! mężczyzna.

— Skąd pan wie, że pańską żonę otruto? Jest pan lekarzem? — zapytał Andrzej, przyglądając się wymuskanemu facetowi, który przedstawił się jako mąż ofiary. Oczy Borowskiego miały dziwny kolor, były rybie, zimnoniebieskie, a może zimnoszare.

— Proszę uściślić swoją wypowiedź! — odezwał się Żabicki. Po jego kilku krótkich poleceniach dom Borowskiego zapełnił się ludźmi. Lekarz sądowy badał denatkę, fotograf z ekipy śledczej robił zdjęcia, technicy zabezpieczali ślady.

— Bo ona tak powiedziała — wyjaśniał Borowski, oskarżycielsko wskazując na Annę Borowską. — To moja pierwsza żona, rozwiodłem się z nią — dodał. — I właśnie, gdy przyniosłem ciało żony do jadalni, Anna powiedziała: „Ona została otruta”. Przy świadkach. Obecni tu mogą potwierdzić.

Anna Borowska nie umiała wyjaśnić, dlaczego podeszła do ciała zmarłej dziewczyny, dotykała jej ręki, zaś na koniec stwierdziła, że Ewa została otruta. Nie umiała również wyjaśnić powodu, dla którego przyszła akurat dzisiaj do swojego byłego męża, dlaczego domagała się wprowadzenia jej do gości ani dlaczego została na kolacji, na którą nie była zaproszona. Milczała uparcie. Splotła wychudzone ręce w supeł, pałała przed siebie, omijając spojrzenia przesłuchujących. Jej oczy, nienaturalnie duże w wąskiej, wychudzonej twarzy, kiedyś piękne, teraz były jakby martwe, zastygłe w ogromnym cierpieniu. Jednak w oczach Borowskiego nie było

cierpienia. Borowski nie okazywał najmniejszych emocji.

Dziwny facet — pomyślał Andrzej.

— Szuka pan czegoś, prokuratorze? — przerwał przeciągające się milczenie Borowski.

— Nie — odpowiedział Andrzej. — Nie szukam.

— Więc? — w głosie Borowskiego zabrzmiała irytacja. Tylko irytacja.

Ten człowiek stracił żonę. Całą noc spędził na nogach. A w dalszym ciągu wygląda! tak, jakby wyszedł! prosto z salonu mody. Nawet węzeł krawata był nieprzekrzywiony. Marynarka zapięta na wszystkie guziki. Włosy gładko zaczesane.

— Więc — odpowiedział Andrzej — musi się pan przyzwyczaić, że teraz nie tylko ja będę tu częstym gościem. Musi się Pan również odzwyczaić od zadawania nam pytań.

— Nie rozumiem — oświadczył Borowski. — Jakim prawem?

— Zanim ustalimy wszystkie okoliczności śmierci pańskiej żony, będziemy, czy pan tego sobie życzy czy nie, musieliby jeszcze kilka razy pana przesłuchać.

— Chyba znaleźliście sprawcę! Aresztowaliście winną!

— Proszę pana, Anna Borowska jest podejrzana, to prawda. Ale winy jej jeszcze nie udowodniliśmy.

— Uważam, że wina mojej byłej żony jest bezsporna — odpowiedział z przekąsem Borowski.

— To pana zdanie... Mogę wejść tam? — Andrzej wskazał na gabinet.

Borowski wzruszył ramionami. Odsunął się niechętnie, bez zapraszającego gestu. Wnętrze uderzyło półmrokiem. Okna były szczelnie zasłonięte storami, a gabinet oświetlały jedynie dwa boczne kinkiety.

— Proszę odsłonić okna — powiedział Andrzej.

— To polecenie?

— Prośba. Nie lubię ciemności.

— Pan jest przeczulony, panie prokuratorze. Dzięki zasłoniętym oknom w moim gabinecie panuje przyjemny chłodek. To południowa wystawa, rozumie pan?

— Do południa daleko. Na razie słońce niedawno wzeszło.

Borowski szarpnął zasłonę. Struga światła wpadła do wnętrza. Za oknami czerwieniły się róże.

— Ma pan piękny ogród. Wyrafinowany. Tylko róże i tylko w czerwieni.

Borowski rozchmurzył się.

— Piękny, to prawda — podchwycił temat. — Róże to moja wielka pasja.

Kocham je. Są piękne, doskonałe i wyrafinowane, jak pan słusznie zauważył.

Wyrafinowane w formie, kształtach i kolorze. Róże są symbolem absolutnego zwycięstwa.

— Zwycięstwa? — zastanowił się Andrzej. — Ciekawa interpretacja. Róże jako symbol zwycięstwa?

— Wyniosłe, chłodne, idealne. Róża to królowa kwiatów. Przewyższa wszystkie. Niech pan spojrzy na tę czerwień. Ileż ma odcieni, od purpury aż po krew.

— Ciekawe... — powtórzył Andrzej i nagle poczuł głód ni-kotyny. — Mam do pana prośbę, skończyły mi się papierosy, a wydaje mi się, że pan pali...

— Ależ oczywiście — pospieszył uprzejmie Borowski, już wyraźnie rozluźniony. Podsunął lakowe etui z papierosami. Leżały ułożone gatunkami, jak w defiladowym szyku. — A może kawy? Kieliszek koniaku? Musi być pan zmęczony.

— Dziękuję. Papieros w pełni mnie satysfakcjonuje — od-parł kurtuazyjnie Andrzej. Rozglądał się z ciekawością po ga-binecie. Wygodne fotele, pokryte skórą. Biedermeierowskie biurko lśniło idealną czystością.

Pedant — pomyślał Andrzej. — To biurko wygląda tak, jak-by dopiero zostało odrestaurowane. Ściany obudowane rega-łami i książki, książki, setki woluminów. Bibliofil?

— Ma pan bogaty zbiór biblioteczny — zwrócił się do Bo-rowskiego.

— Owszem. Ponad trzy tysiące tomów.

— Pozwoli pan?

Zbliżył się do półek. Wspaniałe zbiory. Coś jednak raziło. Co? Idealny porządek?

Wojskowy szyk? Ustawienie książek jak pod sznurek? Nowość okładek?

Szedł wolno wzdłuż regałów. Te książki chyba jednak nie były czytane. Mimo pozornego porządku na tych regałach pa-nował kompletny chaos: Zweig stał obok Dickensa, London obok Konopnickiej, Tołstoj obok Konwickiego, Gogol obok Słownika pisarzy polskich, Encyklopedia staropolska przy Ho-dowli trzody chlewnej. Wydawnictwa przyrodnicze, rolnicze, encyklopedyczne, krajoznawcze, geograficzne, podróżnicze, Przygodowe, beletrystyczne — wszystko to było poukładane bez ładu i składu. Andrzej zastanawiał się, jaki klucz obowiąz-uje na tych półkach? Małe wydanie Pana Tadeusza sąsiadowało z kryminałem Edigeja, obok wysokiej Historii filozofii Tatarkie-wicza dopasowana identycznymi rozmiarami stała pozycja spe-cjalistyczna Deszczowanie — wykonawstwo i eksploatacja. Z kolei biały grzbiet Kazań Skargi sąsiadował z białym, tej sa-mej wysokości grzbietem Sztuki stówa Krzyżanowskiego. Cóż za melanz i jaka wszechstronność zainteresowań. Znajdowała się tu literatura obca, polska, ale także książki z zakresu kryty-ki literackiej, lingwistyki, religioznawstwa, filozofii, socjologii, filmu, sztuki, biologii, geografii, pamiętnikarstwa i rolnictwa.

Biblioteka snoba — pomyślał Andrzej. — Snoba, który pozu-je na wszechstronnego erudyte. Przyglądał się teraz tym zbio-rom z politowaniem i jednoczesną zazdrością, odczytywał wiele tytułów, wielu autorów, których pragnąłby mieć w swojej wła-snej bibliotece. Trzy tysiące, cholera! I nagle poczuł niepokój. Zaniepokoiły go te nowiutkie, nieczytane książki. Za dużo ich i zbyt wielka rozpiętość tematyczna, nawet jak na księgozbiór snoba. Filozofia, socjologia, sztuka, krytyka literacka pasowa-łyby do takiego snobistycznego księgozbioru, ale skąd znalazły się w nim wydawnictwa rolnicze? Zamiłowanie do uprawy róż nie usprawiedliwia takich pozycji, jak Nowoczesny chów trzody chlewnej lub Kompleksowa mechanizacja rolnictwa. Ten księ-gozbiór sprawiał wrażenie, jakby jego właściciel szedł do księ-garni i kupował absolutnie wszystko, co akurat zostało wydane. A potem długo głowił się, w jaki sposób ustawić książki, aż zna-lazł rozwiązanie: tom musiał pasować do tomu wysokością, ob-jętością oraz kolorem grzbietów okładek. I w taki sposób zbudo-wał dekorację z książek. Efektowna dekoracja. Służąca wyłącz-nie

dla wizualnego efektu? O to chodziło Borowskiemu? Cholera, tylko o to? Borowski nie wygląda na tępaka. A jednak w pomieszczeniu tych woluminów i w ich doborze widać brak logiki. Po jakiego diabła Borowskiemu na przykład te wszystkie wydawnictwa rolnicze, tak ściśle specjalistyczne?

Na dolnej półce trzeciego regału zauważył rząd książek mocno sfatygowanych i zniszczonych zębem czasu. Więc jednak Borowski ma jakieś zainteresowania. Książki wyglądały na skupowane w antykwariatach. Sięgnął po jedną i czytając tytuł, zdumiał się: Badania nad owczarstwem nizinnym w wieku osiemnastym. Szybko wyjął kolejną pozycję i też się zdiwiał: Podstawy gospodarcze formowania się państw słowiańskich. Aha, inżyniera Borowskiego interesuje historia. Ciekawe. Nawet bardzo. Odłożył tom na miejsce, nie dając po sobie poznać, że ten jeden jedyny dział, który nie został ułożony według rozmiarów tomów, lecz tematycznie, i w którym książki nie były nowe, zainteresował go szczególnie. Bo jeżeli owe książki są cenione przez Borowskiego, jeżeli tak często po nie sięga, bo są jego ulubioną lekturą, to dlaczego przeznaczył dla nich tak niewygodną w użyciu, najniższą półkę? Dlaczego w tym jedynym dziale obowiązuje klucz tematyczny, zaś cała masa, setki książek zawalają półki chaotycznie? Wreszcie, czemu Borowski układając ten dział na najniższej półce, pominął inne wydawnictwa historyczne, tylko porozrzucił je luźno, na dziesiątkach innych półek? Dlaczego nie stoją tutaj encyklopedie historyczne? Dlaczego między Słówkami Boya a Listami do Delfiny Potockiej płacze się Książę Józef Poniatowski Askena-zego? Nowiutkie wydanie Księcia Józefa Poniatowskiego pasowało co prawda idealnie barwą jasnej okładki oraz objętością do jasnych okładek i objętości tomów Boya i Krasieńskiego, lecz przecież Askenazy powinien znaleźć się na tej dolnej półce.

Powrócił na miejsce. Borowski otoczył się smugą dymu papierosowego. Zaciągał się nerwowo i łapczywie. Ręka mu drżała.

Jest zaniepokojony — pomyślał Andrzej. — Ale czym? Moim przeglądem półek bibliotecznych?

— Piękny księgozbiór — powiedział. — Ma pan wszechstronne zainteresowania. Ale, jak zauważyłem, preferuje pan historię.

— Lubię grzebać w starociach — odparł Borowski, odkładając niedopalony papieros na popielniczkę. — Nieco dziwne upodobania jak na inżyniera elektryka, prawda?

— Dlaczego dziwne? — wzruszył obojętnie ramionami Andrzej. — Uważam, że nie istnieją dziwne zainteresowania. Historia to bardzo interesujące hobby.

— Mam kilka wartościowych wydawnictw. Czasem da się coś wygrzebać w antykwariatach.

— Zazdroszczę panu takiej wspaniałej biblioteki. Moje zainteresowania są o wiele skromniejsze od pańskich, nie potrafiłbym się pasjonować mechanizacją rolnictwa czy hodowlą trzody chlewnej, ale uwielbiam literaturę pamiętnikarską, a tej u pana widzę sporo. Lubię również książki poświęcone życiu wielkich ludzi, wie pan, różne niedyskrecje, dość pikantne szczegółiki. Ot, na przykład życie erotyczne i rozliczne romanse księcia Józefa Poniatowskiego z pierwszymi damami arystokracji polskiej. Askenazy, zresztą świetny stylistą, nadał życiorysowi Poniatowskiego ów szczególnie pikantny posmacek, więc książkę się czyta jak

Hrabiego Monte Christo. Nie—stety, książka miała niski nakład i rozeszła się błyskawicznie. Panu jednak udało się ją zdobyć.

— To dzięki znajomościom w księgarniach — odparł Bo—rowski.

Profan — pomyślał Andrzej. — Dał się złapać, co za profan. Nawet okiem nie mrugnął, gdy wygadywałem te brednie o pracy Askenazego. A więc kłamie: historia nie jest jego ko—nikiem. Dlaczego kłamie?

— Tak, bez znajomości się nie obejdzie, niestety — zgodził się Andrzej. — Może pan sobie jednak pozwolić na masowe kupowanie książek, jest pan człowiekiem majątnym.

— Owszem, dosyć.

— I właśnie interesuje mnie jako prokuratora, czy pan za—bezpieczył swój majątek?

— Zabezpieczył?

— No, nikt nie jest wieczny...

— Ach, chodzi panu o testament?

— Właśnie — przytaknął Andrzej.

— Oczywiście, należę do osób przewidujących. Podzieli—łem majątek sprawiedliwie. Między obie żony. Pół dla mojej byłej żony, Anny, i pół... — głos Borowskiemu załamał się i przeszedł w dramatyczny szept — dla mojej, od wczoraj nie—żyjącej Ewy.

— Kiedy spisywał pan testament?

— Dokładnie nie pamiętam — Borowski wypowiadał sło—wa z trudem, ciężko oddychając. — Jakieś... jakieś dwa tygo—dnie temu.

— Obie spadkobierczynie wiedziały o zapisie?

— Owszem, wiedziały. Ewa była taka młoda, bez zawo—du... Pragnąłem, żeby czuła się pewnie ze starym mężem... Anna natomiast... Anna, jak pan wie, jest chora psychicznie i nie odpowiada za swoje czyny, ale nie mogłem jej zostawić bez pieniędzy. Była moją żoną ponad piętnaście lat, kiedyś ko—chałem ją, choć co prawda nie jest bez winy — nie mówię tu o otruciu Ewy, lecz o czasach znacznie wcześniejszych, gdyż jej depresja maniako—lękowa ma podłoże w nadużywaniu alkoholu. Był taki okres, że ani na moment nie trzeźwiała... a ja cierpiałem, nie umiając jej pomóc... potem powędrowała na odwyki na leczenie psychiatryczne, więc Anna... W sytuacji, w jakiej się znalazła po rozwodzie ze mną, zniszczona psy—chicznie, nadal chora, samotna, bez mojej pomocy nie pora—dziłaby sobie. Takie zabezpieczenie materialne wydawało mi się moralnym obowiązkiem.

— Szlachetne i wspia—łomyślne — zauważył Andrzej.

— Proszę nie sądzić, że zostawiłem Annę bez środków do życia i że zmęczony jej chorobą, piciem, przeprowadzając roz—wód, nie czułem wyrzutów sumienia. To nie było ani łatwe, ani proste. Lecz z Anną dalej nie dało się żyć. Kupiłem jej wca—le ładne mieszkanie, płacę Annie co miesiąc pensję, całkowicie dobrowolnie. Jednak Anna, z przykrością to stwierdzam, za—dała ode mnie więcej i więcej. Dawałem jej, bo nie chciałem ciągłych awantur telefonicznych. Boże! — powiedział gwał—townie, z rozpaczą. — Czemu mnie tak ukara—łeś? To potwo—rne! Wszystko jest potworne! Czyżby Anna była rzeczywiście aż tak obłąkana? Dlaczego mnie nie zabiła? Dlaczego swoją nienawiść skierowała przeciwko niewinnej dziewczynie? Boże,

Boże! Wiem, że potępia się mnie za małżeństwo z tyle lat młodszą kobietą, która mogłaby być moją córką. Myśli pan, że oszalałem z miłości, zaś Ewa wyszła za mnie dla moich pieniędzy? Otóż nie! Kochałem Ewę jak wariat, lecz zapewniam pana, ona mnie również kochała. Mnie! Mnie! A nie moją willę, samochód, konto! Kiedy poznaliśmy się, nawet nie wiedziała, że jestem majątny. To była wyjątkowa dziewczyna, uczuciowa, naiwna, ufna, skromna. Posiadała rzadkie zalety charakteru, ponieważ kobiety z reguły są próżne, głupie, chytre, wulgarne, cyniczne. A Ewa... mój Boże, Ewa... — załkał suchym szlochem — jak objawienie. Nie znała wyrachowania. Kierowała się wyłącznie uczuciem. A jednocześnie miała poczucie własnej godności, dumy, niezależności. Ewa... Ewa była wprost... doskonała.

— Jak róża — powiedział Andrzej. Borowski drgnął i nagle poderwał się z fotela.

— Co? Co pan powiedział? — krzyknął.

— Proszę wybaczyć, nie zamierzałem pana urazić — Andrzej zaskoczony reakcją Borowskiego zmieszał się.

— Ale o co panu właściwie chodzi? Dlaczego akurat jak róża? — unosił się Borowski.

— Proszę wybaczyć — powtórzył Andrzej. — A swoją drogą, dlaczego moje porównanie wyprowadziło pana z równowagi?

— Nie wiem... — odpowiedział Borowski. Otarł wierzchem dłoni pot z czoła. — Sam nie rozumiem... Ale nie, panie prokuratorze, Ewa była raczej jak lilia. Czysta, niewinna.

— Jednak, panie Borowski, wydaje mi się, że pan mija się z prawdą.

— Ja?

— Tak. Pan. PAMIĘTAJ O RÓŻY — zacytował Andrzej. Borowski skurczył się w fotelu. — Różę, ledwo rozkwitłą, ledwo ściętą, z karteczką o takiej treści, znalazłem na tarasie. Rozumiem, że romans z Różą w pańskiej obecnej sytuacji raczej powinien pozostać w tajemnicy. Lecz muszę zadać to pytanie: kim jest owa Róża...? Co panu? — zapytał zaniepokojony, gdyż Borowski zszarzał, a głowa poleciała mu na oparcie fotela.

— Przepraszam... Zaraz minie. Chwilowy zawrót — wyszeptał słabym głosem Borowski. Zasłonił twarz dłońmi. — Widzi pan, cały czas starałem się panować nad sobą, bo to niemieckie, jeśli mężczyzna się roztkliwia, ujawnia uczucia. Lecz dłużej udawać to ponad moje siły. Pan przychodzi, zabawia mnie, proszę wybaczyć, dość głupią rozmową o moich zbiorach bibliotecznych, o jakichś karteczkach, różach, romansach... Nie mam pojęcia, kim jest jakaś Róża czy inna Zuzia, dowiaduję się o niej po raz pierwszy z ust pana. Ktoś wi docznie zabawił się moim nieszczęściem, moim dramatem, może jakaś głupia sąsiadka, jest tu taka obok, leci na wszystkich mężczyzn, paskudna, wulgarna baba. Kobiety potrafią się narzucać ze swoimi uczuciami, są bezwstydne i bez godności, dlatego tak pokochałem Ewę, gdyż była inna, cudownie świeża i niewinna. Całą noc panowałem nad sobą, ale teraz... teraz dłużej nie potrafię...

— Nie będę wobec tego dzisiaj pana niepokoił. Może owa pani Róża jest bez znaczenia dla sprawy — rzucił uspokajająco Andrzej. Był zadowolony z rozmowy z Borowskim. Dawała dużo do myślenia.

W holu zadzwonił telefon. Borowski siedział nieporuszony, zasłaniając twarz.

— Telefon... — podpowiedział Andrzej.

— Niech dzwonią — odparł chrapliwie Borowski.

Telefon dzwoni! uparcie.

— To nie do wytrzymania! — jęknął Borowski. — Proszę! Proszę odebrać i ktokolwiek dzwoni, powiedziec, że śpię, umarłem, nie istnieję, niech dadzą mi spokój.

— Oczywiście. Odbiorę.

Podszedł do telefonu. Usłyszał głos Żabickiego.

— Siedemset piętnaście dwadzieścia jeden? Mówi kapitan Żabicki. Czy u pana znajdę prokuratora? Zawieruszył się nam...

— To ja, Andrzej. Przez pół godziny nie możesz żyć beze mnie? — Stał odwrócony plecami do gabinetu, ale w wąskim lustrze, ujętym jak średniowieczne okno w ciemne obramowanie boazerii, widział wnętrze gabinetu i Borowskiego, który właśnie odsłonił twarz. Błysk jego oczu był czujny i napięty.

— Tak sądziłem, że siedzisz u niego — roześmiał się Żabicki. — Zamiast wziąć prysznic i zjeść śniadanie. Twoja babcia się wścieka. Upiekła ci na śniadanie rogaliki drożdżowe. Andrzej, znowu postanowiłeś prowadzić śledztwo na własną rękę? Co tam robisz?

— Później — odpowiedział. — Co się stało? Przecież szukasz mnie nie z powodu drożdżowych rogalików mojej babci?

— Przed kilkoma minutami otrzymałem pierwsze wyniki z laboratorium.

— No?

— Jeszcze jeden koktajl zawiera! truciznę.

— O, cholera!

— Ekspertyza wykazała dawkę cyjanku w koktajlu Borowskiego.

— Rozumiem.

— Facet cudem uniknął śmierci. Ta kobieta jest szalona w swojej nienawiści. Do koktajlu Ewy wlała potężną dawkę morfiny.

— Tak — potwierdził lakonicznie Andrzej.

— Jeżeli mieliśmy jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz całkowicie się rozwiały.

— Powiedzmy...

— Andrzej! Ja jej również współczuję.

— To dobrze.

— Andrzej... przysyłam po ciebie wóz.

— Nie przysyłaj. Będę na komendzie za godzinę.

— Andrzej, posłuchaj...

— Będę za godzinę — powtórzył z naciskiem i odłożył słuchawkę. W tej samej sekundzie Borowski zamknął oczy.

— Do widzenia panu, panie Borowski — powiedział Andrzej. Borowski nie poruszył się. — Radzę wziąć kąpiel. Dobrze panu zrobi. Proszę mnie nie odprowadzać. Trafie sam.

Róża przywiedła w upalnym słońcu. PAMIĘTAJ O RÓŻY.

— Będę pamiętał — mruknął Andrzej.

Wokół tarasu rozlewała się czerwień róż. Pretensjonalna fontanna w kształcie delfina szemrała jednostajnie.

Więc Borowski miał umrzeć? — pomyślał, siadając w parku. Wystawił twarz do słońca. Grzało mocno. Park był prawie pusty. Nieliczni przechodnie skracali sobie tędy drogę do ulicy. Było dość wcześnie. Kilka minut po siódmej.

Miał umrzeć? Natychmiast i nieodwołalnie? Uniknął śmierci. Cud? Przypadek? Cyjanek w koktajlu Borowskiego.

Ta kobieta, Anna Borowska, według Żabickiego jest szalona. Jeżeli mieliśmy jakiegokolwiek wątpliwości, to w tej sytuacji całkowicie się rozwiąły.

Prawdopodobne jest to, że Anna Borowska nienawidziła swojego byłego męża do tego stopnia, że chciała go zabić. Bardziej prawdopodobne niż to, że otruła Ewę Borowską. To im obojgu, i Andrzejowi, i Żabickiemu, od początku wydawało się wątpliwe. I gdyby nie oczywistość faktów oraz dowód rzeczowy w postaci odprysku szkła, znalezionego przez technika z ekipy na barku, Annie Borowskiej nie postawionoby zarzutu zabójstwa.

Cyjanek w koktajlu Borowskiego przesądzał o winie Anny.

Przypadek spowodował, że Borowski ocalał, natomiast przypadek nie był łaskawy dla jego młodej żony. Ewa Borowska wypijała swój śmiertelny koktajl do dna.

Nikt poza denatką nie wypił koktajlu — pomyślał Andrzej. — Dlaczego? Dlaczego wyłącznie Ewa? Ten zachwalany, oczekiwany przez uczestników kolacji koktajl miał wpłynąć na zmianę nastrojów, rozładować napiętą atmosferę, spowodowaną nieoczekiwanym przybyciem Anny.

Dlaczego nikt nie upił ani kropli?

To również przypadek? Zbieg okoliczności?

Zastanawiająco wiele tych przypadków.

Cyjanek, gwałtowna śmierć, prawie natychmiastowa: duszność, podniecenie, drgawki i porażenie. I koniec. Morfina działa dłużej. Anna przeznaczyła dziewczynie truciznę mniej gwałtowną. Dziewczyna miała szansę. Gdyby Borowski zainteresował się szybciej przedłużającą się nieobecnością żony. Lub gdyby dziewczyna nie opuściła jadalni? Zasłabłaby wśród gości, a szybko sprowadzone pogotowie dałoby jej szansę przeżycia... Nie za dużą, ale jednak...

Zaraz, zaraz. Coś tu się nie zgadza.

— Boże — powiedział półgłosem — przecież Anna Borowska nie była w stanie przewidzieć, że Ewa wyjdzie z pokoju! Tego nikt nie mógł przewidzieć! Jeżeli naprawdę zamierzała ją zabić, to Ewie przeznaczyłaby cyjanek, uśmiercający prawie natychmiast, zaś Borowskiemu — morfinę. Tak, lecz Anna Borowska jest niepoczytalna, więc nie kieruje się żadną logiką. Przyszła zabić. Tylko tego pragnęła. Nie kierowała się żadnym planem, lecz swoim obsesyjnym pragnieniem zemsty. Podniecenie opadło. Andrzej poczuł się zmęczony. Żabicki dobrze radził, żeby pojechać do domu, wziąć prysznic i chwilę odsapnąć. Lecz za późno, nie zdąży na babcine rogaliki.

„Jeżeli mieliśmy jakiegokolwiek wątpliwości, to w tej sytuacji całkowicie upadają”,

powiedział Żabicki. To zdanie brzęczało Andrzejowi natrętnie i fałszywie. Od samego początku mieli poważne wątpliwości. A okruch szkła znaleziony na barku, gdzie Anna przyrządzała koktajl, przede wszystkim obciążał samego Borowskiego, lecz mimo rewizji osobistej uczestników kolacji, przeszukania jadalni, salonu i łazienki nie znaleziono resztek rozłuczonej ampułki. A tymczasem Anna, co zgodnie zeznali Smugowie oraz Borowski, ani na sekundę nie opuściła jadalni. Co więc zrobiła z resztkami szkła? Połknęła? Reszta ampułki zdematerializowała się? Co się z nią stało? W jaki sposób została usunięta? Czemu służył jeden, jedyny ocalały jej okruch? Lekarz sądowy, doktor Śliwiński, specjalista z trzydziestoletnią praktyką, ledwo spojrzawszy na denatkę, od razu orzekł, że dziewczynę otruto morfiną. Oczywiście, dopiero sekcja zwłok potwierdzi tę diagnozę, lecz doktor Śliwiński rzadko kiedy się mylił. Żabicki postawił całe laboratorium kryminalistyczne na nogi, na sygnale zawieszono koktajlowe szklaneczki, a pierwszeństwo otrzymała szklaneczka denatki. Już po czterech godzinach znali wynik, który potwierdził, że była to morfina. Dlatego szukali tej przekłetej ampułki. Okruch szkła też pojechał na sygnale do laboratorium. Ekspertyza nie pozostawiała wątpliwości, pochodził z ampułki z morfiną. Stąd pojawiły się pierwsze obiekcje, czy na pewno Borowska, bo w jaki sposób pozbyła się ampułki?

Dlaczego zostawiła w holu torebkę? Ta torebka nie dawała Andrzejowi spokoju. Pytanie nasuwało się samo: wobec tego w jaki sposób Anna Borowska wniosła truciznę do jadalni? Ani zwisająca na niej jak na szkielecie bluzka, ani spódnica nie miały kieszeni. Więc jak?

Dlaczego nikt, poza denatką, nie tknął koktajlu?

Można znaleźć wytłumaczenie jedynie dla Anny. Ani nie Pila, ani nie jadła podczas kolacji. Na jej talerzu leżał nietknięty z ekipy na barku, Annie Borowskiej nie postawiono zarzutu zabójstwa.

Cyjanek w koktajlu Borowskiego przesądzał o winie Anny

Przypadek spowodował, że Borowski ocalał, natomiast przypadek nie był łaskawy dla jego młodej żony. Ewa Borowska wypila swój śmiertelny koktajl do dna.

Nikt poza denatką nie wypił koktajlu — pomyślał Andrzej. — Dlaczego? Dlaczego wyłącznie Ewa? Ten zachwałałny, oczekiwany przez uczestników kolacji koktajl miał wpłynąć na zmianę nastrojów, rozładować napiętą atmosferę, spowodowaną nieoczekiwanym przybyciem Anny.

Dlaczego nikt nie upił ani kropli?

To również przypadek? Zbieg okoliczności?

Zastanawiająco wiele tych przypadków.

Cyjanek, gwałtowna śmierć, prawie natychmiastowa: duszność, podniecenie, drgawki i porażenie. I koniec. Morfina działa dłużej. Anna przeznaczyła dziewczynie truciznę mniej gwałtowną. Dziewczyna miała szansę. Gdyby Borowski zainteresował się szybciej przedłużającą się nieobecnością żony. Lub gdyby dziewczyna nie opuściła jadalni? Zasiabłaby wśród gości, a szybko sprowadzone pogotowie dałoby jej szansę przeżycia... Nie za dużą, ale jednak...

Zaraz, zaraz. Coś tu się nie zgadza.

— Boże — powiedział półgłosem — przecież Anna Borowska nie była w stanie przewidzieć, że Ewa wyjdzie z pokoju! Tego nikt nie mógł przewidzieć! Jeżeli

naprawdę zamierzała ją zabić, to Ewie przeznaczyłaby cyjanek, uśmiercający prawie natychmiast, zaś Borowskiemu — morfinę. Tak, lecz Anna Borowska jest niepoczytalna, więc nie kieruje się żadną logiką. Przyszła zabić. Tylko tego pragnęła. Nie kierowała się żadnym planem, lecz swoim obsesyjnym pragnieniem zemsty. Podniecenie opadło. Andrzej poczuł się zmęczony. Żabicki dobrze radził, żeby pojechać do domu, wziąć prysznic i chwilę odsapnąć. Lecz za późno, nie zdąży na babcię rogaliki.

„Jeżeli mieliśmy jakiegokolwiek wątpliwości, to w tej sytuacji całkowicie upadają”, powiedział Żabicki. To zdanie brzęczało Andrzejowi natrętnie i fałszywie.

Od samego początku mieli poważne wątpliwości. A okruch szkła znaleziony na barku, gdzie Anna przyrządzała koktajl, przede wszystkim obciążał samego Borowskiego, lecz mimo rewizji osobistej uczestników kolacji, przeszukania jadalni, sałonu i łazienki nie znaleziono resztek rozłuszczonej ampułki. A tymczasem Anna, co zgodnie zeznali Smugowie oraz Borowski, ani na sekundę nie opuściła jadalni. Co więc zrobiła z resztkami szkła? Połknęła? Reszta ampułki zdematerializowała się? Co się z nią stało? W jaki sposób została usunięta? Czemu służył jeden, jedyny ocalały jej okruch? Lekarz sądowy, doktor Śliwiński, specjalista z trzydziestoletnią praktyką, ledwo spojrzawszy na denatkę, od razu orzekł, że dziewczynę otruto morfiną. Oczywiście, dopiero sekcja zwłok potwierdzi tę diagnozę, lecz doktor Śliwiński rzadko kiedy się mylił. Żabicki postawił całe laboratorium kryminalistyczne na nogi, na sygnale zawieszono koktajlowe szklaneczki, a pierwszeństwo otrzymała szklaneczka denatki. Już po czterech godzinach znali wynik, który potwierdził, że była to morfina. Dlatego szukali tej przeklętej ampułki. Okruch szkła też pojechał na sygnale do laboratorium. Ekspertyza nie pozostawiała wątpliwości, pochodził z ampułki z morfiną. Stąd pojawiły się pierwsze obiekcje, czy na pewno Borowska, bo w jaki sposób pozbyła się ampułki?

Dlaczego zostawiła w holu torebkę? Ta torebka nie dawała Andrzejowi spokoju.

Pytanie nasuwało się samo: wobec tego w jaki sposób Anna Borowska wniosła truciznę do jadalni? Ani zwisająca na niej jak na szkielecie bluzka, ani spódnica nie miały kieszeni. Więc jak?

Dlaczego nikt, poza denatką, nie tknął koktajlu?

Można znaleźć wytłumaczenie jedynie dla Anny. Ani nie Pila, ani nie jadła podczas kolacji. Na jej talerzu leżał nietknięty plaster szynki, nienaruszona kromka chleba. Jej kieliszek z wódką był pełny, jej szklanka z sokiem grejpfrutowym podobnie. Nawet nie dotknęła sztućców. Leżały jak na baczość. Czyste, nieużywane. Zachowywała się tak, jakby to ona czegoś śmiertelnie się bała. Autosugestia? Napięcie nerwowe? „Mimo naszych usilnych namów”, zeznawała Krystyna Smuga, „nie przełknęła ani kęsa. Ręce ułożyła na kolanach. Siedziała przy stole, wpatrzona w jeden punkt, bardzo blada. To było deprymujące, ponieważ nastrój, jeszcze zanim Anna przyszła, był okropny. Karol Borowski zdenerwowany. Jego żona hałaśliwa i wręcz chamska. Pomędzy Karolem a Ewą dochodziło ciągle do spieć”.

Smuga: „Miałem uczucie, że Anna się bała. Teraz rozumiem. Bała się tego, co miało nastąpić”.

Uczestnicy kolacji nie mieli wątpliwości, że Anna otruła Ewę Borowską.

Żabicki też się ich pozbył. Odprysk szkła na barku stał się dla niego koronnym

dowodem przeciwko Annie.

Andrzej przymknął oczy. Był zmęczony. Słońce przeniknęło między gałęziami i wierzba przestała być oazą cienia. Duszno. Gorąco.

Dlaczego Borowski dopiero teraz sporządził testament? Ożenił się z Ewą osiem miesięcy temu, zaś majątek podzielił między dwie żony — była oraz aktualną — zaledwie czternaście dni przed feralną kolacją. Dlaczego, skoro jest taki wspaniałomyślny, nie zapisał Annie jej części wcześniej — na przykład przed rozwodem? Lub zaraz po rozwodzie? Dlaczego zaraz po ślubie nie obdarował Ewy zapisem notarialnym? Zakochany bałwochwalczo, przekonany o wyjątkowych zaletach swojej młodej żony — na co czekał? Jakby odkładając sporządzenie testamentu na ostatnią chwilę, na pięć minut przed dwunastą?

Jeszcze jeden zbieg okoliczności? Kolejny przypadek?

Anna Borowska wiedziała o zapisie, lecz mordując dla pieniędzy, nic by nie zyskała, ani złotówki więcej niż w testamencie.

Część Ewy była dla Anny nieosiągalna. Tak więc pieniądze jako motyw należało wykluczyć. Pozostaje więc zemsta.

Nie potrzebowała pieniędzy. Miała własne mieszkanie i alimenty na utrzymanie. Na śmierci byłego męża traciła, ponieważ co miesiąc przelewał pieniądze na jej konto w banku.

Dlaczego Borowski, opowiadając o byłej żonie, usiłował podkreślić jej nienasycenie i chciwość? Twierdził, że ciągle żądała od niego pieniędzy i to coraz więcej.

To samo powtórzył do protokołu. Jakby chciał zwrócić naszą uwagę, że Anną mogły kierować czysto materialne pobudki. Taki motyw jak pieniądze, jest bardziej przekonujący niż zemsta czy nienawiść. To jest konkretny, namacalny powód, wywierający wrażenie. Nienawiść da się w kategoriach moralnych usprawiedliwić, a wyrachowania — nie.

Jeszcze jeden kamyczek obciążający — pomyślał Andrzej. — Jak ten okruch szkła, znaleziony na barku między butelkami — pomyślał Andrzej. Nasz jedyny dotąd, poza poszlakami, dowód rzeczowy. I jednocześnie bezsensowny, bo Borowska znalazła sposób, aby pozbyć się całej ampułki, a pozostawiła na barku odprysk szkła wielkości paznokcia? A później tak głupio, niemal ostentacyjnie, wobec wszystkich przyznała się do zbrodni, mówiąc o Ewie, że została otruta. Wlała morfinę do szklaneczki dziewczyny, czekała na jej śmierć, a gdy Borowski przyniósł ciało, podeszła do zwłok, dotknęła ręki zmarłej i oznajmiła, że została otruta.

Bez sensu.

„Podeszła do ciała Ewy, przyglądała się zmarłej jakby ze zdumieniem, jakby niedowierzająco, dotknęła jej ręki, a następnie zakomunikowała nam, że została otruta”, Andrzej przypominał sobie zeznania Krystyny Smugi.

Zachowała się więc tak, jakby ta śmierć była dla niej zaskoczeniem — pomyślał. Tak jakby spodziewała się, że umrze ktoś zupełnie inny. Słusznie, ponieważ miał jeszcze umrzeć jej były mąż. Sądziła, że to jego pierwszego powali jej nienawiść? Zdziwiła ją kolejność zgonu?

Bez sensu. Ona, morderczyni, niczemu nie powinna się była dziwić.

A może — pomyślał zelektryzowany swoim przypuszczeniem — a może w jej głosie, podobnie jak w gestach było owo zdumienie, połączone z niedowierzaniem,

może ta znamienna wypowiedź Anny brzmiała pytająco?

Jest zasadnicza różnica między beznamiętnym stwierdzeniem a niedowierzającym pytaniem, z jakim zwróciła się do obecnych! Był znak zapytania, czy go nie było? Niewinna, nie znalazły przyczyny zgonu — skontrował sam siebie. — Toteż forma wypowiedzi: stwierdzająca czy pytająca pozostaje bez znaczenia. Zawsze musisz dzielić włos na czworo? To kompetencja Żabickiego, prowadzić śledztwo. Żabicki dotrze do prawdy. A ja siedzę w parku, rozważam, medytuję, układam łamigłówek, stawiam znaki zapytania, chociaż właściwe śledztwo i właściwe dochodzenie nawet się na dobre nie rozpoczęły. Nic jeszcze o nikim nie wiemy. Na pewno i ostatecznie. Ale ten Borowski... PAMIĘTAJ O RÓŻY. Kto i w jakim celu podrzucił Borowskiemu różę wraz z tym dziwnym, zmuszającym do zastanowienia bilecikiem? Dlaczego ta wiadomość tak bardzo wyprowadziła Borowskiego z równowagi? Zszarzał, spocił się, zadygotał, po prostu — przeraził się i nie potrafił swojego strachu ukryć. Potem natychmiast odegrał komedię tak nagłej, gwałtownej rozpacz, chociaż wcześniej był opanowny i zachowywał się nader spokojnie. Miał romans z inną kobietą? Ta kobieta go szantażowała? PAMIĘTAJ O RÓŻY. Pismo techniczne jak w anonimie. Szantaż? Bardzo prawdopodobne, trwający od dawna. Ale czym mu grozi, skoro Borowski tak się jej obawia? Nielegalne dochody? PAMIĘTAJ O RÓŻY. Kim jest Róża? „Róże są symbolem absolutnego zwycięstwa. Róża to królowa kwiatów. Przewyższa wszystkie. Niech pan spojrzy na tę czerwień. Ileż ma odcieni, od purpury aż po krew”. Róże — symbol absolutnego zwycięstwa... Co on chciał przez to powiedzieć, ten Borowski? Czemu aż takie znaczenie nadaje temu właśnie gatunkowi kwiatów? Absolutne zwycięstwo, to jakieś majaczenie chorego fanatyka, który kocha róże, a jednocześnie tragicznie zmarłą żonę porównuje do czystej, białej lilii...

Jaka tam z niej „lilia” — pomyślał Andrzej. Przywołał w pamięci obraz Ewy Borowskiej. Wpół leżała w głębokim fotelu. Ciemne włosy — odrzucone z twarzy zniekształconej śmiercią — zwisały przez poręcz. Mimo zgonu twarz Ewy wciąż była ładna, ale na pewno nie była „czysta, niewinna”. Nawet po śmierci wyglądała wyzywająco. Bardzo ostry makijaż, obcisłe spodnie, ażurowa bluzka pokazująca duże piersi oraz brzuch z wklęsłym pępkiem. Nie, w niczym nie przypominała „lili”. W ogóle nie pasowała do wymuskanej, nobliwej sylwetki Borowskiego. Twarz miała zniszczoną... Cholera, znowu mi się coś nie zgadza! Chociaż Borowski tak usilnie starał się mnie przekonać, że jego młoda żona była jak niewinne, nieśmiałe i skromne dziewczę. Zaślepiiony głupiec? Oszukany przez cwana dziewczynę? Do tej pory nie zorientował się, że go oszukała? Zbyt często podkreślał wspaniałe cechy charakteru swojej żony, jakby mu szalenie zależało, żeby Ewa Borowska była najwspanialszą na świecie, jedyną, wprost unikalną spośród tych wszystkich odrażających, cynicznych, ze-psutych kobiet. W ogóle o kobietach Borowski wyrażał się z wielką, nieukrywaną pogardą. Tylko Ewa, jego Beatrycze... Dlaczego ten niemłody facet nie dostrzegął, kim w rzeczywistości była jego wybranka? A może jednak poznał się na niej? Lecz w takim razie dlaczego zapisał na jej korzyść połowę swojego majątku? A jeśli testament, spisany na krótko przed zabójstwem dziewczyny, był tylko taktycznym manewrem Borowskiego? Ożenił się z wielkiej miłości. Ostatnie namiętne uczucie starzejącego się faceta, gardzącego z reguły

kobieta — mi i nagle — łuski spadają mu z oczu, odkrywa bulwersującą prawdę o tej, którą uczynił żoną? Że nie była ani ponad inne, że może przeciwnie — była gorsza od tych, którymi do tej pory wyłącznie pogardzał, traktował jako pośledniejszy gatunek człowieka. Czy w takim przypadku Borowski po prostu pogodził się z tą prawdą o Ewie? A jeśli to on zapragnął zemsty? Ciężkie życie musiała mieć z nim pierwsza żona — ciągnął rozważania w myśli. Czy od niej również żądał, aby stała „ponad”?

Oczy Anny Borowskiej. Spojrzała na niego podczas długich godzin przesłuchań tylko raz, gdy zapytał: „Proszę pani, czemu pani tak uparcie milczy? Nie próbuje się nawet bronić? To przecież nie ma sensu, i tak dojdziemy prawdy”.

Podniosła oczy. Dostrzegł w nich jedynie pustkę. Powiedziała: „Ta prawda, na jaką się pan powołuje, dla mnie nie istnieje”.

Natychmiast potem, zrezygnowany, podpisał nakaz tymczasowego zatrzymania.

Wstał z ławki. Zdecydowanym, szybkim krokiem ruszył przez park w stronę ulicy.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Wróblewskiego jedenaście — podał adres kierowcy.

Kamienica przy ulicy Wróblewskiego jedenaście prezentowała się okazale. Tu właściciele mieszkań musieli płacić za nadmetraż, ale kto by nie wolał płacić za nadmetraż zamiast cisnąć się w przepisowym, blokowym M4 lub M3? Andrzej sam mieszkał w takiej kamienicy zbudowanej tuż przed wojną. Mieszkał i chwalił sobie właśnie luksus posiadania nad-metrażu. Wraz z babką zajmował dwupokojowe mieszkanie z holem, łazienką nie mniejszą od przeciętnego pokoju w bloku i służówką przy kuchni. W sumie — dziewięćdziesiąt dwa metry kwadratowe z pełnym wyposażeniem kuchennego zaplecza, nawet lodówką wmontowaną w ścianę i działającą bezawaryjnie od daty wmontowania, czyli od przedwojnia.

Anna Borowska otrzymała od swojego męża w prezencie rozwodowym piękne mieszkanie — pomyślał Andrzej, wcho-dząc na klatkę schodową. Własnościowa kawalerka musiała kosztować około stu dwudziestu tysięcy, czyli miał gest. Andrzej poczuł, że obiekcje topnieją, rozwiewają się, Borowski bowiem rzeczywiście zadbał o swoją żonę. A przecież nie musiał. Nie miał prawnego przymusu. Sąd nie przyznał alimentów, stojąc widocznie na stanowisku, że Borowska jest zdolna do podjęcia pracy, a jednak Borowski płacił dobrowolnie nie-przymuszone alimenty i to w niemałej kwocie. Dlaczego Borowska nie poszła do pracy? Nie wróciła do szkoły? Szkoły cierpią na brak matematyków.

Mieszkanie numer siedem, jednak na drzwiach nie wisiała żadna wizytówka.

Nacisnął dzwonek do drzwi obok. Wizytówka informowała, że mieszkają tu „Jaśnie wielmożni państwo — Jadwiga i Sławomir Nowakowie”. Uśmiechnął się, ubawiony tym zwrotem: „jaśnie wielmożni”.

Drzwi otworzyła osoba, w której Andrzej domyślał się „jaśnie wielmożnej” Jadwigi Nowakowej. Pani była dobrze po pięćdziesiątce, ale stylizowała się na młodszą: rzadkie włosy utlenione na jasnoróżowy kolor, pomalowane różem policzki, linia wąskich ust przerysowana szkarłatną szminką. Miała wyniosły wyraz twarzy,

krogulczy nos i obficie upięścienione dłonie. Poza kciukiem — każdy palec połyskiwał zdobiony w złoto i wielki kamień.

Przedstawił się, prosząc o chwilę rozmowy. Uniosła w dezaprobacie wąskie brewki.

— Męża nie ma. Mąż jest, oczywiście, w Zjednoczeniu. Wyjaśnił jak najuprzejmiej, że mąż do rozmowy nie będzie

Potrzebny. Uniosła jeszcze wyżej brewki.

— A pan... właściwie w jakiej sprawie?

Wyjaśnił, że pragnie zamienić dwa słowa na temat mieszkającej obok Anny Borowskiej. Ożywiła się natychmiast.

— Została aresztowana? Proszę, proszę wejść — zaprosiła teraz z wielką gościnnością. Wprowadziła do pokoju umeblowanego w plusze, frędzle, aksamitne portiery. Dwie rozłożyste palmy pochylały się nad pianinem, a wielki, dębowy kredens ozdobiły kryształowe naczynia. W mieszkaniu cuchnęło stęchlizną i kurzem. Przydałoby się wpuścić tu nieco świeżego powietrza, nie tylko w przenośni, ale dosłownie — pomyślał Andrzej.

— Proszę, proszę, panie prokuratorze — mówiła pani domu — trochę bałaganu, ale ja nie mam zdrowia, aby utrzymać tak wielki dom w należyтым porządku, a o dobrą służącą dziś trudno, jak pan wie... Więc co zrobiła ta wariatka? Gdy tylko wprowadziła się tutaj, od razu powiedziałam mężowi: „Zobaczysz, jeszcze będą przez nią kłopoty”. No i proszę! — uśmiechnęła się zachęcająco do Andrzeja szkarłatnymi ustami, błysnęła upięścienioną dłonią. — Miałam rację. Jak można osobę nienormalną, wariatkę po prostu, mówiąc trywialnie, wprowadzić między ludzi, pozwalać mieszkać, jak można, powtarzałam zawsze, przecież ta osoba stanowi potencjalne zagrożenie, nieprawdaż? Tak mówiłam, przestrzegałam wszystkich, no i proszę, sprawdziło się. A może napije się pan kawki lub herbatki?

— Dziękuję uprzejmie — odparł Andrzej.

— Ależ to żaden kłopot, bardzo mi miło, że mogę pana poznać. Przyznam się panu szczerze, że od dawna miałam złe przeczucie, dlaczego ludzie chorzy umysłowo, niebezpieczni wariaci, nie są izolowani w sensie społecznym? Dlaczego pozwala się im żyć na wolności? To mnie, proszę pana, wprost zdumiewa. Słuchał tych wywodów, nie przerywał, nie przeszkadzał, po prostu dał jaśniepani Jadwidze Nowakowej wolność słowa. Niech mówi. Niech z siebie wyrzuci swoją ciasną, ograniczoną nietolerancję, swoje wścibstwo, swoją plotkarską ciekawość. Niech mówi. Lubił słuchać ludzi, nie pytając, dowiadywał się wtedy więcej, znacznie więcej, niż się spodziewał usłyszeć.

— Mój mąż, proszę pana, jest ekonomistą na wysokim stanowisku w Zjednoczeniu, wszyscy go szanują, poważają — rozwodziła się pani domu, gestykulując żywo dłońmi, jak gdyby chciała zaprezentować przed Andrzejem okazałość swoich licznych pierścieni. — Mój mąż, panie prokuratorze łaskawy, bywa w świecie, z racji stanowiska wyjeżdża często za granicę, i mąż mój raz tylko ujrzał tę panią, i natychmiast poczuł głębokie, żywe zaniepokojenie. „Słuchaj”, powiedział do mnie, „ta osoba wygląda podejrzanie. Nie podoba mi się, bardzo mi się nie podoba”. Mój mąż, panie prokuratorze, uklonił się tej pani, a ta pani nie raczyła mu nawet kiwnąć głową. Przeszła obok mojego męża, jakby był powietrzem. Nie minęło cztery dni od tego nieprzyjemnego incydentu, a tu dowiaduję się, że moja najbliższa sąsiadka jest

zarejestrowana w poradni zdrowia psychicznego. Pan sobie wyobraża, co przeżyłam? Odtąd nie czułam się pewnie we własnym mieszkaniu. Podobno, pani prokuratorze, przebywała już kilkakrotnie na leczeniu. Podobno jest groźna dla otoczenia, mówiono nawet, że mąż, który kupił dla niej mieszkanie, bał się o swoje życie i dlatego wolał zapłacić tyle pieniędzy, żeby tylko uwolnić się od swojej żony. Mówiono, że ulega atakom szału, podobno nawet okaleczyła swojego męża, ledwo się uratował, i zaraz potem wniósł sprawę o rozwód.

— Kto mówił? — nie wytrzymał nerwowo Andrzej. Ściągnęła usta:

— Ludzie godni zaufania i szacunku.

— Nie wątpię, że utrzymujecie państwo tylko z takimi kontakt — powiedział kurtuazyjnie, a pani domu rozpogodziła się natychmiast.

— Jednak interesuje mnie osoba Anny Borowskiej i także ci, którzy takie opinie wypowiadali.

— To nie opinie — zaprotestowała — to były fakty. Fakty! — podkreśliła. — Ja sama podam panu fakt nie do podważenia. Ta osoba, chora umysłowo, pewnego razu próbowała nas wszystkich otruć. Otruć!

— Chciała popełnić samobójstwo?

Gdyby chciała popełnić samobójstwo, nikt by jej w tym nie przeszkodził, przecież mieszka sama. Nie, ona zamierzała otruć nas. Mnie i mojego męża. Gazem.

Otworzyła gaz w swoim mieszkaniu, wszystkie palniki, piekarnik. Cała klatka schodowa cuchnęła gazem, u mnie w mieszkaniu było aż sino od gazu, kiedy wróciłam z miasta. Tak, bo po prostu miałam szczęście, w tym czasie nie było mnie w domu, inaczej pan by ze inną dzisiaj nie rozmawiał. Po tym fakcie, panie prokuratorze, złożyłam oficjalną skargę na tę panią do odpowiednich władz, żądałam natychmiastowej dla niej eksmisji, ale potraktowano mnie co najmniej niezyczliwie. Dlatego bardzo się cieszę, panie prokuratorze, że pan zainteresował się tą osobą; a propos, musiała zrobić coś okropnego, nieprawdaż? — w głosie pani domu zabrzmiało podniecenie — jeżeli pan we własnej osobie fatyguje się do mnie. I co ona zrobiła? Zabiła kogoś?

— To tajemnica służbowa.

— Rozumiem, rozumiem! — zawołała. — Ale chociaż tyle niech mi pan zdradzi. Coś strasznego, prawda? Dobrze się dożyłam?

Małe niebieskie oczka pod wyskubanymi brewkami błyszczwały ciekawością.

Upierścieniona dłoń dotknęła prosząco dłoni Andrzeja.

— Ja bardzo proszę — szkarłatne usta pani domu ściągnęły się w proszący ryjek.

— Coś okropnego zrobiła, prawda? Niechże mnie już pan dłużej nie dręczy, umieram z ciekawości-

— Owszem, coś niezwykle strasznego — odpowiedział, uklonił się i pospiesznie wyszedł. Na klatce schodowej odechnął głęboko i z ulgą, że już wyszedł z tego mieszkania, z dębów i zatechłych aksamitów, i zostawił jaśniepanią Jadwigę Nowak. Sąsiadka zdarzyła się Annie Borowskiej wyjątkowa, pozazdrościć. Był przekonany, że jaśniepani nie ograniczyła się tylko do powtarzania wrednych plotek czy składania skarg na Annę Borowską u tak zwanych „władz”. Założę się, że to babsko szykanowało Borowską na każdym kroku.

I niewiele myśląc, zapukał do drzwi na pierwszym piętrze. W takiej kamienicy jak ta, zasiedziałej, z mieszczańskimi tradycjami, ludzie znają się dobrze i nic, nawet najmniejsza tajemnica im nie umknie. Ta kamienica bezbłędnie i natychmiastowo odkryła dramat Borowskiej, jej chorobę, przyklejając piętnującą etykietkę: wariatka. W mieszkaniu na pierwszym piętrze „państwa” nie było.

— Państwo w pracy — oznajmiła gosposia. — Nie wiem, czy wolno mi pana wpuścić, zakazali wpuszczać kogokolwiek.

Pracowała tutaj od trzech miesięcy. Owszem, przypomina sobie Annę Borowską. Zaintrygowana pytaniem o Borowską, natychmiast zapomniała o zakazie „państwa”. Wprowadziła Andrzeja do kuchni i podsunęła stół.

— Proszę usiąść. Ja muszę szykować obiad, państwo wracają dopiero o trzeciej, ale dużo jedzą. Na obiad musi być zupa, drugie danie z jarzynami, surówka i koniecznie deser.

— Dlaczego pani mówi o lokatorce spod siódmego, że to wariatka?

— Powtarzam, co inni mówią — wzruszyła ramionami. Była tęga, niemłoda, ale czerstwa, wyglądała na zdrową i silną kobietę. — Dorabiam do renty — wyjaśniła.

— Nie śpię tutaj, mam własne mieszkanie — podkreśliła z dumą — ale dobrze płacą, jeść też dają, a ja lubię gotować, więc jestem zadowolona. W razie czego pan mnie usprawiedliwi, że pana wpuściłam. Oni boją się złodziei, mówię panu, niech pan spojrzy, ile zamków przy drzwiach, i łańcuch, i judasz. No, ale stąd byłoby co kraść, jakie meble, jakie futra, jakie dywany.

Jak mnie przyjmowali do roboty, mówię panu, ile tu było ceregieli, ile sprawdzania, a dowód mój wzięli i trzymają u siebie, na wszelki wypadek, bo wcale nie wierzą, że ich nie okradną. Poza tym — da się wytrzymać. Z jedzenia nie wyliczają. Im tylko na meblach i futrach zależy. Oni też mówili o tej spod siódmego, że wariatka.

— Podobno zamierzała popełnić samobójstwo?

— Truła się raz, to prawda. Nie tak dawno. Jakies dwa miesiące temu. Chyba jednak się opamiętała, że żyć warto, bo ani lekarz nie przyjeżdżał do niej, ani nikt. Otworzyła okna, wywietrzyła porządnie mieszkanie i po strachu. Tylko ta hrabina narobiła rabanu. Groziła sądem, urządziła awanturę, złożyła gdzieś skargę, żądając, aby tę nieszczęsną stąd zabrali. Mówię panu, co to za zaraza, ta Nowak, nie daj Boże. Wszystkich dokoła się czepia, wszyscy jej przeszkadzają. Do mnie też raz przyszła i pytała, czy gotuję kalafiory! A potem mówi, że nie znosi zapachu kalafiorów i żebym natychmiast przestała je gotować! Więc ja jej odpowiedziałam, że moja pani kazała mi ugotować kalafiory na jarzynkę i żeby z pretensjami przyszła do niej. I sądzi pan, że odpuściła? Ale! Przylazła z awanturą. O kalafiory! Moi państwo pękali ze śmiechu, a mnie powieździeli, żebym na Nowakową nie zwracała uwagi, tylko żebym gotowała to, co zechcę. Boja bardzo dobrze gotuję, a państwu zależy na takiej, co potrafi gotować.

— Pani też uważa, że lokatorka spod siódmego to wariatka?

— Wygląda na taką. Oczy ma szklane, nieprzytomne, poza tym wychudzona taka, że aż strach. Po prostu szkielec! Sućki na niej wisiały, proszę pana, ona chyba całymi dniami do ust jedzenia nie brała. Raz z ciekawości zapytałam w sklepie naprzeciwko, a to duży sklep, czy robi jakieś zakupy. Sklepowe powiedziały mi, że ta wariatka zachodzi raz na tydzień i całe jej zakupy to pół bochenka chleba i masło,

zresztą częŝto zapomni ten chleb zabrać albo zapłacić, albo odebrać resztę z pieniędzy. Czasem przyjdzie i stoi poŝrodku sklepu, ludzie ją popychają, a ona nic, stoi, jakby nie wiedziała, gdzie jest albo po co przysłała. Czasem teŝ stanie w kolejce do garmaze-rii i teŝ tak stoi, stoi, dochodzi do lady i nie odzywa się ani słowem, pytają, co chce kupić, a ona milczy dalej, istna wariatka, a ŝeby pan zobaczył, jak ona przez ulicę przechodzi! Cud boski, ŝe dotąd nie wpadła pod samochód, czy pod tramwaj. A to jest ruchliwa ulica, bo jeŝdzą tu i tramwaje, i autobusy, i samochody. Więć przyglądam się jej, ot tak, z ciekawości, a ona stoi przy krawężniku, stoi, stoi, czeka na coś? Na kogoś? Ludzie się śpieszą, to i potracają, wygląda jak pijana, meŝczyźni zaczepiają, a ona stoi, patrzy przed siebie, nikogo nie widzi, i tych aut pewno teŝ nie. I nagle buch! Szusa daje na jezdnię i dopiero się wyprawia!

Samochody hamują, kierowcy ją wyklinają, zupełnie stuknięta, proszę pana.

— I nigdy pani nie próbowała jej pomóc przejść przez ulicę albo załatwić sprawunki? — spytał Andrzej. Fala współczucia ścisnęła go w gardle. Jak to możliwe? Nikt nie pomógł? Nie podał ręki? Nie okazał odrobiny ludzkiego zainteresowania? Ta tęga, czerstwa kobieta, zagniatąca sprawnie ciasto na obiad, wzbudziła w nim jeszcze większą odrazę niż jaśniepani Jadwiga Nowak.

— Pomóc? — zdumiała się gosposia. Ręce jej na sekundę znieruchomiały, po czym szybko wróciły do miętoszenia ciasta na stolnicy. — Pomóc? A z jakiej racji? Ja jej nawet nie znam. Nawet nie gadałam z nią.

Poniewaŝ milczał, dodała:

— A zresztą z niej lepsze ziółko. Rodzony meŝ ją rzucił, mówią, ŝe go chciała zabić. Ja tam w plotki nie wierzę, ale nie ma dymu bez ognia. I w Pana Boga nie wierzyła, bo godzić na własne ŝycie to grzech śmiertelny, nie do odpuszczenia.

— Moŝe to plotka o tym samobójstwie? Czajnik wykypiał, zalał gaz.

— E, z jednego palnika nie byłoby tyle smrodu na schodach. Mówię panu, śmierdziało okropnie. Tego dnia dozorczyńni

sprzątała schody, zapukała do mnie: „Gaz” powiada, „czuję jak cholera, chyba od tej spod siódemki”. To poszłyśmy obie pod jej drzwi i zatykając nosy, słuchamy, a tam cisza taka, nikt się nie rusza, tylko ten gaz wali na całego. „Trzeba”, mówi dozorczyńni, „zawiadomić milicję”. „To niech pani zawiadamia”, mówię jej, „co mnie do tego?”. „E”, mówi dozorczyńni, „po co mi kłopoty? Ona już pewno kipiła, jej już nic nie pomoŝe, a mnie po sądach zaczną ciągać”. Za wiadro, szczotkę i w nogi. To ja teŝ wróciłam, dalej szykuję obiad. A potem nagle przylatuje dozorczyńni i woła, ŝe na ulicy wypadek, kobietę z dzieckiem zabiło, to pobiegåłam popatrzeć. Dziecka nie zabiło, ale matka trup na miejŝcu, mówię panu, krwi tyle, cała pogruchotana, a młoda całkiem, i jak te samochody jeŝdzą, i co warte ŝycie człowieka, pewno szła z dzieckiem na spacer do parku, i proszę, nawet do parku nie doszła, a młoda, w takiej ślicznej, niebieskiej sukien-ce, no, dozorczyńni ciągnie mnie za rękę, powiada: „Popatrz pani w górę, to patrzę i widzę, na drugim piętrze okna otwarte na całą szerokość, a w jednym ta wariatka się wietrzy...”

— Do widzenia pani! — poderwał się ze stołka.

— Już pan idzie? Nawet pan nie powiedział, czy ją zamknęliście? Chora na głowę, wszyscy dziwili się, czemu nie zamknięta. A z tym mężem to prawda? Zatrzasnął za sobą drzwi, zbiegł ze schodów jakby przed czymś uciekał. W bramie wpadł na jaśniepanią Jadwigę Nowak. Czekala na niego.

— Jak to dobrze, że pana raz jeszcze spotykam — uśmiechnęła się przymilnie.

— Bo, panie prokuratorze, zapomniałam zapytać o sprawę najważniejszą. Czy to mieszkanie po tej osobie będzie teraz wolne? Jeżeli ją aresztowaliście, to chyba będzie wolne? I od kiedy? Mój syn niedługo kończy studia. Byłby to wprost cudowny zbieg okoliczności...

Wyminął ją bez słowa, bez spojrzenia.

— Ależ, panie prokuratorze! — usłyszał za plecami obrażony głos. — Proszę zaczekać, doprawdy, to niegrzecznie...

ROZDZIAŁ, CZWARTY

Amierzał wypić poranną kawę z mlekiem, a wcześniej wziąć prysznic, bo zawsze rano brał prysznic, a na śniadanie zawsze pił kawę z mlekiem i jadł jedną grzanekę — nigdy więcej. Szczycił się, że mimo przekroczonej pięćdziesiątki brzuch ma płaski, dobrze umięśniony. Wieczorem gimnastykował się: trzydzieści skłonów, trzydzieści przysiadów, trzydzieści pompek. Dbał o swoją kondycję. Chciał być sprawny fizycznie, młodo wyglądający i w ogóle doskonały pod każdym względem.

Uważał, że wszystko przebiegło zgodnie z jego planem. Wystąpiły drobne odstępstwa, lecz nie miały one większego znaczenia. Był bardzo zadowolony, kiedy z pokoju na piętrze śledził odjazd ostatniego wozu milicyjnego. Widział wysoką postać prokuratora, który sprzeczał się z kapitanem, prowadzącym śledztwo. Kapitan odjechał, a prokurator został, stał chwilę, jakby niezdecydowany i odszedł wreszcie niespiesznym krokiem.

Głupiec — pomyślał. — Głupcy.

Był lepszy od nich. Nieporównywalnie, stokrotnie lepszy. Doskonały. Niezrównany. Ponad.

Nawet nie spodziewał się tak szybkiego i tak łatwego sukcesu. Żadnych komplikacji. Ci głupcy przynętę chwycili gładko i połknęli ją żarłocznie, bez zastrzeżeń. Wiedział, że się udało, bo zatrzymali Annę. Uznał, że gdy jeszcze znajdą cyjanek w koktajlu, to pozbędą się ewentualnych wątpliwości. O ile takie mają, ale raczej nie wyglądało, aby mieli jakiekolwiek.

Chora psychicznie kobieta truje w akcie odwetu nową żonę swojego byłego męża i usiłuje otruć również tego, biedaka — pomyślał uśmiechnięty — dobrotliwego biedaka, najlepszego pod słońcem, wspaniałomyślnego człowieka, który dbał za-wsze o swoją pierwszą żonę i przez wiele lat znosił jej pijackie wybryki. Uśmiechnął się ponownie, bo nikt nigdy nie oglądał Anny w stanie upojenia alkoholowego. Zdarzyło jej się kilka razy wypić ponad normę w obecności Smugów. Ale to było dawno temu. W ogóle miała słabą głowę, więc potem wystrzegła się alkoholu, piła najwyżej jeden drink i to wszystko. Ludzie jed-nak lubią szerzyć złośliwe, krzywdzące insynuacje o swoich bliźnich. Kochają ubolewać nad czyimś upadkiem moralnym. Wystarczyło jedno niedopowiedziane zdanie, jedno fałszywe westchnienie, dorzucone do tego zdania, i odtąd informacja zaczęła żyć swoim własnym życiem. Zwykła plotka pęczniała, obrastała w nowe legendy, nowe mity i nowe zdarzenia. Wy-starczyło powiedzieć bez szczególnych intencji, bez zastano-wienia, nawet bardziej żartem niż serio, że przyszło się bez żony, ponieważ ta czuje się niedysponowana od wczoraj, gdyż do kolacji wypiała zbyt dużo i nie zdążyła wyleczyć kaca, dołą-czyć jeszcze ciężkie westchnienie, a dyrektor już klepał po ramieniu i wyrażał swoje współczucie. I oto nagle zaczęto się dopytywać w instytucie, z troską rzecz jasna i z wielką życzli-wością, jak się ma żona i czy dalej tak pije? Potem tylko nicze-mu nie zaprzeczać, dyskretnie przemilczeć ten nieprzyjemny, przykry temat. Nie minęło wiele czasu, a cały instytut wie-dział, że żona zastępcy naczelnego dyrektora jest nałogową alkoholiczką. Nie sądził wtedy, że to mu się przyda, bardzo przyda. Biedna Anna, jej choroba psychiczna nikogo nie zdi-wiła, nie wzbudziła też w nikim większego współczucia. Ogól-nie wiadomo, że nałogowi alkoholicy z czasem zapadają na różne przypadłości psychiczne. Świetna zabawa, bo to on stał się ofiarą swojej żony, to nad nim ubolewano, to on cierpiał, był biedny, nieszczęśliwy i godny pożałowania. Teraz też bę-dzie biedny, najbiedniejszy, najnieszczęśliwszy, a jaki huma-nitarny, jaki szlachetny, przecież obdarował Annę mieszka-niem, dobrowolną pensją, nie przeczuwając nawet, że jej ręka zabije jego nową, ukochaną żonę. I na dodatek, że jego same-go zechce zgładzić. Śmiał się cicho, czuł się wspaniale. Mimo nieprzespanej nocy nie był wcale zmęczony.

I cokolwiek Anna powie — pomyślał — wszystko obróci się przeciwko niej. Skazać jej nie mogą, ponieważ psychia-trzy wydadzą orzeczenie, że jest niepoczytalna, i moja dziel-na Anna powędruje nieodwołalnie do czubków, gdzie na-prawdę zwariuje do końca, a ja będę wolny, nie tylko od swo-ich przeklętych żon, stanę się wolny od PAMIĘTAJ O RÓŻY. A jeśli nie? A jeśli to nie Anna? Ona! Ona! Chytra jak lisica, znalazła jakiś sposób. Kogoś, kto mi te karteczki wraz z róža-mi podrzucał. Kogo? Dominika? Nie, w żadnym wypadku, Anna nie narażałaby starej. Może Tadeusz? O, to by pasowało do niego. Ma mnie za co nienawidzić. No cóż, stary przyjacie-lu, jeżeli to ty, załatwię i ciebie. Otarł pot z czoła i przelknął gęstniejącą ślinę. Boże, żeby wiedzieć na pewno: kto? Kto mu grozi? Kto go szantażuje, nie ujawniając się, nie żądając tak zwanego okupu? Jeżeli nie chodzi o pieniądze... Wtedy to już nie szantaż, to groźba: wiem o tobie, twoich zbrodniach, wiem, kim był Róża.

Niemożliwe. Gdyby tak właśnie było, od dawna siedział-bym w pierdłu — pomyślał

i wzdrygnął się. — To na pewno robota Anny. Narazie Anna została unieszkodliwiona. Tadeusz, jej cichy współnik, prawdy nie zna. O, gdyby ją znał! Pierwszy doniósłby do prokuratury. Anna opowiedziała mu

O mnie jakąś bajeczkę, zaś Tadeusz zgodził się ochoczo, bo jeśli w taki sposób sprawi mi przykrość, to czemu nie? Jak najbardziej! — rozważał Borowski. — Po ubiegłej nocy wystraszony aresztowaniem współniczki, nie odważy się więcej... Co za ulga. Chryste, co za ulga, nie czytać tych liścików, nie widzieć ściętej, czerwonej róży. Jestem całkowicie bezpieczny — przekonywał sam siebie. — Minie kilka tygodni

I spokój, spokój. Tamta prawda o mnie zginęła wraz z Różą, który był ostatnim ogniwem w całym długim łańcuchu moich działań, o których wiem tylko ja. Anna nie wybroni się przed zarzutami otrucia i próby zabójstwa.

Pomyślał, że bezbłędnie zaaranżował wczorajszy wieczór. Ewy już się pozbył, niestety, jeszcze trzeba będzie odgrywać ponurą komedię zrozpaczonego męża, który cierpi po stracie ukochanej, młodej żony. Fala wściekłości ogarnęła go na wspomnienie Ewy. Dziwka, która postanowiła wygodnie urządzić się jego kosztem. Przeklęta dziwka, która go wodziła za nos, stroiła niewinne minki, ćwierkała słodko jak ptaszek. Brudna dziwka, która przewinęła się przez dziesiątki, setki łóżek. Myślała, że jest sprytna, że poderwała frajera do kwadratu, najgłupszego z najgłupszych. Frajera, który się z nią ożenił, bo dał się nabrać, pozwolił oszukać. Zacisnął pięści. To bolało, ta hańba, jakiej doznał od brudnej, nickszemnej kobiety. Czuł się wciąż unicestwiony, chociaż dokonał aktu zemsty. Nie żyła, a on wciąż dyszał nienawiścią. On, taki doskonały i taki ponad, został upokorzony przez zwykłą dziwkę! Gdyby chociaż nie okazała się tak perfidnie cyniczna, gdyby chociaż udawała, że jej na nim zależy, że kocha. Nie udawała niczego. To on ją prosił, poniżał się, pragnął być kochany przez młodą dziewczynę. Drwiła z niego, kiedy poprosił, żeby się nie malowała, ponieważ i bez makijażu jest w jego oczach najpiękniejsza. „Odpierdol się, staruszkule” odpowiedziała. Sądził, że się przesłyszał. „Odpierdol się, mój wiewiórko!”, powtórzyła, śmiejąc się.

Jeszcze nie dotarło do niego, kim jest jego młoda żona, lecz, nie panując nad sobą, palcami, w których tracił czucie, ścierał jej z twarzy puder, szminkę zdrapywał z ust. Potem poniżył się i prosił o wybaczenie. Łaskawie mu przebaczyła. Może uznała, że jeszcze za wcześnie, aby się ujawnić? Cwana kurewka.

A potem przyłapał ją z tym młodym osiłkiem. Zamiast czołgać się u jego nóg, półnaga i pijana, bo dla zaprawy opróżniła butelkę francuskiego Martella wraz ze swoim amantem, wybuchnęła odrażającym śmiechem. W jednej sekundzie pozbył się złudzeń, już wiedział, jak bardzo dał się oszukać.

„Ty dziwko”, powiedział, „wyrzucę cię z mojego domu na zbity pysk”, ale ona nadal się śmiała:

„Ojczulku, a ty sądziłeś, że mi wystarczy? Raz na tydzień?”. I z pijackim śmiechem wyjaśniła, jak dał się na nią nabrać. Plaża to świetne miejsce do podrywania podtatusiałych facetów, lepsze od luksusowych hoteli. Wystarczy przed takim ojczulkiem odegrać biedną, nieszczęśliwą sierotkę, która miała ciężkie dzieciństwo i młodość, ponieważ świat jest pełen obrzydliwych, czyhających na niewinne, bezbronne sierotki satyrów. Wystarczy tak frajerowi nadać, a taki frajer

— łysy, brzuchaty ojczulek, udający młodzieniaszka, już pręży pierś, wciąga brzuch, głaszcze sierotkę po skołatanej główce, zabiera ją trzy razy dziennie na świetne żarcie i ku-puje jej to i owo, bo czuje się opiekunem sierotki. Czasami pokocha sierotkę swoją ostatnią wielką miłością i ta, jeżeli ma tylko trochę oleju w głowie, potrafi od swojego ojczulka wydebić niezłą forszę.

»Ty, ojczulku", śmiała się Ewa, „byłeś najwspanialszym frajerem ze wszystkich frajerów, których udało mi się kiedy-kolwiek naciągnąć. Spadłeś mi z nieba, bo moja kariera sierotki dobiegała już końca, latka nie te, prawie trzydziest-ka na karku. Na podstarzałe, zużyte sierotki mało jest chę-nych. Trafiłeś mi się jak jakaś gratka, kęsek. Zawsze marzy-łam, aby coś w życiu osiągnąć i spełniło się moje marzenie. Ciężki z ciebie frajer z ciężką forszą, który regularnie chce się żenić. Nie uważasz, że mam talent? Że się marnuję? Powin-nam była zostać aktorką i grać czyste, niewinne amantki. Powiadasz, że mnie wywalisz na zbity pysk, biedny ojczul-ku? Otóż nie, tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Musisz mi zapłacić, rozumiesz? Zapłacić kupę kasy, podzielić się ze mną sprawiedliwie, pół moje, pół twoje, ja się nie pozwolę wykiwać. Chcesz rozwodu, proszę, ale ja ci przed sądem wy-walę taki numer, że się nie pozbierasz, bo wszystkie moje kumpelki zaświadczą przeciwko tobie: jaki z ciebie zbocze-niec seksualny i sadysta. Chcesz rozwodu? O nim możemy pogadać, gdy wytrzeźwieję, bo to ja ci będę stawiać warunki, ojczulku, ja!"

Uderzył ją zdreźwiałą dłonią między oczy, otarła krew i wytrzeźwiała natychmiast. Spojrzała z nienawiścią:

„Albo nie dam ci rozwodu. Teraz działa nowy kodeks ro-dzinny, pięć latek poczekaś, aleja przez te pięć latek będę się z tobą bawiła w kotka i myszkę. Ty będziesz myszką, ja kot-kiem. Więc radzę ci nie podnosić na mnie ręki. Musisz być grzeczny i spełniać wszystkie moje zachcianki, kupić mi kilka futer, sporo biżuterii, ojczulku. Obawiam się, że lista moich zachcianek stanie się długa, bardzo długa. Spojrzała znowu z nienawiścią i ze wstrętem. No i bardzo dobrze, że już wiesz, jakie jest twoje miejsce w tym domu. Bo ta komedia w miłość już mi się znudziła".

„Nigdy nikomu nie przyjdzie do głowy, że to ja zabiłem, bo nie mam motywu", pomyślał. „Ach, chętnie bym tę brudną dziwkę zabijał nie raz, ale wiele, wiele razy! Jeżeli nawet do-grzebią się do twojej przeszłości, dziwko, ich współczucie dla mnie wzrośnie. Biedny facet, powiedzą, a tak ją kochał".

I pomyślał natychmiast, że jest wielki. Wspaniały. Nieka-ralny. Ponad. Od jego wyroków nie ma odwołania.

Wszedł z gabinetu, zamierzał wziąć prysznic. W holu spo-strzegł prokuratora. Jeszcze węższy — pomyślał. — Głupiec. Wszyscy dokoła są głupcami.

Postanowił zachowywać się z godnością i spokojem, ale był wściekły, musiał wprowadzić prokuratora do swojego gabine-tu. Jedyne miejsce, niesplamione w ciągu minionej nocy obec-nością obcych ludzi. Zaglądali tylko, ale nie wchodzili, bo i po co? A teraz ten obcy facet podepcze jego dywan, usiądzie w jego fotelu, pokala swoją obecnością całe wnętrze, zbruka je. Borowski poczuł, że sztywnieją mu dłonie. Muszę się opa-nować, nakazał sobie, gdy prokurator polecił mu odsłonić okna. Uderzenie światła odebrał jak fizyczną przemoc, jak gwałt. W tym domu to on był panem, on rozkazywał i on rzą-dził. Prokurator zagłębiający się w fotel stał się wrogiem nie tyle z racji swojej funkcji, ile z powodu wtargnięcia na wyłącz-ne i

niepodzielne terytorium.

— Ma pan bogaty księgozbiór — zauważył prokurator. Głupiec! Nigdy się nie domyśli, że te książki są wyłącznie dekoracją. Obserwował zmęczoną twarz prokuratora.

To jeszcze młody człowiek, bardzo młody—pomyślał.—Głupiec! — dodał natychmiast swój ulubiony epitet. Obserwował młodego głupca, przechodzącego wolno wzdłuż regałów. Miał nad nim władzę. Od wczoraj zakres jego władzy rozszerzył się na wiele osób, rządził dziesiątkami ludzi, między innymi tym prokuratorkiem, kapitanem, całym sztabem anonimowych, nieznanym sobie milicjantów i techników kryminalistycznych. Wczoraj wprowadził w ruch precyzyjną maszynę i ona zaczęła się obracać zgodnie z planem. Może już w laboratorium jakiś ma-gister chemii dokonuje rozpoznania: szklaneczka koktajlowa numer pięć, HCN, dawka śmiertelna 0,06 grama; a może raport z wynikami ekspertyzy już ląduje na biurku tego kapitana i ten właśnie odczytuje: HCN, śmiertelna trucizna, w szklaneczce numer pięć. Szklaneczka numer pięć, z niej miał wypić koktajl Karol Borowski, mąż ofiary. Wypić, a więc umrzeć od HCN, cyjanek zabija szybko i skutecznie. Jakie to wspaniałe doznanie: wiedzieć, że się uruchomiło maszynę, która wciągnęła w swoje tryby dziesiątki ludzi i nad którymi miał pełną władzę, ponieważ wykonywali to, co on im kazał. Postępowali tak, jak to sobie zamierzył.

Przyglądaj się moim „zbiorom bibliotecznym” — pomyślał z ironią. — Przyglądaj się i podziwiał. Nawet nie wiesz, prokuratorku, jak bardzo jesteś bliski czegoś, za co byś wiele dał, aby to wziąć do ręki i przeczytać. No, co tak stoisz? Przechodź dalej, ta półka nie powinna cię zainteresować, głupcze.

Prokurator jednak przyglądał się akurat tej półce ze szczególnym zainteresowaniem. Och, jest tylko młodym, niedoświadczonym głupcem, niech się przygląda! — pomyślał z lekkim uczuciem niepokoju Borowski. — No, powinien już naprawdę odejść!

Niepokój wzrósł.

Przypadek — pomyślał — to tylko przypadek, czego się boję? Przecież to głupiec. Prokurator tymczasem z tej właśnie półki sięgnął po książkę, przewrócił kilka stron i odłożył na miejsce ze znużonym wyrazem twarzy. Powrócił na fotel.

Oczywiście — pomyślał Borowski — takie cegły nie są w stanie nikogo zainteresować. Idealny schowek. Doskonały.

Ze spokojem już wysłuchał tyrady prokuratora na temat literatury pamiętnikarskiej, satysfakcję sprawiła mu również informacja, że ma w swoich zbiorach jakąś książkę, której prokuratorowi nie udało się nabyć. Może mu ją sprezentować? Nie, pomyśli jeszcze, że się podlizuje.

Pytanie o testament wprowadziło Borowskiego w lekką ekstazę, bo sporządzając testament, zastanawiał się, czy ktos z przedstawicieli aparatu śledczego domyśli się i zapyta sam, czy też będzie musiał wystąpić z delikatną inicjatywą i pytanie sprowokować. Pragnął opinii wypaść jako bezinteresowny i szlachetny mąż, zarówno w stosunku do byłej jak i do nowej żony. Oczywiście testament nie miał żadnego znaczenia, bo Ewa miała umrzeć, a Anna? Przecież nikogo nie zdziwi cofnięcie zapisu zbrodniarce.

Ten testament służył mu też za koronny dowód przeciwko Annie. Miał pokazać, że

była nie tylko szalona z nienawiści, ale i wyrachowana! Liczyła się dla niej nie tylko zemsta, lecz i pieniądze! Chciała tę swoją część zagarnąć szybko. Jak naj-szybciej! Głupiec dał się szybko złapać. Bardzo dobrze, głupcze, py-taj o testament — pomyślał Borowski i powściągnął uśmiech satysfakcji. Odpowiadał na pytania prokuratora cicho, jakby ta rozmowa sprawiała mu szczególny ból. Przyszedł czas na zagranie komedii, co wychodziło mu wybornie. Przekonywał prokuratora, że wierzył w nieposzlakowaną przeszłość Ewy, chociaż mówienie o niej napawało go wstrętem. Zastanawiał się, czy ma odpowiednio cierpiące oczy i czy właśnie teraz należy westchnąć ciężko, boleśnie... Jak róża — powiedział prokurator.

I wtedy na jedną chwilę zamarł, jakby zatrzymało mu się serce i umierał w strasliwym strachu, którego nie potrafił opanować. Lękał się, że jego strach zostanie zauważony, więc opadł bezwładnie, skulił się, zasłonił twarz dłońmi. Róża pojawiła się w jego domu niezwyciężona, niepokona-na, uparta, złowroga, grożąca. Więc to nie Anna! Więc kto? Co już wie ten prokurator? Dlaczego tak długo penetrował tamtą półkę? Dlaczego nie odjechał z kapitanem, lecz zo-stał? Czemu tu węszy? Może jest w zмовie z Anną, może ją zatrzymał po to, aby odwrócić jego uwagę? Skoczyć do gar-dła. Zadusić. Zasłaniając szczelnie twarz, z wysiłkiem do-bierał słowa, słysząc ich chropawy dźwięk i bełkot. Musiał jakoś usprawiedliwić ten nagły atak strachu. Wreszcie do-szło do jego świadomości, że prokurator kojarzy sobie Różę z jakąś kobietą, więc nic nie wie, co za ulga... Teraz należa-ło zapanować nad drżeniem rąk, przycisnąć je mocniej do twarzy i mówić o tym, jak bardzo jest zdruzgotany i zmę-czony.

Czy to wypadło naturalnie? — myślał. — Chryste, kiedyż on wreszcie sobie pójdzie. Telefon.

Nie, nie mógł jeszcze pokazać swoich oczu prokuratoro-wi, więc nie mógł odebrać telefonu.

— Proszę powiedzieć, że umarłem! — krzyknął. — Nie istnieję! Niech dadzą mi spokój!

Tak, to chyba wypadło naturalnie i prawdziwie.

Słuchał uważnie i z napięciem lakonicznej rozmowy. Te-lefon był do prokuratora. Szukali go u mnie? Dlaczego właśnie u mnie? Przypa-dek? Był przekonany, że rozmowa dotyczy jego osoby. Wbił się spojrzeniem w plecy prokuratora, pocąc się znowu od strachu. Jeżeli prokurator odłoży słuchawkę lewą ręką, wróżył sobie, będzie to oznaczało, że nic o mnie nie wie, że Róża jest dla niego jakąś kapryśną, zwariowaną kobietą, że mnie o nic nie podejrzewa.

— Będę za godzinę — padła odpowiedź prokuratora. Przełożył słuchawkę do lewej ręki, jakby prawą było mu niewygodnie sięgnąć aparatu. Odłożył słuchawkę na wideł-ki.

Jestem uratowany — pomyślał Borowski, zamykając oczy. — Co za ulga. Niczego o mnie nie wie.

Słyszał oddalające się kroki prokuratora. Nie miał siły się ruszyć. Ulga, spowodowana tą idiotyczną wróżbą, była tak silna, że znalazł się na granicy omdlenia.

Przebudziła się bez świadomości miejsca, w którym się znajduje. Spostrzegła, że leży na jakimś tapczanie i zobaczyła czyjeś przykurczone nogi. Trwało długo, zanim zrozumiała, że to są jej własne nogi i że tapczan też jest jej własny. Przy stole siedział jej mąż, Tadeusz. Twarz miał obrzmiałą i szarą.

Dlaczego nie poszedł do pracy? — pomyślała — Dlaczego śpię ubrana, bez pościeli? Uniosła się na łokciu i jęknęła. W tyle głowy poczuła ostry, tępy ból.

— Boże, moja głowa... Tadeusz? Dlaczego nie jesteś w pracy?

— Idiotka — usłyszała w odpowiedzi. Przestraszyła się, dlaczego on tak okropnie wygląda? Dlaczego patrzy tak potępiająco?

— Tadeusz, nie patrz na mnie w ten sposób... — jęknęła, głowa bolała przy każdym najmniejszym ruchu.

— A jak mam patrzeć na ciebie?

— Nie wiem... — odparła. Krzyknęła cicho, dopiero teraz przypominając sobie wydarzenia ubiegłej nocy i koszmar przesłuchań. Zasłoniła twarz.

— Przypomniałaś sobie, co?

— Boże, Tadeusz...

— Siedziałem tu, przy stole, przyglądając się swojej żonie. Przyglądałem się w zdumieniu: jak ona potrafi spać, jak w ogóle umiała usnąć, niczym ostatnie bydło. Chociaż nie! Bydło posiada jakieś uczucia, ty chyba żadnych.

Przeraził ją nie tyle wygląd męża, co agresywne brzmienie jego głosu. Nigdy nie ośmielił się w ten sposób do niej mówić. Wstał od stołu, ruszył ku niej, z taką nienawiścią, że się przestraszyła.

— Tadeusz, co tobie? — zawołała.

— Rusz się! Zrób mi śniadanie! Dość spałaś. Ja nie zmrużyłem oka. Rusz się, słyszysz! — krzyknął. — Muszę przecież pójść do instytutu. Będę spóźniony, ale to nic, uprzedzę ewentualne ataki, teraz dopiero się zaczniesz.

— Co? — zapytała.

— Idiotka.

— Nie waż się krzyczeć na mnie! — pisnęła histerycznie.

— Idiotka.

— Co cię tak ośmieliło? — pisnęła znowu. — Głowa pęka mi z bólu, jestem rozbita, zniszczona, nigdy nie przeżyłam podobnego koszmaru.

— To wszystko przez ciebie! Nie chciałem tam iść! Ty mnie zmusiłaś! Siłą zawlokłaś do swojego ukochanego!

— Tadeusz — jęknęła prosząco, ulegle. — Tadeusz, błagam cię, miej litość.

— A ty? A ty miałaś kiedykolwiek litość nade mną? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co się stało? Zniszczą nas teraz doszczętnie. Całkowicie zniszczą, to już koniec, twój, mój koniec.

— Kto nas zniszczy? Tadeusz, opamiętaj się, przecież nie zabiliśmy tej dziewczyny, przecież nas puszczono, jesteśmy niewinni, kto nas zniszczy?

— Oni.

Nie rozumiała jacy „oni”, ale ten zaimek wydał się jej groźny, straszny: oni, oni.

Oni: bez twarzy, bez nazwisk, czarne postacie, tłum ludzi. Krzyknęła.

— Tylko bez hysterii, rozumiesz? Bez hysterii, słyszysz? Zniosła się suchym

szlochem, bez łez.

— Boję się.

— Wreszcie. Ale prawidłowo. Powinnaś się bać. I to bardzo. Bo oni przyjdą. Już niedługo. Przyjdą i przenicują nasze życie do ostatniej podszewki. Dobiorą się do wszystkich naszych brudów, tak starannie maskowanych. Będą nas przepytywać, przesłuchiwać, nie dadzą nam odpocząć, wydobędą z nas wszystko. Poznają nasze życie, nasze charaktery, nasze wady, nasze nikczemności, wedrą się nawet w nasze myśli. Nie podadają i nie oszczędzą. Każą świadczyć przeciwko tej nieszczęśliwej obłąkanej Annie podczas procesu. Zniszczą nas do końca, nieodwołalnie, ostatecznie i wyciśniętych, zniszczonych zostawią. A my nie będziemy umieli spojrzeć już sobie w oczy. Nie będziemy umieli mówić do siebie ani razem milczeć. Czy nie rozumiesz! Że to nie tylko Anna zostanie skazana? Że nas już też skazano? Na wzajemną odrazę, na nienawiść.

Co on wygaduje? Kto ich skazał, za co? Oszalał? — pomyślała Krystyna.

— Przecież my nic złego nie uczyniliśmy.

— Czy rzeczywiście jesteś taka tępa, czy się wygłupiasz, pozujesz na tępotę?! — pochylił nad nią wykrzywioną złością twarz.

— Nie krzycz na mnie.

— Jestem skończony — powiedział. — Skończony.

— Ależ... — zaoponowała słabo.

— Mógłbym go zabić.

— Tadeusz!

— Powinienem był dawno go zabić. Rozgnieść jak parszywą pluskwę.

Pomyślała, że musi szybko, pod byle pretekstem, wyjść z pokoju, zamknąć się gdzieś, może w kuchni, może w łazienkę, wszystko jedno gdzie. Albo uciec, tylko dokąd? Nie ma dokąd uciec ani gdzie się schować. Więc trzeba Tadeusza uspokoić, coś powiedzieć, ale co?

— To śmieszne — odezwała się. — To wprost idiotyczne: być zazdrosnym w takim momencie. Przecież to stare dzieje. Stara historia, która zdarzyła się kiedyś, przed wiekami, w dodatku nie byłam jeszcze twoją żoną.

— Przed wiekami? — powiedział cicho. Właściwie poruszyły się tylko same usta i z ruchu warg odczytała te słowa. Sięgnął dłońmi jej szyi i zacisnął palce, lekko, jakby pieszczotliwie, ale Krystynie wydało się, że ta pieszczota ją zadławi. Przysunął swoją twarz do jej twarzy, a usta znowu poruszyły się bezgłośnie. — Przed wiekami, powiadasz? Idiotycznie zazdrosny, bo przed wiekami?

Zrozumiała, że zna prawdę. Znał prawdę przez cały czas. Szarpnęła się, ręce Tadeusza z jej szyi opadły kleszczami na ramiona, uwięzły.

— Czy ty naprawdę uważasz mnie za takiego ślepego durnia? Udawałem, że nie wiem. Udawałem, ponieważ nie chciałem cię stracić — Smuga rozplakał się. — A tracę cię, tracę — powtarzał, ściskając ramiona żony, płacząc.

To upokarzające — pomyślała, lecz poczuła litość. Kocha! ją tak mocno, że godził się w milczeniu na tego drugiego. Wiedział, że ona go nigdy nie kochała, może nawet domyśla! się, że wyszła za męża za niego wyłącznie dlatego, aby być blisko Karola.

— Ale tak bardzo kochał — pomyślała, mój Boże, jak go pocieszyć? I nagle pomyślała, że jednak, mimo wszystko, kocha swojego męża, kocha tego brzydkiego męża-czynę, zaczęła go kochać właśnie dopiero teraz, w tej chwili za to, że on kochał ją tak mocno i tak boleśnie. — Kocham cię, mój biedaku — pomyślała, i zamierzała mu to powiedzieć, ale Tadeusz przestał płakać, roześmiał się. Miał jeszcze sznureczek łez na policzkach, jednak śmia! się, śmia! się jak wariat, jak szalony. Siorba! nosem. — To obrzydliwe — pomyślała z odrazą.

— Teraz zapewne litowałaś się nade mną, jednocześnie usatysfakcjonowana tym, że tak mocno cię kochałem! Cierpiałem i nie przestawałem kochać! Ty nieszczęsna idiotko! Nie potrzebuję twojej litości ani twojego współczucia! Ani ciebie. Ciebie też nie, wypaliłem się do końca, rozumiesz? Nie — powiedział cicho, otarł nos, policzki. — Ty tego nie rozumiesz. Jesteś zbyt głupia i zbyt próżna, i zbyt... nieszczęśliwa. Nie winię ciebie. To nie jest twoja wina. To jego. Zniszczył moje życie. Zabrał mi wszystko. Ciebie, moją pracę, złamał moją karierę, zrobił ze mnie szmatę. Gdybym nie był tchórzem, poradziłbym sobie z twoim ukochanym. Ale to wówczas tak na mnie spadło. Gorzej niż grom z jasnego nieba. W jednym tygodniu dowiedzieć się, że najlepszy przyjaciel od lat sypia z moją ukochaną żoną i okrada z wieloletniej pracy... zbyt wiele. Za wiele. Wtedy właśnie powinienem był go po prostu zabić. Miałem do tego moralne prawo. Ale ja jedynie potrafiłem wyobrazić sobie, że go zabijam.

— Tadeusz... — szepnęła przerażona wyznaniem męża.

— Zabijałem Karola tysiące razy. Z rozkoszą. Setki razy wbijałem mu nóż w serce. Setki razy dusiłem go i czułem, jak jego ciało wiotczeje... Kiedy patrzyłem na ciebie, promieniejącą szczęściem, zabijałem.

— Tadeusz! — krzyknęła. — Nie! Na litość boską milcz. Nie mów nic. Nie chcę, nie mogę tego słuchać. To nie oni nas zniszczą, lecz ty, więc milcz. Ani słowa więcej. Tak będzie lepiej. Dla ciebie. Dla mnie. Dla nas.

— Oni już nas zniszczyli — odpar!. — Dlaczego boisz się prawdy? Oni ją z ciebie wydobędą, tę twoją prawdę. Powiedz, przyznaj się, a ty? Ty nie życzyłaś mi śmierci? Nie uśmiercałaś w swoich marzeniach? Nie pragnęłaś się uwolnić ode mnie na zawsze? Nie umierałaś ze wstrętu, kiedy cię dotykałem? Nie zaciskałaś pięści nad moimi plecami, kiedy się z tobą kochałem? Nie godziłaś tymi zaciśniętymi pięściami w moje plecy, wyobrażając sobie, że to nie pięści, ale ostry nóż? Powiedz. Przyznaj się. Taka ta twoja prawda. Nie chcesz słyszeć mojej, bo ci się wydaje, że swoją zachowasz, ukryjesz? Nie, moja kochana. Ta twoja prawda też wylezie w całej ohydzie. A Anna? Nie cieszyła cię jej choroba? Nie dopytywałaś się nachalnie: „Powiedz, Tadeusz, co mówi Karol o Annie? Jest szansa, że wyzdrowieje?”. Dopytywałaś z błyskiem nadziei w oczach. Jakim prawem sądzisz, że jesteś ode mnie lepsza? O, tak, jesteś lepsza, nawet szlachetna. Ty przecież cierpiałaś, miałaś wyrzuty sumienia. Ty nie chciałaś dla nikogo źle. Ani dla mnie, ani dla tej nieszczęsnej

Anny. To nie twoja wina, że się tak złożyło, nie zamierzałaś celowo nikogo krzywdzić, pragnęłaś jedynie szczęścia dla siebie, a do szczęścia ma się prawo, prawda? Zatkaną uszy. Padła twarzą na tapczan.

— Przestań! Przestań!

— Zatykasz uszy, ale to ci nie pomoże. Myśli nie uciszysz. Chciałaś być wolna, ode mnie, od Anny, chciałaś usunąć przeszkody. Ja chciałem tego samego. Tak samo tchórzliwie jak ty. Śmierć Borowskiego byłaby dla mnie wyzwoleniem, więc co w tym złego, że życzyłem mu śmierci? Że wyobrażałem sobie po wielokroć, jak umiera, bo ja go zabijam? Jaka to byłaby później rozkosz patrzeć na twoją rozpacz. I pytać cię, po kim tak rozpaczasz.

— Przestań, bo uderzę!

— Uderz.

— Nienawidzę cię.

— I jeszcze bardziej będziesz mnie nienawidzić. O Boże — powiedział — i nic już nas nie uratuje? Dlaczego go nie zabiłem? Dlaczego odwagi starczyło mi zaledwie na pisanie donosów?

— Tadeusz — jęknęła.

— Donosy. Pisywałem je namiętnie. Gdy otrzymał spadek. Kiedy budował willę. I gdy szarogęsił się w instytucie. Pisywałem donosy do wszystkich, wszędzie, dokąd się dało.

— Przestań.

— I co to zmieni, jeżeli przestanę? Ucieknę przed własnymi myślami? Ucieknę przed tymi, którzy się do moich myśli dogrzebią, obnażą je? Ciebie też dopadną.

— Tadeusz, o kim ty mówisz?

— Milicja — warknął. — Sądzisz, że milicja nie dowie się o moich donosach? I o twoim wieloletnim romansie, starannie skrywanym?

— Nie! — krzyknęła. — Nikt nie ma prawa...

— Owszem. Mają prawo, bo zostaliśmy zamieszani w zbrodnię

— Nie, nie! — broniła się.

— Wiem — powiedział już spokojnie, z goryczą — że to była twoja prawdziwa i jedyna miłość. Ale będziesz musiała o niej mówić z obcymi ludźmi.

— Nie! Nigdy!

— Tak. Będziesz musiała. Wypowiadasz się z tej wielkiej, jedynej miłości.

— Dlaczego mi to mówisz? To okrutne.

— A ty? Jaka ty byłaś przez te wszystkie lata? Opuściła głowę.

— Co się teraz z nami stanie? Zniszczą nas. Wszyscy do-wiedzą się wszystkiego. Sąsiedzi, moi koledzy z instytutu, pa-nie sekretarki, wszyscy. To ohydne. Gdybym cię mógł chociaż znienawidzić... — powiedział, chwycił Krystynę za rękę, ści-snął.

— To boli! — krzyknęła. — Puść!

Ale on ścisnął dalej, mocno, miążdżąco.

— Wiesz, żal mi było ciebie — mówił. — Litowałem się nad tobą. Nie jesteś już przecież najmłodsza. Masz swoje lata, cho-ciaż, jak powiadają obłudnicy, nie wyglądasz na nie. Co ty byś beze mnie zrobiła? Co ty potrafisz? Co umiesz?

Poszłabyś do pracy? Za ile? Najwyżej na pocztę, stemplować listy. Litowa-łem się nad tobą. Byłaś w gorszej sytuacji niż ja. Ty oszukiwa-łaś mnie całymi latami, pocieszając się, że ja nic nie wiem. A siebie nie mogłaś nawet oszukać. Wiedziałaś, że jesteś dla niego kimś, kogo się bierze od przypadku do przypadku. Dzwonił, a ty przeżywałaś swoją nieprawdziwą, oszukaną chwilę szczęścia...

Puścił dłoń Krystyny.

— Nieprawdziwą chwilę szczęścia — powtórzył. Dosuwając nogę do nogi jak starzec, ruszył przez pokój.

Zatrzymał się w drzwiach.

— Więc ciesz się teraz — powiedział — że nikt nie otruł twojego ukochanego. Wtedy pan prokurator nie zwolniłby ciebie tak szybko. Nie mogłabyś o tej porze być w domu. Ze mną...

— Ty również — odparła z nienawiścią Krystyna. — Ty również wtedy nie byłbyś o tej porze w domu, ze mną

Dzwonek odezwał się ostro, raz i drugi. Spojrzeli po sobie.

— Już? — mruknął Smuga. — Tak prędko?

— Tadeusz. Boję się.

Rzuciła się do męża, przywarła do niego całym ciałem. Po-głaskał ją po głowie.

— Idź, otwórz — powiedział łagodnie. — No, idź. Otwó-rzyć trzeba.

*

Słońce lało się z nieba strumieniami. Był upał. Jezdnią su-łał nieprzerwany potok samochodów. Wąskie chodniki ulicy Wróblewskiego przelewały się od ludzi.

Przejście na drugą stronę to problem — pomyślał An-drzej — dlaczego nie ma tu przejścia dla pieszych? Sygnaliza-cji na skrzyżowaniu?

Pojazdy dokonywały ekwilibrystycznych manewrów. Ulica Wróblewskiego była podporządkowana w stosunku do Jodło-wej, jeszcze ciaśniejszej, jeszcze bardziej ruchliwej. Między sunącymi w korkach samochodami piesi przemykali się z de-terminacją samobójców. Skandal!

Spazmatycznie rozdzwonił się tramwaj, ostre hamowanie. Ten mężczyzna, otyły, starszawy, w słomkowym kapeluszu, uniknął właśnie cudem potrącenia.

Przebiegł pośpiesznie przez jezdnię, wykorzystując mo-ment luzu. Na przeciwległym chodniku potrącił kobietę opar-tą o inwalidzką szwedkę.

— Przepraszam — powiedział i ruszył, objany przez tłum ludzi. — Ta kobieta chciała przejść na drugą stronę — pomy-ślał.

Odwrócił się, rzeczywiście, wciąż czekała, oparta o białą kulę, ale bała się ryzykować. Staął, obserwował, widział jak kobieta czyni ruch, aby zejść wreszcie z chodnika. Ktoś zno-wu ją popchnął, to była roześmiana, młoda, obojętna para.

Mocno ją popchnęli i szwedka wypadła kobiecie spod ramie-nia. Czekał, obserwował teraz przejście na drugą stronę i gdy zatrzymujący się na przystanku tramwaj wstrzymał ruch sa-mochodów, tłum ludzi rzucił się przez jezdnię. Kobieta nie-zdarnie usiłowała podnieść swoją kulę, ale tłum zepchnął kulę na jezdnię.

Ta obojętność jest okropna — pomyślał Andrzej, szybko za-wrócił. Dopadł kobiety, uchwycił ją pod ramię, podniósł szwedkę i poczuł jak ciało kobiety drży. Podniosła na niego oczy załzawione wdzięcznością.

— Dziękuję — usłyszał. Tramwaj już ruszył ze zgrzytem. Podniósł rękę, wstrzymując ruch, i ostrożnie przeprowadził kalekę na drugą stronę ulicy Wróblewskiego.

To „dziękuję” było przykre, a ta załzawiona wdzięczność bezradnej kobiety, której nikt nie chciał pomóc, była upokarza-jąca. Jak długo ta kaleka kobieta oparta o swoją szwedkę stała na skrzyżowaniu i ilu ludzi ją minęło, nie spojrzawszy nawet, a ilu

popchnęło? Anna Borowska również przechodziła przez to ruchliwe skrzyżowanie i nagle buch! „Szusa daje na jezdnię i dopiero się wyprawia! Samochody hamują, kierowcy ją wyklinają, zupełnie stuknięta...”, jak malowniczo i obrazowo przedstawiała gosposia z pierwszego piętra. Przyglądała się tej wariatce, przyglądała z tępą wredną ciekawością, może tym razem wariatka będzie miała mniej szczęścia? Może nie zdąży uskoczyć w porę przed samochodem, może samochód nie zdąży zahamować? Obserwowała tę chorą, obłąkaną kobietę, śleǳiła, podglądała na ulicy, w sklepie delikatesowym. Zaglądała nawet wspólnie z dozorczynią przed dziurkę od klucza i słuǳała, czy już zatrula się gazem do końca, czy może jeszcze się rusza? Na wszelki wypadek poszła popatrzeć... Nagle Andrzej poczuł wielką, złą ochotę, aby ta tępa, tęga, rumiana, czerstwa kobieta zasiadła przed nim kiedykolwiek w charakterze oskarżonej. I jaśniepani Jadwiga Nowak... i ta dozorczyńni, której nie widział i nie poznał, ale wydawało mu się, że znają doskonale. Pomyślał, że ona w letnie, niedzielne popołudnie, kiedy się już mocno i tłusto naje, układa na parapecie okiennym poduszkę i sama ładuje się w okno. Potem opiera tęgie łokcie na miękkiej poduszce i patrzy, patrzy chciwym, łapczywym okiem na przechodzących ulicą ludzi. Czeka syta, nażarta na jakiś wypadek, który stanie się godziwą rozrywką. Lubi „patrzeć” na wypadki, na ludzkie dramaty, słuchać płaczu dziecka, któremu samochód zabił matkę. Nienawidził takich ludzi. A teraz, w tym upale, na tej tłocznej ulicy nienawidził wszystkich, którzy go, potrącając, pospiesznie mijali. Jestem zmęczony — pomyślał — i dlatego tak reaguję.

Ale jego odraza do mieszkańców kamienicy przy ulicy Wróblewskiego wzrastała. Natomiast coraz silniej współczuł Annie Borowskiej.

Jak w klatce — pomyślał. — Chora, sama, bez nikogo. Z etykietką „wariatki” wśród obojętnych, niechętnych ludzi. Żadnej życzliwości, tej najbardziej potrzebnej, tej na co dzień. Pewno nie wyłączyłaby tego gazu, gdyby wiedziała, że za jej drzwiami dwie kobiety słuchają, czy jeszcze żyje. Obojętność, tak, tę chciałbym kiedyś posadzić na ławie oskarżonych i skazać.

Stanął na przystanku tramwajowym, postanowił jechać do komendy. Żabicki i tak go przeklnie. Po raz pierwszy miał oskarżać o zabójstwo kobietę i wewnątrz buntował się przeciwko temu, chciał zrzec się tej sprawy. Dwa razy domagał się dla oskarżonych najwyższego wymiaru kary. Pierwszy raz sądził zbrodniarza wojennego i nie miał żadnych wątpliwości, a drugi raz młodego chłopaka, który zamordował siedemdziesięcioletniego mężczyznę. Tę drugą sprawę odchorował i przecierpiał. Myślał wówczas o rzuceniu zawodu. Stwierdził, że ze swoimi wątpliwościami moralnymi i skrupułami nie nadaje się na prokuratora. Chociaż sama zbrodnia była wyjątkowo ohydna, a jej sprawca — dwudzieściolatek, wychowanek domów poprawczych, o twarzy kretyna, z niskim czołem i rozplaszczonym nosem nad wydatnymi wargami — nie wzbudzał odruchów sympatii. Andrzej, domagając się najwyższego wymiaru kary, odnosił wrażenie, że jednak litera prawa nie jest doskonała, Stary człowiek, którego młody psychopata skatował tylko dlatego, że nie otrzymał żądanych trzydziestu złotych na butelkę wina, przeleżał na ulicy blisko godzinę. W ciągu tej godziny leżącego mężczyznę minęły dziesiątki osób. Nikt się nim nie zainteresował i nie pomógł. Przechodzień, który był mniej obojętny od swoich poprzedników, sprowadził pogotowie i zawiadomił

milicję. Zeznał później, że stary człowiek jeszcze żył, a lekarze potwierdzili te zeznania. Jednak gdyby pomoc została udzielona natychmiast po zajściu, stary człowiek miałby szansę na przeżycie. Andrzej myślał o tym, że ostateczny wyrok śmierci na tego człowieka wydali dopiero ci wszyscy, mijający go chyłkiem, obojętnie lub tchórzliwie, anonimowi, nieznani, niepociągnięci do odpowiedzialności przechodnie.

— Słuchaj — mówił mu Żabicki — nie wolno się tak przejmować. Tak było zawsze, jest i tak będzie. My tego nie zmienimy, ty tego nie zmienisz, a sam się wykończysz!

Obojętność! — myślał teraz Andrzej, czekając na tramwaj. — Może gdyby znalazła się jakaś życzliwie wyciągnięta ręka, może gdyby znalazł się ktoś, kto natchnąłby Annę Borowską nadzieją, uśmiechnął się do niej, pomógł, może nie dośzłoby do tragedii. Otrząsnął się. Znowu spojrzały na niego jej cierpiące, jakby umarłe oczy. Nie, nie będę jej oskarżał — postanowił. — Nie będę przede wszystkim dlatego, że od początku nie wierzę w jej winę. Nie będę, ponieważ muszę być obiektywny, a nie potrafię. Zbyt lituję się nad tą wyniszczoną kobietą. Ale nikt inny, tylko właśnie ona, ta kobieta o cierpiących oczach, miała motyw, aby zabić Ewę Borowską i oczekiwać śmierci swojego męża. Bo kto oprócz niej? Ten zastrachany inżynier, przyjaciel Borowskiego? Jego żona? Oboje tej dziewczyny nie znali, widzieli ją po raz drugi w życiu, pierwszy raz na ślubie Borowskiego, drugi raz — wczoraj. Borowski otrul swoją żonę i zamierzał popełnić efektowne samobójstwo przy świadkach? Bzdura. W ogóle niepotrzebnie czepiam się tego faceta. Co mnie obchodzi, że gromadzi książki, których nie czyta? Że kiwa głową przy Askenazym, chociaż nie ma pojęcia, kto to jest Askenazy i co napisał o księciu Józefie? Co mnie obchodzi, że udaje zainteresowania historyczne, że umeblował sobie swój gabinet książkami-atrapami? Co mnie wreszcie obchodzą jego przygody miłosne, jakaś róża, jakieś karteczki? Facet w porządku, rozwiódł się, wolno mu, ożenił się z młodą dziewczyną, też mu wolno. Jest pedantem, czy to grzech? Czy z rozpaczyny musiał koniecznie się potargać? Te moje obiekcje są śmieszne. Niech się i Borowską, i Borowskim, i resztą zajmuje Żabicki. Borowską bronić będzie adwokat i to on musi znaleźć motyw, które ją usprawiedliwią. Co mnie obchodzi, czy jest chora psychicznie, czy cierpiąca. Ja oskarżam. Zginęła młoda dziewczyna, miał zginąć jeszcze jeden człowiek, zbrodnia została dokonana, zaś zbrodniarz musi zostać ukarany. Zaklął. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta. Jak ostatni szczeniak — pomyślał ze złością — te moje przeczucia, uprzedzenia. Zawsze mam jakieś idiotyczne wątpliwości. Powinienem otworzyć gabinet: Andrzej Dolecki, przepowiednie i horoskopy, metoda supernowoczesna, przepowiadam z dna oka. Serce zakłuło. Stwierdził, że musi rzucić palenie. I natychmiast zapragnął smaku papierosa. Rozejrzał się, szukając kiosku. Zawahał się chwilę, gdy nadjechał tramwaj, jednak musiał koniecznie w tej chwili zapalić.

— Do diabła z tramwajem — powiedział i poszedł do kiosku. Kupił od razu trzy paczki. Zapalił, cóż za ulga. Ale serce zakłuło ponownie, boleśnie i mocno.

Głupstwo — pomyślał. — Zawał w moim wieku? Za bardzo się przejmuję, to dlatego. Zawał mi nie grozi, wiek nie ten, i tłuścioch nie jestem. Ot, hipochondryk, jak każdy mężczyzna. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie narzekania Żabic-

kiego, który potrafił godzinami rozwodzić się na temat swoich dolegliwości. Na co on nie choruje! I na owrzodzenie dwunastnicy, i na trzustkę, i na wątrobę.

A może? — pomyślał — może jednak choruje. Całymi dniami siedzi na komendzie, od siedmiu lat nie był na urlopie. Ciągle na stołówkowym wikcie i to raz zje, a dziesięć razy nie, bo nie zdąży. Zamiast obiadu często je tylko bułkę i popija kawą. W ogóle kaw w ciągu dnia pije dziesiątki i pali mnóstwo papierosów. Może i choruje, źle wygląda, ale do lekarza nie pójdzie.

Lubił Żabickiego i kapitan odpłacał mu się sympatią. Przymykał oczy na detektywistyczne zapędy Andrzeja. Często zresztą powtarzał, że Andrzej minął się z powołaniem, bo powinien był zostać oficerem dochodzeniowym. „Marnujesz się” mówił z uśmiechem aprobaty Żabicki. „Tacy są nam potrzebni, z otwartą głową i... otwartym sercem. Nieobciążeni ruty. Szkoda, źle pokierowałeś swoim życiem”. A teraz — pomyślał Andrzej — klnie mnie w żywy kamień. Miałem być za godzinę. Przyjaciele Borowskiego też są przyjaciółmi jego byłej żony, Anny — ciągnął w myślach. — Przyjaciele? Najlepsi, tak przynajmniej twierdził Borowski. Na tę uroczystą, choć kameralną kolację, zaprosił parę swoich najlepszych przyjaciół. Zawsze prowadził dość samotny tryb życia, właściwie miał tylko jedną parę takich oddanych, wypróbowanych przyjaciół, dlatego na kolację, na której mieli poznać jego żonę, nie zaprosił innych osób.

Zastanawiające. Dlaczego wcześniej swoim najlepszym przyjaciółom nie przedstawił nowej żony? Dlaczego czekał z tą zapoznawczą kolacją tyle czasu? Smugowie wyraźnie powiedzieli, że nową żonę inżyniera Borowskiego oglądali dopiero drugi raz w życiu. Pierwszy raz przelotnie podczas ceremonii zaślubin. Testament też sporządził na dwa tygodnie przed tą kolacją. Zastanawiające. A niech tam Żabicki zawraca sobie tym głowę. Tramwaj nadjechał, a on znowu nie wszedł.

— Do diabła! — zaklął i ruszył szybko w przeciwnym kierunku. Smugowie mieszkali na ulicy Smoczej, to gdzieś w pobliżu, jakieś dziesięć minut drogi. Dzielnicę znał dobrze, więc szedł pewnie. Smocza, niewielka uliczka osiedlowa, zabudowana była czteropiętrowymi blokami. Mieszkała tu kiedyś jego sympatia z okresu studiów, kochał się w tej dziewczynie na zabój i bez powodzenia, przychodził jak Romeo pod okna i sterczał długimi godzinami.

Drzwi otworzyła mu Krystyna Smugowa. Była w tej samej co na przyjęciu kwiecistej sukience, nieco ekstrawaganckiej, z dużym dekoltem. Wyglądała staro, o wiele starszej niż wczoraj.

— Mam kilka pytań — powiedział. — Do pani. I do męża.

— Proszę.

Wszedł za nią do niewielkiego, zagraconego pokoju. Smuga siedział przy stole. Bardzo blady, napięty, miał zaczerwienione oczy. Ale przywitał Andrzeja spokojnie, zachowując się tak, jakby spodziewał się jego wizyty.

— Jest pan operatywny — powiedział.

— Dziękuję — odparł Andrzej. — Nie sądziłem, że zastanę pana w domu.

— Jestem zbyt roztrzęsiony, aby normalnie pracować. A swoją drogą pana operatywność jest bezwzględna, mógłby pan dać nam odpocząć.

— Mój zawód wymaga operatywności. Ale proszę moją wizytę potraktować jako nieoficjalną.

— Nieoficjalną, dobre sobie — parsknął Smuga — ale rozmawiać będzie pan z nami oficjalnie. W każdym razie wyciągnie pan oficjalne wnioski. Po co ta kurtuazja?

— Tadeusz... — odezwała się prosząco Smugowa. — Nie denerwuj się.

— To jest zwykła życzliwość, proszę pana, a nie kurtuazja — odparł spokojnie Andrzej. — Inaczej wezwałbym pana i pańską żonę urzędowym pismem, zawierającym ostrzegawczą klauzulę, że w razie niestawiennictwa grozi kara taka a taka. A tak sam, osobiście, przyszedłem do państwa. Zdaję sobie sprawę, że przeżyliście podczas ubiegłej nocy wiele. Być zamieszanym bezpośrednio w morderstwo to szokujące przeżycie, rozumiem. I chyba odnosiłem się w stosunku do obojga państwa podczas naszych, bardzo oficjalnych przesłuchań, życzliwie, czego wyrazem może być moja decyzja zwolnienia państwa do domu. Ale przecież i pan, i pani doskonale orientujecie się, że ten gest zwolnienia był właśnie gestem kurtuazyjnym. Bo fakt, że zatrzymaliśmy Annę Borowską wcale nie uwalnia reszty uczestników od podejrzeń. Dopóki nie zostanie skompletowany pełny materiał dowodowy przeciwko Annie Borowskiej, dopóty wszyscy, łącznie z Karolem Borowskim, nie mogą być wykluczeni z naszej listy.

— Pan nas straszy?

— Tadeusz, proszę...

— Wyjaśniam tylko. Chcę od was uzyskać odpowiedzi zgodne z prawdą. Otrzymam je, jeżeli wasz udział w tej tragicznej kolacji był rzeczywiście przypadkowy.

— Ależ, panie prokuratorze, zapewniam pana, był tylko i wyłącznie dziełem przypadku — szybko powiedziała Smugowa. — Od dnia ślubu Karola nie utrzymywaliśmy z nim żadnych kontaktów towarzyskich, wczoraj nagle zaprosił nas na kolację. Poszliśmy i to wszystko. Jego żonę widzieliśmy drugi raz w życiu.

— Właśnie — wtrącił Smuga — widzieliśmy ją poprzednio podczas uroczystości zaślubin. Przelotnie, pan wie, jak to jest na takich uroczystościach, wszyscy się tłoczą, składają życzenia. Nawet nie pamiętałem, jak wygląda, nie zamieniłem z nią jednego zdania.

— Dziwne — powiedział Andrzej.

— Co jest dziwne? — nasrożył się Smuga.

— Dziwne, ponieważ pan Borowski podkreślał z naciskiem, że jesteście państwo jego jedynymi i najserdeczniejszymi przyjaciółmi. I pan, panie inżynierze, określał swoją znajomość z Borowskim jako trwałą przyjaźń. I pani także. Tymczasem najserdeczniejsi przyjaciele biorą konwencjonalny udział w tak ważnej uroczystości, jaką jest ślub ich najserdeczniejszego przyjaciela. Ich najserdeczniejszy przyjaciel nie uważa za wskazane zaprosić na przyjęcie weselne, a wiem, że pan Borowski takie wyprawiał. Czy to nie może wydawać się zastanawiające?

Milczeli. I Smugowa, i Smuga.

— Coś mi się tu nie zgadza z tą waszą serdeczną przyjaźnią.

— Niech więc pan pyta o nią Borowskiego! — wybuchnął Smuga.

— Tadeusz, proszę cię... Mój mąż, panie prokuratorze, poznał Karola podczas studiów.

- Podczas studiów poznaje się dziesiątki najprzeróżniej-szych osób.
- Ale mój mąż właśnie wtedy zaprzyjaźnił się z Karolem. I ta przyjaźń przetrwała do dzisiejszych czasów. Razem pra-cowali przez wiele lat w instytucie. Ostatnio rzeczywiście przestaliśmy bywać u siebie. Ale ostatecznie przyjaźń polega na czymś innym niż na towarzyskich kontaktach.
- A na czym, proszę pani?
- Na lojalności. Na wzajemnym zaufaniu — odpowiedziała z wysiłkiem Smugowa. — Na wzajemnym pomaganiu sobie...
Smuga roześmiał się.
- Dlaczego pan się śmieje? — spytał Andrzej. — Rozśmie-szyła pana taka interpretacja przyjaźni?
- Tadeusz, proszę... — odezwała się błagalnie Smugowa.
- Dobrze, dobrze, przecież nic nie mówię. Wspaniale okre-śliłaś naszą wzajemną przyjaźń, kochanie. Cudownie. Lepiej nie można. Tak, Borowski był, szanowny panie prokuratorze, wyjątkowym okazem przyjaciela.
- Tadeusz!
- Pan go nie lubi, prawda? — zapytał Andrzej.
- O Boże, czy musiałeś, Tadeusz? — Smugowej drżały usta. Nagle przybladła i zgarbiła się.
- Nie lubię! — wypalił Smuga. — Ale to moja osobista sprawa.
- W porządku. Widzę, że ten temat pana szczególnie drażni — zauważył Andrzej. — Przejdźmy więc do następnego. Proszę państwa, Ewę Borowską otruto morfiną. To już ustaliliśmy. Znaleźliśmy też na barku odprysk szkła. Ustalili-śmy jego pochodzenie. To odprysk szkła z ampułki, zawiera-jącej morfinę, natomiast nie znaleźliśmy resztek ampułki.
- To dlatego nas rewidowano? W życiu nie przeżyłem cze-goś równie upokarzającego! — wybuchnął Smuga.
- Rewizja była koniecznością. Państwo zeznawaliście zgodnie, że Anna Borowska ani razu, ani na chwilę nie opu-ściła jadalni. Że w ogóle nie ruszyła się od stołu, poza momen-tem, kiedy przyrządzała przy barku koktajl. Nie miała więc okazji zniszczyć ampułki, którą, rozumując logicznie, powin-niśmy byli odnaleźć albo na terenie jadalni, albo przy którymś z uczestników kolacji.
- Tak — powiedział po chwili namysłu Smuga — rozu-miem, do czego pan zmierza. I słusznie. To prawidłowe rozu-mowanie: sprawca zbrodni musiał pozbyć się ampułki poza terenem jadalni, skoro ani w jadalni, ani przy nikim z nas jej nie znaleziono. Anna Borowska jadalni nie opuszczała, więc...? Ale ja też nie wychodziłem! Ani moja żona! Nie damy się zrobić!
- Nie zamierzam was wrabiać. Ustalam fakty. Pani, na Przykład wychodziła...
- Tak, ale na początku kolacji. Wtedy właśnie przyszła Anna — odpowiedziała Smugowa. — Wyszłam z jadalni po papierosy, słyszałam podniesiony, okropnie zdenerwowany głos Karola. Tłumaczył coś Annie, ale jej głosu nie słyszałam, natomiast nie rozumiałam, co mówi Karol. Ale, panie proku-ratorze — Krystyna spojrzała na Andrzeja załzawionymi oczami — choć miałoby mnie to w jakimś sensie obciążyć, będę powtarzać, bo tak było, że Anna nie wychodziła z jadal-ni. Ani na chwilę. To dość kusząca propozycja, kusząca moż-liwość powiedzieć:

„wychodziła”, dodać jeszcze asekuracyjnie „może, nie pamiętam na pewno”, kusząca, aleja z niej nie skończystam. Nie znam powodów, dla których Anna posunęła się do takiego czynu, ale nie ja ją będę sądzić. W każdym razie, jeżeli pan chce usłyszeć prawdę, to powtarzam: Anna nie wychodziła z jadalni.

— Pan to potwierdza?

— Siedziałem obok Anny przy stole — powiedział Smuga. — Nie wychodziła. Ona — dodał agresywnie — tej ampułki, której tak szukacie, z całą pewnością nie zniszczyła. Byłbym zauważył. Zresztą sam pan powiedział, że jeszcze nie wiecie na pewno, czy to ona otruła panią Borowską. Sprawcą jest ten, kto wychodził z jadalni. A mój przyjaciel, Karol Borowski, wychodził kilkakrotnie.

— Tadeusz! — krzyknęła Smugowa.

— Słucham pana, to interesujące.

— A tak! Kręcił się stale. To do telefonu, to zobaczyć co się dzieje z Ewą. I też zachowywał się od początku idiotycznie, dziwnie. Moim zdaniem, podejrzenie. Chce pan usłyszeć prawdę, prokuratorze? Więc ją panu wyłuszczę: to zaproszenie na kolację było co najmniej zastanawiające. Od pięciu lat moje przyjacielskie związki z Borowskim niesłuchanie osłabły. Przyjaźń skończyła się przed pięciu laty. Tak, i przez te pięć lat moje kontakty z Borowskim ograniczały się do terenu instytutu. Tam go widywałem, niestety codziennie. I codziennie musiałem patrzeć na jego nieskazitelną gębę! Był moim bezpośrednim szefem. Taki kontakt. Kiedy pan dyrektor do spraw naukowych musiał podać się do dymisji, bo wreszcie ujawniła się cała jego niekompetencja, całe jego ograniczenie, nieudolność, wszelki mój kontakt z nim ustał. Dzięki Bogu, nie musiałem na niego więcej patrzeć. I nagle to zaproszenie. Jak za dawnych dobrych czasów. Powód zaproszenia: odnowienie starej przyjaźni, poznanie nowej, wspaniałej pani Borowskiej...

— Tadeusz!

— Proszę nie przerywać! — skarcił Smugową Andrzej.

— Mniejsza o tę dziewczynę. Zresztą nie taką już najmłodszą i wcale nie takiej pierwszej świeżości...

— Tadeusz!

— Na tobie też zrobiła wrażenie bardzo niekorzystne. Ordynarna, nietaktowna, zachłanna, cyniczna, jednym słowem okropna — wybuchnął zapalczywie Smuga. — I dobrze mu tak. On, z tą swoją erotyczną obsesją na punkcie kobiet niepokalanych, nieważne zresztą. Sądzę, że ta biedna Anna zważowała, bo była dręczona przez męża. Rozpiła się też przez niego. Mniejsza o Annę, ale to zaproszenie, przyznaję, zważyło mnie z nóg. Nie chciałem tam iść. Moja żona jednak się uparła. Więc poszliśmy. I proszę sobie wyobrazić to powitanie, jakie zgotował nam na wstępie Borowski. Zachował się jak ostatni cham, nazwał mnie bałwanem, a wszystko dlatego, że ośmieliłem się z jego paskudnego ogrodu zerwać różę...

— Chwileczkę — przerwał Andrzej — chwileczkę. Co Borowskiego tak zdenerwowało?

— Zaraz to panu opowiem...

— Nie, chcę, żeby mi to pani opowiedziała — zwrócił się do Smugowej.

— Dlaczego ja? — przestraszyła się.

— Słucham panią. Proszę mówić.

— Kiedy ja nie widziałam, jak mąż zerwał tę różę. Tam jest ścieżka tak mocno zarośnięta krzewami, że mąż został w tyle, ja szłam pierwsza, Karol czekał na tarasie, przywitaliśmy się i właśnie podszedł mój mąż. Trzymał w ręku różę, a kiedy się zbliżył, Karol wyrwał mu ją...

— Nie tak! — wtrącił Smuga. — Najpierw Borowski spoj-rzał na mnie, jakbym był upiorem. Twarz mu się zmieniła, za-uważyłem, że zbladł, pewno z tej złości, że niszczę mu jego ukochane krzewy różane. Potem zamiast powiedzieć mi do-bry wieczór, zapytał: „Co to ma znaczyć, u diabła?”. Musi pan przyznać, że to dość szczególna forma powitania. A potem wyrwał mi ten badyl z ręki, aż — Smuga wyciągnął dłoń — widzi pan, mam ślady krwawe po pazurkach tej róży, chociaż nie była dzika, ale jakaś cholernie szlachetna odmiana z cho-lernie ostrymi kolcami. A potem nazwał mnie jeszcze bałwa-nem, tylko z tego powodu, że ośmieliłem się coś zerwać z jego ogrodu. Zawsze miał piekielne poczucie własności.

— Myślę, że Karol nie czuł się najlepiej — odezwała się Krystyna.

— Pani go broni?

— Staram się usprawiedliwić jego zachowanie. To czło-wiek o nieskazitelnych manierach, układny, dżentelmeński, więc musiał mieć szczególne powody, aby zapomnieć o uprzej-mości. Sądzę, że był bardzo zdenerwowany z powodu swojej żony. Może się pokłócili tuż przed naszym przyjściem? Może obawiał się, że zachowa się niestosownie, zrobi niekorzystne wrażenie, a przecież na pewno mu zależało, żeby jego nowa żona nam się spodobała.

— A spodobała się?

— Ona nie żyje, proszę pana. Nie znałam jej. Drugi raz ją widziałam. Na ślubie wydawała mi się inna — Krystyna zawa-hała się, potem dokończyła z determinacją.

— Myślałam, że Karol będzie po prostu szczęśliwy, zasługiwał po tylu przeży-ciach z Anną na odrobinę szczęścia, spokoju, ciepła. Jego nowa żona, chociaż tyle od niego młodsza, wyglądała na ci-chę, skromną i sympatyczną dziewczynę o ujmującym sposo-bie bycia.

— A podczas przyjęcia zrobiła wrażenie akurat odwrotne?

— Ona nie żyje — powtórzyła Krystyna. — Ale rzeczywi-ście, nie była zbyt miła.

— Była okropna! — powiedział zapalczywie Smuga. — A Borowski dwoił się i troił, aby tuszować jej wszystkie wy-bryki. I wcale nie patrzył na swoją młodą żonę wzrokiem mi-łosnym. Dobrze to zaobserwowałem. I ona nie wyglądała na zakochaną. Cwana dziewczyna, mierzyła wysoko...

— Tadeusz!

— Też miałaś jej dosyć! Przecież chciałaś wyjść, nawet się z nią pokłóciłaś! Ja panu coś powiem, panie prokuratorze, mnie się wydaje, że memu przyjacielowi jego namiętna miłość już zdążyła wywietrzeć. I powiem panu więcej, podczas kola-cji mój przyjaciel zachował się też dziwacznie. Ganił na przy-kład Ewę, że pije zbyt wiele, a ciągle jej dolewał alkoholu. Nikt z nas nie miał specjalnej ochoty na trunki. Borowski również nie pił, ale Ewie dolewał. Upiła się przed czasem, biedaczka. I kolejna ciekawostka — przypisywał mojej żonie talenty, któ-rych ona nigdy nie posiadała. Borowski, on, który ma tak świetną pamięć, zapomniał, że to jego pierwsza żona, Anna, jest specjalistką od koktajli. Nie wiem, jak można było o tym

zapomnieć. Kiedy jeszcze przyjaźniliśmy się prawdziwie, kiedy bywaliśmy u siebie bardzo często, Anna ten koktajl przyrządzała setki razy. Nazwaliśmy nawet ten koktajl jej imieniem. A on zapomniał! Pomylił się!

— Więc to Borowski pierwszy zaczął mówić o koktajlu?

— Niby żartem rzucił uwagę, że kochał się kiedyś w mojej żonie z powodu jej wspaniałej umiejętności przyrządzania koktajli. Tak się zrodził ten niefortunny, okropny pomysł, żeby Anna przyrządziła koktajl. I coś panu jeszcze powiem, może to bez znaczenia, ale powiem: ta dziewczyna, którą rzekomo otruła Anna, upiła się w pestkę. Zrobiło się jej niedobrze, dlatego poszła do łazienki. Siedziała tam długo, nim Borowski wreszcie zainteresował się jej stanem i poszedł zobaczyć, co się z nią dzieje. I bardzo długo nie wracał. Czyżby kontemlował zwłoki swojej ukochanej żony w łazience tyle czasu? Siedział tam dobre dziesięć minut, może dłużej.

Dlaczego, zobaczysz, że z Ewą stało się coś złego, nie dzwonił po pogotowie?

— Tadeusz, na litość boską... Zapadło milczenie. Smuga dyszał ciężko.

— To właściwie wszystko — powiedział wreszcie.

— Bardzo go pan nienawidzi — odezwał się Andrzej.

— Nienawidzi! Dlaczego zaraz: nienawidzi?

— Lepiej by było, gdybyś milczał — powiedziała cicho Smugowa.

— Nie znam powodów pańskiej nienawiści. I nie mnie tę nienawiść i pana sądzić — odezwał się Andrzej. — Przynajmniej na razie. Powiedział mi pan wiele, bardzo wiele przeciwko Borowskiemu. Tylko, proszę pana, jest jeden szkopuł, obalający pańskie insynuacje. Otóż podczas tej wczorajszej kolacji Karol Borowski miał również umrzeć.

— Nie! — zaprotestowała Smugowa.

— Miał umrzeć. Nieodwołalnie, natychmiastowo. Miał być otruty cyjankiem, który znaleźliśmy w jego koktajlu. Na szczęście nie zdążył go wypić. Jest pan inteligentnym człowiekiem, inżynierze, i potrafi wyciągnąć pan z tego faktu odpowiednie wnioski.

Podniósł się. Smugowie siedzieli nieporuszeni.

— Ale zanim odejdę, jeszcze jedno chciałbym wiedzieć. Proszę pani... — pochylił się nad Smugową, dotknął jej ramienia. — To bardzo ważne. Niech sobie pani przypomni dokładnie tę scenę: oto Karol Borowski wnosi do jadalni martwą żonę. Układa ją w fotelu. Słychać brzęk tłuczonego szkła i tu podrywa się Anna, podbiega do zmarłej, dotyka niedowierzająco, jakby w zdumieniu, jej dłoni. Czy pani to widzi? Tak pani dzisiejszej nocy podczas przesłuchania opisywała tę scenę. Powiedziała pani, że Anna Borowska dotknęła ręki Ewy, tak jak ja w tej chwili dotykam pani ręki. Dotknęła jej czoła, ust, i powiedziała: „To ona została otruta?”. Proszę powiedzieć to zdanie tak, jakby była pani Anną Borowską. Proszę. Czy pani mnie słyszy? — dotknął znowu ramienia Smugowej. Poruszyła się. Przymknęła oczy.

— Nie żyje — usłyszał. Czekał na ciąg dalszy w napięciu. — Nie żyje — powtórzyła. — To ona została otruta? — zapytała, otworzyła oczy, spojrzała na Andrzeja i wybuchnęła płaczem.

Smuga siedział nieporuszony za stołem. Jego twarz miała kolor popiołu.

Wyszedł cicho, prawie na palcach. Jeszcze z przedpokoju słyszał płacz Smugowej. Na schodach zakłuło go serce i pomyślał, że mimo swoich trzydziestu czterech lat może skończyć na zawał serca. Wszedł do pierwszego lepszego sklepu, okazał legitymację i kazał za-prowadzić się do telefonu. Uzyskał połączenie z komendą. Wściekły Żabicki wymyślał mu długo. Andrzej nie przerywał, czekał, aż ten skończy połajankę i powiedział:

— Stefan. Czekam na Smoczej przy sklepie drogeryjnym. Bądź zaraz. I odłożył słuchawkę.

Nie minęło pięć minut, a milicyjny fiat hamował tuż przy krawężniku, wzbudzając oczywiście zainteresowanie prze-chodniów. Żabicki otworzył drzwiczki.

— Siadaj! — syknął. Był zły, naprawdę zły. Andrzej wszedł posłusznie, ściągając na siebie współczujące spojrzenia. — Czy ty oszalałeś — zaczął Żabicki i nagle zmienił ton. — Andrzej, ty chyba naprawdę oszalałeś, jak ty wyglądasz?

— Jak? — zapytał Andrzej.

— Fatalnie — odparł Żabicki. — Co się stało? Serce?

— Nie, nie serce — odparł. — Jedźmy. Na Lipową.

— No nie — zdenerwował się Żabicki. — Co ty znowu wy-kombinowałeś?

— Jedźmy — ponaglił Andrzej. Na ulicy już zbierał się tłumek, oglądający z zainteresowaniem milicyjny wóz i siedzą-cych w nim pasażerów, z których jeden był w mundurze kapi-tana, a drugi w cywilnym ubraniu.

Żabicki ze zgrzytem wrzucił bieg, ruszył gwałtownie.

— Nie złość się — powiedział Andrzej. — Jestem zmęczo-ny-

— Może mi jednak raczysz wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć? — zapytał Żabicki, obrzucając Andrzeja złym spoj-rzeniem. Był impulsywny, łatwo wpadał w złość i również szybko ta złość mu mijała. — Za jakie grzechy, powiedz, cier-pię przez ciebie? Za jakie? Dlaczego gnasz mnie na Lipową do Borowskiego? Daj i mnie, i temu facetowi trochę odpocząć. Biedny idiota! — westchnął kapitan. — No, powiedz, co sobie taki stary dureń wyobraża, kiedy żeni się z młodą dziewczyną? Spodziewa się uczucia, miłości? Trzydzieści lat różnicy, przecież to śmieszne wierzyć przy takiej różnicy wieku w bez-interesowność uczuć... Zwłaszcza że ta młoda pani Borowska była zwykłą kurewką — dodał po chwili. — Nieźle się naciął Borowski, biedaczysko. Sentymentalny głupiec.

— Notowana?

— Na Wybrzeżu. To jej region. Działała w sezonie letnim, specjalizując się w podrywaniu na niewinność właśnie takich starszych frajerów jak Borowski. Dostaliśmy jej akta, raz sie-działa za okradzenie swojego opiekuna. Wtedy nie miała far-tu, facet nie był żonaty i nie zależało mu na dyskrecji. Nie obawiał się kompromitacji i nie dał się nabrać na niewinność, płacił po prostu za usługi. Widocznie panienka uznała wyna-grodzenie za niewystarczające, bo obrobiła go na pożegnanie, zabrała mu portfel, zegarek i sygnet. Przypuszczam, że wielu musiała w ten sposób żegnać, ale ci starsi, nobliwi panowie, spędzający urlop nad polskim morzem, woleli pogodzić się ze stratą materialną niż narażać na szwank swoją opinię.

Wyobrażasz więc sobie, jaka to była dla tej panienki niebywała gratka: Karol Borowski! Spadł jej jak manna z nieba, z forszą i beznadziejnie głupi, zakochany, skłonny do małżeństwa.

— Dwa tygodnie temu zapisał jej połowę majątku.

— O! — powiedział Żabicki — nie marnowałeś czasu. Cwa-na babeczka. Połowa majątku? Niezła forsa. Sama willa warta ponad milion. Zastanawiałem się, Andrzej, czy to nie ta pa-nienka, której może znudziło się granie komedii, postanowiła zabawić się w Parę i przeciąć nić żywota swojego nader hoj-nego męża? Taki zapis mógł podziałać mobilizująco.

— A nie pomyślałeś, Stefan, że Karol Borowski też miał motyw, żeby pozbyć się swojej żony? Cynicznie oszukany i wy-drwiony. A jeżeli dowiedział się o jej profesji?

— To po co ofiarowywałby jej połowę majątku?

— Może jeszcze wówczas nie wiedział, czym trudni się jego żona, a może zapis był jedynie wybiegiem taktycznym. Zasta-nawia mnie, na przykład, dlaczego Borowski tak długo zwleka! z testamentem? A wiesz komu zapisał drugą połowę majątku? Byłej żonie, Annie. Ta hojność Borowskiego na dwa tygodnie przed wczorajszymi wypadkami wydaje mi się mocno podej-rzana. Pozostał z niej czczy gest: jedna obdarowana nie żyje, a druga też odpada jako sprawczyni zbrodni i majątek dalej w całości należy do ofiarodawcy... — umilkł, bo fiat wjechał w Lipową.

Za chwilę — pomyśl! — za chwilę będę wiedział...

— No, i co teraz? — zapytał Żabicki, przystając przed willą Borowskiego.

— Chodźmy.

Róże pachniały intensywnie, oszałamiająco.

— Ty chyba oszalałeś — zaczął Żabicki — a ja słucham wa-riata. Nie gnaj tak. Przynajmniej powiedz, o co chodzi?

— Masz milczeć. Masz się tylko bacznie przyglądać. Przy-glądać, rozumiesz?

— Komu? Borowskiemu? — zasapał zbuntowany Żabicki. Zaklął. — Przeklęte róże! Żeby nie było tu porządnej ścieżki!

— Proszę cię, tylko się przyglądaj.

Borowski wyszedł do holu. Andrzej aż przystanął, uderzo-ny zmianami, jakie dokonały się w przeciągu tych paru go-dzin w wyglądzie i twarzy Borowskiego. Z przystojnego, do-brze trzymającego się mężczyzny, zmienił się w przygarbio-nego starca. Jego twarz stała się szara, zmięta, oczy zapadłe, sylwetka utraciła sprężystość. Nawet marynarkę miał krzywo zapiętą, a włosy potargane. On taki skrupulant, taki pedant.

— Panowie — wymamrotał — ja... ja chyba w tej chwili nie będę mógł panom służyć.

Żabicki posłał Andrzejowi wymowne, potępiające spojrze-nie.

— Niestety, proszę pana — odparł oschle Andrzej — pana obecność jest konieczna. Kapitanie — zwrócił się oficjalnie do Żabickiego — chciałbym wejść do jadalni. Proszę zerwać plomby.

— Jak pan sobie życzy, prokuratorze — z lekką ironią po-wiedział Żabicki. W jadalni panował zaduch, Żabicki szybko otworzył okna, przystanął w jednym,

głęboko czerpiąc świeże, pachnące różami powietrze.

Stół! — pomyślał Andrzej. — Tak jak przypuszczałem! Nie pomyliłem się! Jak mogliśmy nie zauważyć od razu?

— Siadajmy — zadysponował. Zapalił papierosa, napięcie minęło, był pewien swoich racji. Barek obficie zaopatrzone w alkohole, ale stały tu wyłącznie wódki, natomiast butelka włoskiego wina aleatico dziwnie odbijała od gatunków alkoholowych, jakby znalazła się tutaj przypadkowo zaplątana. Anna Borowska nie musiała szukać wina, potrzebnego do koktajlu. Andrzej był przekonany, że to wino właśnie stanowi podstawę koktajlu, jest jego głównym składnikiem. Anna znalazła więc na barku wszystko dokładnie przygotowane.

„Stała odwrócona do nas plecami i szybko mieszała trunki”, zabrzmiały słowa Smugowej. „Prosiła Karola o pomoc, ponieważ shaker był ciężki...”. Dżentelmen w każdym calu, Karol Borowski, oczywiście pomógł, nawet tacę ze szklaneczkami do koktajlu brał z rąk Anny.

Pamiętał, że było pięć kryształowych szklaneczek. Cztery nietknięte, wypełnione jasnym — w kolorze reńskiego wina — koktajlem: natomiast piąta — pusta. Shaker stał pośrodku dużego, szerokiego stołu.

Pięć — pomyślał. — Pięć szklaneczek, tyle szklaneczek ile osób, chociaż piąta, Anna, przyszła niezapowiedziana. A gdzie jest szósta szklaneczka? Może w tym pseudogdańskim kredensie?

Zajrzał do kredensu. Na półkach panował bałagan, naczynia poprzestawiane, czyli w kredensie również szukano ampułki. Ale mimo nieporządku na półkach obowiązywał pewien wyraźny system, a mianowicie komplety do kawy miały swoje miejsce na górnej półce, na środkowych serwisy obiadowe, natomiast kryształowe naczynia stały na ostatniej, najniższej półce.

— Gdzie państwo kupiliście ten komplet do koktajlu? — spytał. Borowski nie odpowiedział. Siedział w fotelu, ale wydawać się mogło, że tylko ciałem jest tutaj obecny.

— Proszę pana — powiedział ostro. Borowski spojrzał apatycznie.

— Ten komplet? Żona kupiła w Desie.

— Która żona?

— Anna.

— Kiedy?

— Nie pamiętam. Dawno. Wiele lat temu.

— I gdzie ten komplet stał w kredensie?

— Tam, gdzie wszystkie kryształy, na ostatniej półce. Teraz tam na pewno jest wielki nieporządek, niczego się nie znajdzie.

— Owszem, znajdzie się — odparł Andrzej. Wyjął szóstą szklaneczkę, podniósł do góry, pokazując obecnym. — Proszę, oto szósta szklaneczka od koktajlu. Była na swoim miejscu. Czy to pana nie zastanawia?

— Nie rozumiem.

— Pan poddał pomysł, aby Anna przyrządziła koktajl?

— Nie wiem. Nie pamiętam. Może ja. I co w tym złego?

— Być może nic. Ale to nie Anna narzuciła się z propozycją przyrządzenia koktajlu?

- Jednak nie oponowała! Czemu pan mnie dręczy?
- Dobrze, nie oponowała. I podeszła do barku, żeby ten koktajl przyrządzić.
- Na ogólne życzenie — powiedział Borowski.
- Dobrze, na ogólne życzenie — zgodził się Andrzej. — Więc proszę sobie przypomnieć, podeszła do barku. I co działo się dalej?
- Po prostu przyrządziła ten przeklęty koktajl! — wybuchnął Borowski.
- Świetnie. Przyrządziła. Ale w czym mieszała trunki?
- Jak to w czym? W shakerze, który zabraliście do analiży!
- Zgadza się — powiedział wolno Andrzej. — Więc początkowo shaker stał tu, na barku? A nie między kryształami, na dolnej półce w kredensie?
- Stał, i co z tego wynika? Barek jest też doskonałym miejscem do przechowywania rozmaitych, potrzebnych do przyjęcia naczyń.
- Więc szklaneczki też stały na barku
- Panie kapitanie! — Borowski zwrócił się o pomoc do Żabickiego.
- Proszę odpowiadać — rzucił cicho Żabicki. Twarz miał poważną, czujną. Skinął głową z aprobatą. — To bardzo interesujące, prokuratorze.
- Owszem, stały na barku. Tego dnia robiłem akurat porządek w kredensie, myłem wszystkie kryształy, moja żona bowiem była uroczą istotą, ale nie dość porządną.
- A po co pan zatrudnia gosposię? — zapytał Andrzej.
- To zbyt cenne przedmioty, aby powierzyć je gosposi!
- Rozumiem — powiedział spokojnie Andrzej. — I przez zwykłe roztargnienie zostawił pan na barku właśnie shaker do mieszania koktajli oraz pięć szklaneczek? A szóstą przez zwykłe roztargnienie odstawił na dno kredensu?
- Niech mi pan da wreszcie spokój i przestanie czepiać się drobiazgów.
- Jeszcze jeden drobiazg mnie interesuje, a mianowicie skład koktajlu, po prostu jego receptura.
- Nie znam recepty, to domena Anny! Ona lubiła sobie wypić. Pociągała zdrowo. Proszę zapytać o to choćby moich przyjaciół, świadków wczorajszej tragedii, Smugów. Albo kogoś z instytutu. Ja wolę się nie wypowiadać na ten temat.
- I słusznie, ponieważ nie pytałem pana o skłonności pijackie pańskiej żony, ale o recepturę koktajlu.
- Nie znam.
- Andrzej znowu podszedł do barku.
- Ma pan bogato zaopatrzone barek. Zauważyłem jednak, że wina trzyma pan oddzielnie. W tamtym drugim pokoju z kominkiem ma pan podręczny barek z winami.
- W ogóle wina trzymam w piwnicy. Jak wiadomo, wina muszą leżakować w odpowiedniej temperaturze — rzucił ze złością Borowski.
- Cóż, pan jest koneserem, ja tylko laikiem — uśmiechnął się Andrzej — ale nawet jako laik wiem, że koktajl zawierał oprócz innych alkoholi, również i wino.
- Powiedziałem, że nie znam receptury koktajlu. Możecie sobie skład odtworzyć w waszym laboratorium.
- Już to zrobiliśmy — wtrącił Żabicki — i prokurator ma rację, bowiem podstawowym składnikiem koktajlu było oryginalne słodkie wino włoskie aleatico,

obecnie niedostępne w handlu.

— Mam zapas tego wina w piwnicy.

— Czy pańska była żona Anna schodziła w trakcie kolacji do piwnicy po to wino, czy też po prostu znalazła je na barku?

— Czy to naprawdę takie istotne, gdzie stało to przekłete wino? Tu czy tam? Mam zwyczaj pić wino do posiłków. Wiadocznie wczoraj do obiadu piłem właśnie aleatico i butelka tego wina została na barku.

— A co pan jadł wczoraj na obiad?

— Nie pamiętam.

— Spytamy gosposię.

— Nie, wczoraj nie piłem tego wina. Może przedwczoraj, a może tydzień temu. Skąd mogę wiedzieć, dlaczego butelka płała się tutaj na barku? Może Ewa ją przyniosła, już mówiłem, w przeciwieństwie do mnie nie należała do porządnych, wszędzie rozrzucała swoje rzeczy. Ja z kolei jestem pedantem.

— Zdążyłem to zauważyć — powiedział Andrzej. — Tym bardziej dziwi mnie owa „zaplątana” nie na swoim miejscu butelka wina. Ale rzeczywiście potraktujmy to wszystko jako rzeczy, mało istotne, przypadkowe. I przejdźmy do ważkich spraw. Proszę spojrzeć na stół.

Żabicki poruszył się jakby niespokojnie, spojrział ze zdziwieniem na Andrzeja.

— Spokojnie, kapitanie — uśmiechnął się Andrzej. — Oto stół, przy którym zasiadło wczoraj do kolacji pięć osób. Solidny, szeroki, tradycyjny stół, który zajmuje sporo miejsca. Nie nadaje się do ciasnych mieszkań blokowych. Proszę panów do stołu, zajmijmy przy nim miejsca. Proszę pana! — ponaglił Borowskiego. — Pan siedział tu, prawda? Tu, obok pana, z lewej strony siedziała Anna Borowska, i ja zajmę to miejsce. Kapitanie, niech pan usiądzie z prawej strony inżyniera, tak, dobrze, to jest miejsce denatki. Tu siedziała po pana prawej ręce, panie Borowski, czyli naprzeciwko Anny Borowskiej. Ewę od Anny rozdzielał ten cały duży, wygodny, szeroki stół. A więc panowie, chyba wszystko jest jasne.

— Przeciwnie! — zawołał zdenerwowany Borowski. — Niczego nie rozumiem z tej demonstracji.

— Naprawdę? Nie rozumie pan? Więc proszę spojrzeć na mnie. Jestem mężczyzną słusznego wzrostu, mam metr osiemdziesiąt pięć i złodziejskie, długie ręce. Proszę spojrzeć — Andrzej przechylił się przez stół w kierunku Borowskiego — a jednak, widzi pan, tymi swoimi złodziejskimi rękami nie sięgam pańskiego nakrycia. Czy teraz pan rozumie?

Borowski wzruszył ramionami.

— Niestety, to zbyt trudne dla mnie — powiedział ironicznie.

— Postaram się więc wytłumaczyć jaśniej. Otóż przed chwilą udowodniłem panu, że Anna Borowska z tego miejsca nie mogła wlać morfiny do koktajlu pańskiej żony. Ten stół, proszę pana, na to jej nie pozwolił. Jest zbyt szeroki. Usadził pan swoją byłą żonę w niewłaściwym miejscu, panie inżynierze.

— Sama tam usiadła. Ja jej miejsca nie wybierałem! — zaproponował gwałtownie Borowski.

— Oczywiście, oczywiście — Andrzej zmienił ton na uspokajający, niemal

przyjacielski. — Niech się pan tak bardzo nie denerwuje, panie inżynierze.
— Zachowuje się pan jednak tak, jakby mnie... mnie pan właściwie podejrzewał o dokonanie tej ohydnej zbrodni na młodej niewinnej dziewczynie, na mojej żonie, która była dla mnie całym światem! — wykrzyknął Borowski z emfazą.
— Och, proszę pana! — uśmiechnął się Andrzej. — Bardzo mi przykro, to była tylko mała wizja lokalna, nic więcej. Zresztą, nie możemy pana podejrzewać. Prawda, kapitanie? Nie możemy, ponieważ podczas tej kolacji pan też miał umrzeć.
— Co takiego?!

— Tak miał pan zginąć śmiercią gwałtowną, natychmiastową. Żadnej szansy. W pana koktajlu znaleźliśmy cyjanek potasu. *

— Boże... — szepnął Borowski. Opadł na fotel. Ścisnął głowę.

ROZDZIAŁ, PIĄTY

— Dlaczego skręcasz w Sprawiedliwą? — oburzył się Andrzej. — Jadę do ciebie.
— Jedziesz do siebie — odparł niewzruszenie Żabicki. — Wykąpiesz się, zjesz obiad, odpoczniesz. Potrzebny mi żywy prokurator, a nie zawałowiec.
— Czuję się świetnie.
— Świetnie! — parsknął Żabicki — tylko co chwila łapiasz się za serce.
— To z przemęczenia.
— Więc właśnie: odpoczniesz. Poza tym wcale nie potrzebuję ciebie w komendzie. Odwaliłeś mi dzisiaj robotę, nie swoją w dodatku, tylko za naszych oficerów dochodzeniowych, wystarczy. Zresztą, na dzisiejsze popołudnie ja przejmuję śledztwo, twoja rola skończona. Stół! Że też nie pomyślałem o tym sam, zasugerowałem się tym odpryskiem szkła, okolicznościami świadczącymi na niekorzyść Borowskiej.
— Ona jest w dalszym ciągu główną podejrzaną.
— Przecież wyraźnie wrabiasz Borowskiego.
— Ale nie mam przeciwko niemu żadnych dowodów. Poza bardzo efektownym, lecz jednocześnie kiepskim motywem. Facet oszalał z miłości, zabija więc swoją niewierną żonę i zamierza popełnić samobójstwo. Kiczowate, Stefan.
Opadł się wygodniej, przymknął oczy. Był istotnie wypompany.

Po Żabickim zmęczenia nie widać — pomyślał, chociaż tyle lat ode mnie starszy, ma lepszą kondycję. A może większą odporność psychiczną?

— Andrzej — usłyszał. Fiat stał przed kamienicą.

Zdrzemnąłem się? — pomyślał zdumiony Andrzej.

— Do wieczora postaram się skompletować dossier Borowskiego. Jak tylko skończę, zajrzę do ciebie, wracając z komendy. Ty wypocznij, bo pewno trzeba będzie zarwać kawą-łęk nocy. Aha, i nie wygadaj się przed babką, że przyjdę. Proszę! Bo znowu przygotuje strudel tyrolski z dwunastu żółtek i każe mi go wchłonąć w całości. A przy mojej wątrobie...

Andrzej roześmiał się, kiwnął ręką. Gościnność jego babki była gargantuiczna.

Rzucała się na znajomych, przyjaciół łączywie, jakby sama zamierzała ich skonsumować, i nim się kto obejrzał, już siedział za suto zastawionym stołem.

Po-tem szalała w kuchni, przygotowując specjalną potrawę na cześć przybyłego.

Ostatnio wynalazła w jakiejś starej księdze kucharskiej imponujący przepis na strudel tyrolski i namię-tnie go serwowała. Biedny Żabicki! Stała przy nim, pilnując, aby nie zostawił nawet kęseczka.

— Dobrze, zjawisz się incognito! — zawołał na pożegnanie

Andrzej.

Andrzej wszedł na klatkę schodową, ściągnął windę. Tak, wykapać się, zjeść dobry obiad, wypić mocną herbatę, odpocząć. Babka mnie zwymyśla, nawet nie uprzedziłem jej telefonicznie o spóźnieniu.

Winda zjechała z rumorem. I nieoczekiwanie dla samego siebie odwrócił się i szybko, jakby uciekając, wybiegł na roz-prażoną słońcem ulicę.

Chyba zwariowałem — myślał, idąc w kierunku postoju taksówek. Podał kierowcy adres szpitala na Dzikowce. — Chy-ba zwariowałem — myślał, płacąc za kurs.

Kierowca, wydając resztę, pokiwał współczująco głową.

— Ma pan kogoś z rodziny u czubków? — zapytał. — Panie, jak tędy przejeżdżam, to się żegnam, na wszelki wypadek.

Andrzej zauważył, że choroba psychiczna, to taka sama choroba jak inne, ale kierowca orzekł:

— E tam, panie, na wariatów nie ma lekarstwa. Wariat to wariat.

Właśnie — myślał z rozdrażnieniem Andrzej — na waria-tów nie ma lekarstwa. Oto potoczna, groźna, wciąż obowiązująca opinia. Opinia? Nie, to wyrok bez apelacji.

Taki wyrok wydała na Borowską kamienica, może nie tylko kamienica, ale także znajomi Borowskiej i jej przyjaciele. Wariatka, lepiej trzymać się od niej z daleka.

Właśnie — myślał — dlaczego Borowska nie powróciła do pracy?

Powiedział portierowi, kim jest, i zażądał widzenia z ordy-natorem. Nie było go, ale portier wpuścił Andrzeja na teren szpitala, gorliwie tłumacząc, jak odnaleźć pokój lekarski.

Mam szczęście — pomyślał Andrzej.

Okazało się, że od razu trafił na oddział, na którym prze-bywała Borowska i że młoda kobieta, doktor Zaleska, pełni-aca akurat dyżur, jest lekarzem prowadzącym Borowską rów-nież w Przychodni Zdrowia Psychicznego. Zaniepokoiła się przybyciem prokuratora.

— Co ona zrobiła? — spytała. — Samobójstwo? — dodała ciszej.

— Nie, nie samobójstwo — odparł. — Mogę zapalić?

— Proszę — przyzwoliła niecierpliwie lekarka i spytała znowu. — Co się z nią stało? No, niechże pan powie wreszcie — po-nagliła, bo przypalał papierosa długo, starając się zatuszować lekkie dygotanie dłoni. Pierwszy raz był na terenie szpitala psy-chiatrycznego. Inaczej go sobie wyobrażał, groźnie i ponuro.

Tymczasem szpital był zupełnie zwykły, po prostu jasny, czysty i przestronny, co Andrzejowi wydało się niepokojące. Mijając chorych na korytarzach, starał się na nich nie patrzeć.

To śmieszne — myślał, ale reaguję jak ostatni głupiec. Za-ciągnął się mocno, głęboko i dopiero wtedy odpowiedział py-taniem:

— Dlaczego pierwszą pani reakcją na moje przybycie była myśl, że Anna Borowska popełniła samobójstwo?

— Proszę pana — zdenerwowała się lekarka — niech mi pan powie natychmiast, co przytrafiło się mojej pacjentce? Miała wypadek?

— Dziś rano zatrzymaliśmy ją pod zarzutem otrucia pew-nej dziewczyny i próbę otrucia swojego byłego męża.

— Nonsens — powiedziała ostro lekarka.

— Dlaczego nonsens?

— Bo to po prostu niemożliwe.

— To są fakty, pani doktor.

— Dowody?

— Okoliczności świadczą przeciwko pani pacjentce.

— Okoliczności — zachnęła się lekarka — mogą być mylące.

— Nie przeczę. Mogliśmy je fałszywie zinterpretować. Nie posiadamy patentu na nieomyłność. Dlatego zjawiłem się u pani.

— W czym mogę pomóc? — spytała cicho, głęboko przejęta.

— Pani ją lubiła? — spytał z kolei Andrzej.

— Lubiłam? — westchnęła. — Nigdy dotąd nie zastanawia-łam się nad swoim emocjonalnym stosunkiem do Anny Bo-rowskiej, ale właśnie teraz... ta wiadomość od pana tak bar-dzo mnie obeszła, jakby dotyczyła kogoś bliskiego, więc chy-ba tak, chyba nie zdając sobie sprawy, przywiązałam się do swojej pacjentki.

— Wreszcie — powiedział Andrzej — spotykam kogoś, kto był przywiązany do Anny.

— A zależało panu na tym? — zdziwiła się lekarka.

— Owszem.

Popatrzyła na niego uważnie i sięgnęła po papierosa. Za-paliła.

— Niech się pan na mnie nie obrazi, ale dość dziwaczny z pana przedstawiciel prawa.

— Współczuję tej, którą najprawdopodobniej będę oskar-żał — odpowiedział szczerze.

— I to właśnie mnie zdumiewa.

— Jeżeli jest winna i potrafimy to udowodnić, wtedy będę ją oskarżał z całą bezwzględnością.

— Będę jej broniła — powiedziała lekarka.

— Wiem o tym i to mnie napawa nadzieją — odparł. — A teraz, pani doktor, proszę mi opowiedzieć o Annie Borowskiej. Oczywiście ogólnie, bez naruszania tajemnicy lekarskiej. Jestem tu niemal prywatnie.

— Trafiła do nas cztery lata temu, w ciężkim stanie psychozy depresyjnej. Wyniszczona fizycznie, nie chciała jeść, nie mogła spać. Miała silne stany lękowe, ale bez tendencji samobójczych. Stany lękowe były u niej tak silne, że towarzyszyły im objawy depersonalizacji. Sama sobie była obcą, inną. Wszystko to, co posiadało dla niej przedtem jakiegokolwiek znaczenie, straciło wszelką wartość.

— A przyczyna choroby? Lekarka rozłożyła bezradnie ręce:

— Nie wiem, proszę pana. Prawdopodobnie jakieś silne przeżycie, wstrząs.

— I nie domyśliła się pani, jaki?

— Przypuszczam, że pośrednią przyczyną choroby stał się kryzys małżeński, lecz chyba... chyba Anna przeżyła jakiś szok związany z osobą męża. Jej stany lękowe nie były irracjonalne, jak to się dość często zdarza przy psychozach, ale personalne. Ona bała się męża, obwiniała go o coś i podejrzewała. Jej lęki i urojenia dotyczyły właśnie osoby męża. W jej chorej świadomości był potworem, zabijał, unicestwiał, niszczył.

Wizyty męża wprawiały ją w stan tak silnego szoku, że musimy zabronić odwiedzin.

— Tak bardzo go nienawidziła?

— To nie była nienawiść, panie prokuratorze. To była całkowita rezygnacja. Choroba u Anna przebiegała nietypowo. Widzi pan, stany maniakalne najczęściej charakteryzują się wzmożoną pobudliwością, chory jest pełen euforii, optymizmu, podniecenia, skłonny albo do przyjaźni, albo do swady. Nie może znaleźć sobie miejsca, biega, krzyczy, śpiewa, gestykuluje, reaguje na błahe podniety, nadmiernie szybko wyprawadza z takich podniety powierzchowne wnioski, przyjmujące wartość alternatywną, myśli ma tak przyspieszone, że następuje ich splątanie. Potem euforia przechodzi w rozdrażnienie, skłonność do zatargów, w agresję, wtedy chory staje się niebezpieczny. Przeżywa bardzo często w tych stanach majaczenia, ale ostre urojenia są jednak zjawiskiem wyjątkowym, halucynacje również, najczęściej występują iluzje. Tymczasem u Anny zauważyłam całkowity brak agresji. Nie czuła nienawiści, nie wpadała w euforię, popadała natomiast w apatię, przygnębienie i rezygnację. Jej choroba przyjęła postać majaczeniową z halucynacjami i przymgleniem świadomości. Dla tego, panie prokuratorze, tak gwałtownie zaprotestowałam przeciwko waszym podejrzeniom. Na podstawie przebiegu jej choroby wykluczam u swojej pacjentki postawę czynną, agresywną. Jako lekarz stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że musieliście popełnić fatalną omyłkę. Ona nie była zdolna do żadnej inicjatywy czy działania, ani przypadkowego, ani tym bardziej konstruktywnego. Gdyby mi pan zakomunikował, że dziabnęła kogoś nożem lub siekierą, wtedy powiedziałabym, że jej choroba weszła w nowe stadium. Ale trucizna?

— Korzystała z dwóch rodzajów trucizn. Morfiny i cyjanku.

— Bzdura! — ucięła ostro lekarka. — Morfina! Cyjanek! A skąd to miała? Kupiła w kiosku? Dokonała napadu na aptekę? Okradła jakiś szpital?

— Miała ponad pół roku na to, by zdobyć te specyfiki. Wypuściliście ją ze szpitala, więc była zaleczona.

— Ale nie wyleczona, panie prokuratorze. Anna cierpiała na psychozę cyrkularną. Kiedy po pierwszej kuracji nastąpiła recydywa, znalazła się u nas w stanie wyjątkowo ciężkim. Występowały u niej tak ostre majaczenia, że obawialiśmy się o jej życie. Wyprowadziliśmy ją z tego stanu, i to był nasz wspólny, całego zespołu, sukces, ponieważ nie mieliśmy większej nadziei na poprawę. A ta nastąpiła tak wyraźnie, że wywołała nasze zdziwienie, nie spodziewaliśmy się takiej zmiany na lepsze. Zastanawialiśmy się nad przyczyną cofnięcia się psychozy. Niewątpliwie pomogło leczenie, między innymi elektrowstrząsy, które zdecydowaliśmy się zastosować. Ważną rolę odegrał też czynnik psychiczny, a więc świadomość uwolnienia się od męża, który wystąpił z propozycją rozwodu. Gdy stan zagrożenia minął, to ustąpiły halucynacje i urojenia. Anna odzyskała dobre samopoczucie, nawiązywała prawidłowy kontakt z otoczeniem, a że nigdy nie była dla otoczenia niebezpieczna... — lekarka rozłożyła ręce — wypisaliśmy ją. Czuliśmy się bardzo dobrze. Pełna nadziei, że koszmar minął zdecydowanie, na zawsze, chciała rozpocząć nowe życie, w nowych warunkach, w nowym mieszkaniu, pozbawiona lęków.

— Niech pani mówi dalej.

— Pozostawała pod moją opieką w poradni. Zjawiła się z wizytą kontrolną po dwu miesiącach. Byłam przerażona jej stanem. Wyniszczona fizycznie, z objawami urojeń.

— Dlaczego nie skierowała jej pani na leczenia zamknięte?

— To był błąd, teraz wiem — powiedziała lekarka. — Ale wtedy wydawało mi się, że warto zaryzykować. Warto, ponieważ niedawno Anna rokowała najlepsze nadzieje, tyle w niej było nieklamanej radości życia, bo była sama, wolna... Dałam jej leki psychotropowe, obniżające napięcie psychiczne, poprawiające samopoczucie. Potem przyszła raz jeszcze i chociaż wyglądała bardzo źle, zachowywała się normalnie, poprawnie. Oznajmiła, że urojenia przestały ją dręczyć, gdyż głosy definitywnie ustały...

— Jakie głosy?

— Głosy, właściwie głos męża. Słyszała go wszędzie, na ulicy, w tramwaju, w domu... Regularnie, o tej samej porze. Odzywał się z punktualnością zegarynki, trzy razy dziennie, punkt ósma rano, następnie o trzeciej po południu i o dziesiątej wieczorem. Dzwonił i nakazywał Annie, żeby popełniła samobójstwo. Namawiał ją do tego kroku, prosił, molestował.

— Powiedziała pani, że dzwonił. Uśmiechnęła się zrezygnowana.

— Powiedziałam tak, ponieważ Annie wydawało się również, że słyszy głos męża przez telefon. Jej urojenia zaczęły się właśnie od telefonów. Słyszała dzwonek, regularnie, o jednakośnych porach, podnosiła słuchawkę i słyszała głos męża ciepły, cichy, łagodny: „Idź do kuchni. Otwórz gaz, wszystkie cztery palniki. Potem wróć do pokoju. Połóż się na tapczanie. Przykryj nogi kocem. I zaśnij. Sen nie boli. Przyniesie ci ulgę”, szeptał ten głos. Potem zaczęła uciekać z domu, a głos ją gonił. Wszędzie, o tej samej porze, w tłumie ludzi, w sklepie. Typowy syndrom maniako-depresyjny. Pragnęła śmierci, ale jednocześnie się jej obawiała. A więc

przerzuciła swoje własne pragnienie na osobę, którą uznała za przyczynę swoich cierpień, swoje własne myśli wypowiedała głosem męża.

Milczał. Sięgnął po papierosa, zapalił, ręce mu drżały.

— Dlaczego pan milczy? Milczał nadal.

— Proszę pana? — spytała z niepokojem.

— Więc dlatego, gdy przyszedłem, pierwszą pani reakcją była myśl, że Anna popełniła samobójstwo? Bo te głosy? Te głosy, które pani zakwalifikowała jako urojenia?

— Te głosy były urojeniami.

— Czy Anna obawiała się ponownego zamknięcia w szpitalu?

— Oczywiście, to naturalne. Zwłaszcza, że własny krytycyzm bywa upośledzony, mocno osłabiony i nie spotyka się takich chorych, którzy uważaliby się za chorych psychicznie. Obawiała się, poświadczam. Nawet bardzo.

— Więc może ta obawa przed szpitalem skłoniła do zatajenia przed panią prawdy?

— Jakiej prawdy?

— Tej, że w dalszym ciągu słyszy głosy. Podczas pierwszej wizyty kontrolnej u pani, kiedy tak bardzo pani zaufała, opowiadając o głosach, nie traktowała ich chyba jako urojenie? Bo cechował ją osłabiony krytycyzm, prawda?

— Oczywiście. Dla niej te głosy były prawdziwe. Ona je słyszała. Walczyła z nimi. Nie chciała się im poddać. Usiłowała przekonać mnie, że są faktami sprawdzalnymi. Wie pan — dodała lekarka — mieliśmy kiedyś na oddziale chorego w stanie ciężkiej depresji maniakalno-prześladowczej. Uroił sobie, że nie ma narządów wewnętrznych, że serce mu zgniło, a wątroba uległa rozpadowi. Cierpiał autentyczne bóle, na przykład miewał ataki wątroby, chociaż akurat ten organ miał nad podziw zdrowy. Pewnego dnia udało mu się ukraść pielęgniarce pilnik do paznokci. I tym pilnikiem chory usiłował popełnić harakiri, tylko w tym celu, żeby udowodnić nam lekarzom, że on naprawdę nie ma serca, a wątroba mu się rozpada.

— A w jaki sposób Anna usiłowała pani udowodnić, że głosy są autentyczne?

— Błagała mnie, abym postarała się o magnetofon, a wtedy je nagra — odparła lekarka.

— Szkoda, że nie pożyczyła jej pani tego magnetofonu.

— Ależ panie prokuratorze! — zachnęła się lekarka.

— Rozumiem panią i nie obwiniam. Pani była przekonana, że to urojenia. Ja nie muszę.

— Pan neguje moje kompetencje zawodowe? — oburzyła się lekarka.

— Jestem głęboko przekonany, że Anna Borowska była ciężko chora psychicznie i cierpiała, zgodnie z rozpoznaniem specjalistów, na psychozę depresyjno-maniakalną. I jestem głęboko przekonany, że nie pomyliła się pani, uznając za podłoże choroby kryzys w małżeństwie i szok wywołany silnym przeżyciem, związanym konkretnie z osobą męża. I jestem głęboko przekonany, że Anna Borowska była bardzo dobrze leczona, a wszystkie decyzje zespołu lekarskiego w stosunku do niej były zasadne. Nawet ta, na mocy której Borowska opuściła szpital

przed siedmioma miesiącami. I zgadzam się z panią, że jej lęki dotyczyły osoby męża. Ze wszystkim się zgadzam, niczego nie neguję, ale wyrażam ubolewanie, że nie pożyczyła pani Annie magnetofonu. Proszę się nie obruszać, zadam teraz pani ważne pytanie. Określiła mi pani przed chwilą przyczyny powstania depresji u Borowskiej. Przeżycia, urazy osobiste, tak?

— Tak.

— A jej nałóg?

— Jaki nałóg? — zdumiała się lekarka.

— Parszywy, paskudny nałóg. Mężczyzna alkoholik wzbudza współczucie, kobieta alkoholiczka — odrazę i potępienie. Ale nie zaprzeczy pani, że na tle nadużywania alkoholu mogą powstać schorzenia psychiczne, choćby depresje?

— Słucham pana, słucham i tracę cierpliwość. Cóż pan mi tu opowiada za brednie?

— Alkoholizm sprzyja psychozom...

— Panie prokuratorze! O białych myszkach i stanach delirycznych wie nawet uczeń szkoły podstawowej! Pan kpi ze mnie? Oczywiście istnieje cały zespół schorzeń psychicznych, spowodowanych zatruciem alkoholowym czy alkoholizmem!

— Właśnie. Wie o tym nawet uczeń szkoły podstawowej. Czyli jest to dziedzina wiedzy dostępnej ogólnie. A pani przede mną zataja, że pacjentka Anna Borowska znalazła się na leczeniu psychicznym z powodu nadużywania alkoholu. Ze to alkohol był motorem choroby.

— Panie prokuratorze! — zaprotestowała lekarka. — Cóż za rewelacje mi pan opowiada!

— Czy Anna Borowska była alkoholiczka?

— Oczywiście, że nie! Któż ją tak podle oczernił?

— Opinia potoczna. Znajomi oraz mąż.

— Mąż?

— Tak. On.

— Powiedział panu, że Annę leczylimy odwykowo?

— O nie! Tego nie powiedział. Ale dał do zrozumienia, że piła. Na umór. I że bardzo cierpiał przez jej nałóg, który dokończył spustoszeń w jej psychice.

— Na litość boską, w jakim celu opowiadał takie brednie?

— Nie wiem, proszę pani. Ale to chytry przeciwnik. Nawet nie użył tego określenia: alkoholiczka. Tylko ubolewał, że zdarzyło się Annie nadużywać alkoholu. Czy tutaj, w szpitalu, również sugerował lekarzom nadużywanie alkoholu?

— Nie, panie prokuratorze. Nigdy. Ani wprost, ani pośrednio.

— Tak przypuszczałem — powiedział Andrzej.

*

Szkoła była wyciszona i bez młodzieży. Szedł długim, ciemnym korytarzem, słyszał własne kroki. Korytarz lśnił czystością.

Jak woźnym udaje się utrzymać parkiet w tak doskonałej czystości? Posadzka niczym w sali balowej. Na ścianach wisi długi rząd dyplomów. To jest na pewno dobra

szkoła, z osiągnięciami — pomyślał. — Wyniki sportowe pierwszorzędne, wyniki w zbiorce makulatury pierwszorzędne, w współzawodnictwie międzyszkolnym, w pracach społecznych... Pierwszorzędna szkoła z pierwszorzędnymi osiągnięciami i z pierwszorzędnie lśniącym parkietem.

— Ale sekretariat jest na pierwszym piętrze — poinformowała Andrzeja woźna, którą spotkał na końcu długiego korytarza.

Ruszył więc z powrotem, z irytacją patrząc na defiladę dyplomów. Wypastowane schody też lśniły. Były strome, zużyte, ale lśniły.

To przecież niebezpieczne, takie strome i śliskie schody — pomyślał. Ściana wzdłuż schodów również obwieszona dyplomami za osiągnięcia takie to a takie, korytarz na pierwszym piętrze podobnie.

Czy dyrektor tej szkoły — pomyślał z przekąsem — też się obwiesza hojnie dyplomami?

Dyrektor okazał się kobietą, panią w starszym wieku, chyba przedemerytalnym.

Ubrana była w ciemną sukienkę, mimo upału zapięta sztywnym, białym kołnierzykiem, jak kryzą, wokół szyi. Siedziała za okazałym biurkiem w gabinecie, który był nieskazitelnie lśniący i bezosobowy. Ściany zdobiły wyłącznie dyplomy, widocznie te najzacniejsze, podłogę zakrywał szary dywan, a w wysokim oknie wisiała ciemnoszara zasłona i ani jednej wesolej kolorowej plamy czy kwiatu. Było sztywno, surowo i klasztornie. Twarz dyrektorki nie zachęcała do rozmowy, była niechętna i oficjalna.

Służbistka — pomyślał Andrzej. — Gorliwa, wypełniająca pierwszorzędnie swoje obowiązki, pewno z tych, którzy się nigdy nie mylą i zawsze mają rację.

— Domyślam się — zaczęła bez wstępów, sucho, nie odpowiadając nawet ruchem głowy na powitalny gest Andrzeja — celu pana wizyty, prokuratorze. A ponieważ należę do ludzi mówiących zawsze prawdę w oczy, to powiem wprost, że niepotrzebnie marnuje pan mój i swój czas, ponieważ niczego nowego pan ode mnie się nie dowie. Wszystko, co miałam do powiedzenia na temat owej osoby, już przekazałam oficerowi prowadzącemu śledztwo. Wszedł stąd przed godziną, udzieliłam mu wyczerpujących wyjaśnień i nie widzę powodu, dla którego miałabym się powtarzać. Mam wiele pracy, jak wiele — niech świadczy o tym moja obecność w szkole mimo późnej, popołudniowej godziny. Pan widocznie posiada nadmiar czasu, skoro marnuje go na tak błahą sprawę — zacisnęła surowo usta. Irytacja Andrzeja wzrosła. Pomyślał, że nie chciałby być podwładnym tej kobiety ani jej uczniem. Uśmiechnął się jednak uprzejmie i w bezradnym geście rozłożył ręce.

— Dla mnie sprawa Anny Borowskiej nie jest błahą. Czy mógłbym wiedzieć, na jakiej podstawie kwalifikuje ją pani jako błahą?

Wąskie usta dyrektorki wydeły się pogardliwie.

— Tę osobę zatrzymano przecież pod zarzutem dokonania morderstwa...

— Jeszcze niczego jej nie udowodniliśmy. Jest tylko podejrzana, a to różnica...

— Proszę nie przerywać, kiedy ja mówię! Żadna różnica. Formalna tylko. Pan jest podobno prokuratorem i pana obowiązkiem powinno być bezwzględne tępienie zła, przestępstwa. Pan ma oskarżać, a pan ośmiela się ją bronić? To obuźrające!

— Znam swoje obowiązki, proszę pani — powiedział spokojnie, chociaż wszystko się w nim gotowało.

— Jest pan bardzo młody i zapewne praktykę zawodową ma pan niewielką — syknęła z przekąsem.

— Zapewne — powiedział.

— Właśnie. A ja jestem pedagogiem od czterdziestu lat i znam się na ludziach. W ich ocenie nie mylę się nigdy. Tę osobę zawsze podejrzewałam o złe skłonności, nigdy nie sprawiała na mnie dobrego wrażenia. W mojej szkole pozostawiłam najlepsze siły pedagogiczne, ta pani była bardzo mierną nauczycielką. Prędzej czy później musiałaby odejść z mojej szkoły, psuła osiągnięcia. Ale kiedy zaczęła deprawować mi młodzież, przychodzić w stanie upojenia alkoholowego do szkoły, musiałam ją zwolnić dyscyplinarnie. Uznałam, że nigdy nie powinna wrócić do pracy w szkolnictwie. To surowa ocena, ale sprawiedliwa.

— Mocno powiedziane — zauważył.

— Wypełniłam swój obowiązek.

— Na jakiej podstawie oparła pani swoje przekonanie, że Anna Borowska jest nałogową alkoholiczką?

— Podstawa? Pan mnie śmie pytać o podstawy? Po prostu zawiadomiłam władze oświatowe, że jest alkoholiczką, deprawuje swoim zachowaniem młodzież i doprowadza do skandali. Po czym kategorycznie zażądałam dyscyplinarnego zwolnienia. Nie potrzebuję żadnej podstawy na poparcie swoich słów, jestem zbyt ceniona u swoich władz i cieszę się autorytetem oraz szacunkiem. Pan mnie zdumiewa, młody człowieku. Pan mnie po prostu obraża.

— Czym tak panią zdumiewam? Czy tym, że wyświadczam pani uprzejmość i przychodzę tutaj osobiście, zamiast wezwać panią oficjalnie pismem na przesłuchanie w prokuraturze?

Zsiniąła.

— Pan nie ma najmniejszego prawa...

— Mam — przerwał ostro. — A teraz ustalmy pewne fakty. Spowodowała pani dyscyplinarne zwolnienie Anny Borowskiej pod zarzutem pijaństwa, deprawacji młodzieży i tak dalej. Otóż mnie nie wystarczą ani pani słowa, ani tym bardziej osobiste przekonania. Sama pani powiedziała, że do moich obowiązków należy bezwzględnie tępić zło. Chcę je tępić i stąd moje pytanie: na jakiej podstawie oparła pani swoje głębokie przekonanie, że Anna Borowska nałogowo pije?

— Bo przychodziła pijana do szkoły.

— Słucham dalej.

— To panu nie wystarcza?

- Nie. Nie wystarcza. Chyba że pani przedstawi mi świadków lub przedłoży dowód w postaci orzeczenia lekarskiego.

— Złożę na pana skargę.

— To pani wolno. Słucham dalej.

— Leczone ją w odwykówce. Niech pan stamtąd weźmie orzeczenie.

— A pani sprawdzała? Dołączyła pani do motywacji o zwolnienie opinię z owej odwykówki?

— Pan jest po prostu śmieszny. Przecież mówię, że przychodziła do szkoły pijana.

— Kiedy ją pani zwolniła z pracy?

— Dwa lata temu. I leczenie w odwykówce nie pomogło. Mimo rocznego pobytu niewiele jej tam pomogli. Dalej piła i raz po raz zjawiała się w szkole z błędnym wzrokiem oraz przepitymi oczami.

— Ustalmy więc, że swoje przekonanie o nałogu Borowskiej oparła pani na fakcie, że oczy jej były błędne?

— Niech mnie pan nie łapie za słówka. Zwracała na siebie powszechną uwagę. Miała błędne, mętne od przepicia oczy, ciągle była rozkojarzona, nie rozumiała, co się do niej mówi. Sama raz widziałam, jak idąc korytarzem, zataczała się i czeptała ścian. Woźna też widziała. Kazałam wtedy podejść do siebie i chuchnąć. Poczułam odór alkoholu.

— Kazała pani chuchnąć przy woźnej?

— Potrzebny był mi świadek. Woźna też poczuła alkohol, chociaż stała w odległości paru metrów. Chce pan świadka, proszę, daję go panu.

— To straszne.

— To skandaliczne — oświadczyła. — Pijana, zataczająca się nauczycielka. Młodzież urządzała jej ordynarne kawały. W krótkim czasie po powrocie z odwykówki stała się pośmiewiskiem całej szkoły. Obniżała rangę i autorytet nauczycieli, zdarzyło się na przykład, że pierwsza klasa zamieniła się z trzecią, a pani profesor Borowska przeprowadziła czterdzieści-minutowy wykład, nie zauważając zmiany. Kiedyś przyczepiono jej do spódnicy brudną szmatę i też tego nie zauważyła. Czy teraz moje wyjaśnienia są wystarczające? Spojrzał wrogo na siedzącą za biurkiem kobietę.

— A więc zreasumujmy — powiedział spokojnie. — Borowska wróciła do pracy po rocznym pobycie w szpitalu...

— Odwykowym — przerwała.

— Po rocznym pobycie w szpitalu, i wtedy właśnie zauważyła pani u Borowskiej mętne, przepite oczy, spostrzegła rozkojarzenie, i była pani świadkiem, kiedy Borowska zataczała się przy ścianie. Czy podobne objawy zaobserwowała pani u Borowskiej przed jej leczeniem?

— Podejrzewałam oczywiście, że nie jest w porządku. Ale nie wiedziałam wtedy, że ona pije.

— A kiedy się pani dowiedziała?

— Później.

— To znaczy?

— Kiedy już wylądowała na odwykówce.

— Skąd pani wiedziała i od kogo, że Anna Borowska leczy się odwykowo?

— Przecież mam to odnotowane w jej aktach! — prychnęła pogardliwie dyrektorka. — Jest tam odpis zwolnienia ze szpitala psychiatrycznego.

— Z wyszczególnieniem rozpoznania choroby?

— Przecież wiadomo, że nikomu stamtąd nie napiszą prawdziwego rozpoznania.

— Skąd, proszę pani?

— Z odwykówki. Ochraniają alkoholików, zamiast podawać do publicznej

wiadomości i piętnować.

— Czy u pani w rodzinie ktoś był nałogowym alkoholi-kiem?

— Wypraszam sobie podobne insynuacje.

— To skąd u pani taka bezwzględna zajadłość?

— Zajadłość, cóż to za wyrażenie.

— Potraktowała pani zaświadczenie lekarskie jako fałszy-we?

— Znam te praktyki. Borowska leżała na oddziale odwy-kowym, leczono ją z urazów alkoholowych, a szpital przysłał osłaniające ją zaświadczenia. Weneryków też ochrania nasze nazbyt wyrozumiałe prawodawstwo.

— Ktoś jednak musiał panią poinformować, że Borowska leczy się z nałogu. Bo jeżeli zaświadczenia ze szpitala poda-wało inne rozpoznanie, to skąd pani wiedziała o alkoholizmie Borowskiej?

— Świat jest mały, panie prokuratorze — uśmiechnęła się z satysfakcją dyrektorka — i takie wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Pech chciał, że mąż jednej z nauczycielek prac-o-wał w instytucie razem z mężem Borowskiej. Tam wszyscy wiedzieli, jak bardzo dyrektor Borowski cierpi na skutek skłonności swojej żony. Wiedzieli i współczuli. Kompromito-wała go na każdym kroku. Żona pijaczka. A to przecież czło-wiek na wysokim, odpowiedzialnym stanowisku, ileż on musiał wycierpieć.

— Więc taki jest mechanizm plotki. Może zniszczyć czło-wieka. Dopada go zza węgła i żadnej przed nią ochrony — powiedział Andrzej.

— To są fakty! — oświadczyła z oburzeniem dyrektor-ka. — Borowski jest człowiekiem o wysokiej kulturze osobi-stej, wielkich walorach charakteru... — urwała, spojrzała z przestachem na Andrzeja. — Nie znam go osobiście, ale słyszałam o nim same pozytywne opinie. Zresztą, nie zajmo-wałyby tak znacznego stanowiska.

— Pani go zna.

— Powiedziałałam przecież, że nie, ja nigdy nie kłamię.

— Kłamię pani.

— Jak pan śmie?

— Proszę nie podnosić głosu. Nie jestem, na szczęście, Pani podwładnym — powiedział Andrzej. — To ja panią przesłuchuję, a nie pani mnie. I tak zbyt spokojnie wysłuchi-wałam pani uwag i pouczeń. Pani zna Borowskiego.

— On tego nie potwierdzi.

— Prosił panią o dyskrecję?

Czerwone plamy rozlały się na policzkach dyrektorki.

— Odmawiam odpowiedzi.

Miał dość. Huknął pięścią w biurko.

— Opowiem więc, w jaki sposób dotarła pani do Borow-skiego. Najpierw Anna Borowska powędrowała do szpitala. Potem ta nauczycielka zaczęła się dzielić rewelacjami na te-mat pobytu Borowskiej w szpitalu. Nie lubiła pani Borowskiej od początku i nie chciała jej pani w swojej szkole. Dlaczego? Nie wiem, nieważne. W każdym razie te rewelacje przypadły pani do gustu. Czy to wtedy przeprowadziła

pani dyskretny wywiad u męża Borowskiej? Czy później, kiedy Borowska powróciła do pracy, a pani zaczęła ją prześladować? Szarpnęła kołnierzykiem przy sukni, jakby się dusiła.

— Kiedy? — ponaglił.

— Ręczyłam swoim słowem honoru...

— Kiedy?

— Gdy wróciła do szkoły. Te przepite oczy...

— Pani się powtarza w argumentacji. Więc gdy Borowska wróciła do szkoły po rocznym leczeniu, pani zwróciła się do jej męża, a on zastrzegł dyskrecję? I co pani powiedział?

— Potwierdził tylko to, co wiedziałam już wcześniej. Bo wszyscy o tym wiedzieli.

— I co dalej?

— Wyciągnęłam wnioski. Nie mogłam dopuścić, aby osoba o podobnych skłonnościach dalej pracowała w swoim zawodzie. Zawód pedagoga jest szczególnym...

— I poinformowała pani władze oświatowe o skłonnościach Borowskiej — przerwał.

— To było moim moralnym i społecznym obowiązkiem — odparła, zaciskając usta.

— Zawsze pani wie tak dokładnie, co jest moralnym i społecznym obowiązkiem?

— Oczywiście.

— I zawsze pani wiedziała? Zawsze taka była?

— Jaka?

— Bezkompromisowa. Nietolerancyjna. Bezwzględna.

— W stosunku do siebie też taka jestem.

— To pani przychodzi ze szczególną łatwością, ponieważ pani jest bez żadnej skazy. Żałuję, że nie mam na panią odpowiedniego paragrafu.

— Złożę na pana skargę.

— Już mi pani groziła skargą. Proszę złożyć. Ile pani ma lat?

— Zbliżam się do wieku emerytalnego.

— Jakie to szczęście — nie wytrzymał — przestanie pani wreszcie niszczyć ludzi w imię swojego poczucia obowiązku, moralnego i społecznego. Chociaż nie. Tacy ludzie jak pani do końca swoich dni pozostaną niespożyci. Zawsze znajdą sobie ofiarę. Zniszczyła pani tę kobietę. Bez wahania, w imię swojego poczucia obowiązku. Nie sądzę, żeby wiadomość, którą za chwilę pani przekażę, zdołała wyrzeć wrażenie. Wątpię, czy trafi ona do pani sumienia, bo nie wiem, czy ono jeszcze u pani istnieje, czy już całkowicie utożsało się z poczuciem obowiązku. Anna Borowska nigdy nie była alkoholiczką. Nie leżała na oddziale odwykowym. Nie miała żadnych schorzeń psychicznych spowodowanych nadużywaniem alkoholu. Anna Borowska, proszę pani, dwukrotnie przebywała w szpitalu psychiatrycznym, z silnym urazem, który doprowadził ją do psychozy depresyjno-maniakalnej.

Znowu sięgnęła do kołnierzyka.

— To nieprawda.

— To prawda. Komuś zależało na tym, aby przyczepić Annie Borowskiej etykietkę alkoholizki. Taka etykiетка deprecjonuje, zwłaszcza kobietę, w opinii potocznej. Komuś bardzo zależało, żeby tę opinię urobić przeciwko Annie Borowskiej. Pani temu komuś wyświadczyła wprost niezwykłą pomoc.

Przypuszczam, że nawet nie liczył na takiego sojusznika. Pani mu pomogła dobrać Borowską, dyscyplinarne zwolnienie nauczycielki za alkoholizm w opinii publicznej równało się śmierci cywilnej. Autorka szkolnych skandali, podpierająca ściany, zionąca alkoholem, tego oczywiście nikt nie może tolerować.

— Bo zionęła alkoholem. Moja woźna poświadczy.

— Nie wątpię, że poświadczy. Wszak to pani sama osobiście stwierdziła, że oddech Borowskiej przesycony był zapachem alkoholu i osobiście z wyżyn swojego autorytetu dyrektorskiego kazała jej pani przy świadku, czyli woźnej chuchać, więc nie wątpię, że woźna poświadczy. Gratuluje pani takiego świadka.

Zostawił ją siedzącą sztywno za biurkiem. Z satysfakcją jednak spostrzegł, że jej palce tym razem szarpnęły sztywnym kołnierzykiem mocno i zacisnęły się na pomarszczonej, żółtawej szyi.

*

To znowu pan? Pan? — wykrzyknęła ze strachem Smugowa. Mimo późnej, popołudniowej pory nie przebrała się z kwiecistej, pomiętej sukni. Wyglądała jeszcze starzej niż rano. Oczy miała podpuchnięte, powieki aż sine, usta bez kropli krwi. — Męża nie ma. Nie wrócił dotąd z instytutu. Bardzo się niepokoję. Tak późno, dlaczego nie wraca? Już nie mam siły. Czego pan chce? Męża nie ma, powtarzam jeszcze raz.

— Ja do pani — odparł Andrzej. Smugowa nie ruszyła się z przejścia.

— Nie, nie! Ja nic nie wiem. Powiedziałam wszystko. Niech mnie pan zostawi w spokoju. Mąż mi zabronił rozmawiać z panem.

— Proszę posłuchać — powiedział prosząco. — Ja też lecę z nóg. Czy nie poczęstowałaby mnie pani filiżanką mocnej, gorącej kawy? I kawałkiem chleba? Od wczoraj nie jadłem.

Tą zwykłą prośbą chciał ją uspokoić. Kawę wypił przed paroma minutami, zaraz po wyjściu od dyrektorki, a głodu nie czuł, bo papierosy skutecznie zabiły to uczucie. Pomyślał jednak, że taka zwyczajna, ludzka prośba powinna pomóc w nawiązaniu kontaktu. Zależało mu, aby Smugowa zapomniała, kim jest, chciał od niej wyznać intymnych, a uzyska je tylko wtedy, jeśli zdobędzie jej zaufanie.

— Bardzo proszę — powtórzył.

Popatrzyła na niego łzawiącymi się oczami, wahajaco.

— Kawę? kawę? — powtórzyła nieprzytomnie, otarła oczy z łez. — O Boże, nie wiem, co się ze mną dzieje. Umieram z niepokojem o męża. Czy pan go widział? Dlaczego nie wraca? Ja teraz nie mogę być sama. Czy pan to rozumie?

Skinął głową.

— Kawę, dobrze — powiedziała, zadygotała jakby od silnej gorączki, zrobiła przejście w drzwiach. — Proszę, niech pan wejdzie. Oczywiście, sama wypiję z

przyjemnością, może mi ulży, nawet nie pomyślałam o kawie ani o tym, żeby coś zjeść. Też nie jadłam od wczoraj. Głowa mnie tak strasznie boli, że aż płacę, nie do wytrzymania jest taki ból głowy — mówiła, przesuwając bezsensownie popielniczkę na stole z jednego miejsca na drugie. — I boję się. Boję się, bo mąż nie wraca. Boję się, bo pan przyszedł. Boję się tego, co się stanie. Boję się wieczoru, jutrzejszego dnia, wszystkiego. Własnych myśli także — opadła na krzesło, rzuciła się twarzą na stół, plecami jej wstrząsnął płacz. — Dlaczego on nie wraca? Coś mu się przytrafiło? Coś złego? Był taki załamany, a zawsze chodził nieuważnie.

— Trzeba się uspokoić. Wszystko będzie dobrze... Czekał aż przestanie płakać, ale szlochała coraz bardziej histerycznie.

— Gdzie jest kuchnia? — zapytał. — Pogospodaruję sobie u pani w kuchni. Zaparzę kawę, no już dobrze, proszę nie płakać.

— Pierwsze drzwi na lewo z korytarzyka — wyszlochała. -Kawa w szklanym słoiku, już zmielona, stoi w kredensie. Ale to nie wypada...

— Ile pani posłodzić? — zapytał, wracając z kawą do pokoju. Smugowa wciąż leżała twarzą na stole, ale już znacznie spokojniejsza.

— Piję gorzką. Jaki pan dobry — rozczuliła się, już znowu skłonna do łez.

— To świetnie, ja również lubię gorzką. Zapali pani? Wyciągnęła rękę, unikając jego wzroku. Chlipnęła nosem raz i drugi. Długo ocierała oczy, twarz. Usta jej drżały, przypalała długo, zaciągnęła się mocno.

— Dziękuję — powiedziała z wdzięcznością. Wstrząsnęła się. — Zimno mi. Taki upał, a ja mam dreszcze. Jestem chora. Bardzo chora.

I jakby przypominając sobie, kim jest jej gość, spytała nieufnie:

— Ale po co pan przyszedł? Mąż zabronił mi wszelkich rozmów.

Nie odpowiedział. Palił papierosa i pił kawę, która była nieśmaczna, zwietrzała i grubo zmielona.

— Mój mąż — powiedziała, nie wytrzymując tego milczenia — jest niewinny. On nie potrafiłby zabić Karola.

— A miał powody? Zadygotała.

— Pani ma gorączkę — zauważył. — Proszę narzucić na siebie jakiś szal, coś cieplejszego.

— Boję się.

— Na razie nie interesuje mnie osoba pani męża. Obecnie zajmuję się wyłącznie Anną Borowską. A pani ją znała bliżej.

— Co pan chce wiedzieć — spytała cicho.

— Na przykład, czy pani ją lubiła?

— Annę? Raczej współczułam... Lubiłam! — powtórzyła z nieoczekiwaną złością. — Nie miałam powodów, żeby za nią przepadać. Był czas, że wcale jej nie lubiłam!

— Dlaczego?

— Bo miała wszystko, czego ja nie miałam. I nie potrafiła tego docenić. Ani z tego korzystać — powiedziała Smugowa. Zaciśnęła rękę mocno. — Miłość męża...

bo Karol ją jednak kochał...

— Jednak?

Zmieszała się. Zaczerwieniła i zaraz przybladła.

— Karol nie lubił manifestować swoich uczuć. Pozornie sprawiał wrażenie człowieka nieczułego. Ale to tylko poza, na pewno poza — powiedziała.

Usprawiedliwia Borowskiego. Dlaczego? Czyżby Smugową łączyło z Borowskim coś więcej niż przyjacielskie stosunki towarzyskie?

— Są mężczyźni, którzy okazywanie uczuć uznają za nie-męską słabość — wtrącił.

Uspokoila się momentalnie.

— Właśnie. Karol do tych mężczyzn należał — podchwyciła szybko. — Ale on nie był nieczuły ani obojętny. To w ogóle nie-zwykły człowiek, niech pan nie wierzy mojemu mężowi. Mąż jest o mnie bardzo zazdrosny. To męczące w codziennym życiu, szalenie męczące. Mój mąż jest zazdrosny o wszystko. O mnie, o swoją pracę w instytucie. Znienawidził Karola, bo ten okazał się lepszy od niego. Karol zrobił karierę, awansował, a mąż po-zostawał stale w jego cieniu. Wie pan, ja się nie orientuję do-brze w sprawach zawodowych męża. W ogóle to jest zacny, po-rządny człowiek. Właściwie nie dziwię się ani jego nienawiści, ani kompleksom i staram się go zrozumieć. Myślę, że było mu ciężko przeżywać te wszystkie porażki zawodowe i klęski. Nie udało mu się wieloletnia praca nad wynalazkiem, chociaż wiele sobie po niej obiecywał. To była jego pasja, jego namiętność. Miał zostać dyrektorem do spraw naukowych instytutu i tu go również ubiegł Karol. Proszę mnie dobrze zrozumieć, ja nie oskarżam ani nie potępiam męża, ja go przed panem usprawie-dliwiam, nie trzeba mu wierzyć. To, co dziś opowiadał o Karolu,

nie było obiektywne. On jest nieszczęśliwym człowiekiem, ten mój mąż, ale on nie potrafiłby zabić Karola — powiedziała ci-cho, prawie niedosłyszalnie, otarła łzę. — Karol miał więcej od niego szczęścia, i to też dobrze, zasługiwał na nie w pełni, tylko w życiu osobistym mu się nie powiodło.

— Anna była złą żoną? Zdradzała go?

— Och, Karol nie pozwoliłby, żeby go zdradzała! Karol ma dość staroświeckie, ale urocze poglądy. Wymagał od kobiety bezwzględnej wierności, posłuszeństwa i Anna taka była. Ja o Annie, niezależnie od swojego stosunku do niej, nic złego nie powiem. Zresztą niewiele wiem na jej temat, bo w gruncie rzeczy specjalnie się nią nie interesowałam Anna pozostawa-ła w tle, na drugim planie, cicha, małowówna, zamknięta w sobie, jakby jej nie było, jakby nie istniała. Karol ją przytła-czał swoją osobowością, tak, ma pan rację, Karol należy do mężczyzn silnych, twardych, nieustępliwych, ale jednocze-śnie potrafił być miły, ujmujący, opiekuńczy i nawet roman-tyczny. Te jego róże... Piękny jest ten ogród, prawda? Przy-znawał otwarcie, że róże są jego słabością, czasem śmiał się, że założył rosarium specjalnie, aby podkreślić urodę Anny. Kiedyś musiał ją bardzo kochać... — ból zabrzmiał w głosie Smugowej, ale oczy miała rozjaśnione, pełne czułości, a imię Borowskiego wymawiała z zachwytem. Andrzej wiedział już, że kochała Borowskiego.

Biedny Smuga — pomyślał. — Oto powód nienawiści: żona, która zdradzała go z przyjacielem. Od kiedy wiedział? Może od dawna? Dlaczego zgadzał się na taką upokarzającą sytuację i pozostawał z kobietą, która kocha innego mężczyznę i nawet nie potrafi swojej miłości ukryć? Czy aż tak kochał Smugową? Czy aż tak był słaby? Czy tak tchórzliwy? Czy twarz Smugowej też tak pojaśniała, gdy odebrała zaproszenie na kolację? Czy też zapaliły się błyskiem szczęścia jej oczy? Wyobraził ich sobie. Smugę, brzydkiego, nieefektownego mężczyznę i Smugową, w kwiecistej, strojnej, nazbyt strojnej sukience, odmłodzoną, nagle szczęśliwą i oznajmiającą, że oto Borowski znowu pojawił się i zaprasza do siebie. Czy Smuga protestował? — zastanawiał się Andrzej — buntował się, czy uległ bez słowa? „On nie potrafiłby zabić Karola”, powiedziała przed chwilą Smugowa, dlaczego w tak mało rozważny i infantylny sposób usiłowała go bronić?, „Nie potrafił-by”?, a więc między nimi doszło do zasadniczej rozmowy, tylko kiedy? Gdy zjawił się tu rano, wyglądali oboje jak życie-wi bankruci. Smuga płakał. Czy powiedzieli sobie wtedy wszystko? Czy podejrzewali się wzajemnie? Ona, że jej mąż z chęci odwetu próbował Borowskiego otruć i otruł Ewę Borowską, a on — że to Smugowa otruła Ewę jako swoją rywalkę? Bzdura — pomyślał zaraz, Smugowa byłaby zdolna zabić Ewę, ale nigdy nie podniosłaby ręki na Borowskiego, za bardzo go kocha. Wciąż go kocha pokornie, ulegle i ślepo. Tak mi się wydawało dziś rano, że ich lęk, który wywołała moja wizyta, jest nienaturalny. Ten lęk to było coś znacznie więcej niż pozostałości szoku spowodowanego wydarzeniami nocnymi, bali się oboje, i on, i ona. Ujawnienia ich wzajemnych związków z Borowskim. Smuga przestraszył się ostatecznej kompromitacji, znosił swoją rolę zdradzanego męża spokojnie i cicho, a nikt z zewnątrz o niej nie wiedział. Teraz ta rola długoletniego rogowca, pokornego dumia miała być ujawniona, prędzej czy później, ale ujawniona. Smugowa przestraszyła się, że jej wieloletni romans, jej uczucie będzie przedmiotem naszych dociekań. Oboje są biedni, niech to diabli — pomyślał, zły na siebie — a cóż mnie to wszystko obchodzi?

— Karol był zawsze dobrym mężem — zapewniała właśnie Smugowa, jednak Andrzej miał dość jej zwierzeń, irytowały go jej zachwyty nad Borowskim, były wręcz niesmaczne.

— A Anna? Mnie interesuje Anna, proszę pani.

— Anna? Karola nie można winić za jego decyzję.

— Jaką decyzję? — zapytał ze złością.

164

165

— No, że rozwiódł się z Anną, chociaż była chora.

— Jakże go winić, skoro taki doskonały człowiek? W dodatku kupił dla niej mieszkanie, a nie musiał, płacił z własnej woli alimenty, wspaniały, szlachetny, zacny, wzór.

— Pan... pan... — wyjąkała. — To nieładnie... pan kpi. Karol miał swoje wady, ale kto ich nie ma?

— Na przykład? Jakie?

— Był... był dość apodyktyczny. Bardzo wymagający. Nie znosił sprzeciwu. Dlatego nie lubiano go w instytucie. Za wiele wymagał, a ludzie nie lubią tego.

— A czego wymagał od Anny?

— Och, chyba niewiele. Ale Anna nie^otrafiła docenić, ja-kie ją szczęście w życiu spotkało. Dobne pamiętam Annę z początków jej małżeństwa, ale potem bardzo szybko się zmieniła. Zamknęła się w sobie, stała się nieufna i smutna. Zdumiewała mnie, bo Karol był czuły, dobry, kochający, a u niej nie widziałam radości. Poza tym była skryta, znałam ją tyle lat, a nigdy z niczego mi się nie zwierzała. I nie dawała się na-mówić do zwierzeń.

— Bez radości — powtórzył Andrzej. — To mnie interesuje. Sądzi pani, że wyszła za Borowskiego dla jego majątku?

— Ależ nie! Karol spadek otrzymał znacznie później. Kiedy zenił się z Anną, zarabiał tyle samo co mój mąż. Och nie, pro-szę pana, Anna nie była materialistką! Ona naprawdę wyszła za mąż z uczucia, kochała Karola, pamiętam ją dobrze, prze-cież byłam na ich ślubie, sama radość, samo szczęście. Ale wi-docznie jej uczucie nie należało do trwałych, szybko przeszło i to mnie zdumiewało. Właśnie tego nie potrafiłam zrozumieć, przecież kocha się raz, na całe życie... Wypowiedziała te słowa z taką żarliwością, że aż się prze-raził.

Więc to tak? — pomyślał, przestraszony gwałtownością uczu-cia tej kobiety, już niemłodej. — Więc aż tak? Kochała go tyle lat?

— Dlaczego pan milczy?

— Pani Krystyno, to dla mnie bardzo ważne: Anna Borow-ska i jej rezygnacja z uczucia. Czy przed ślubem znała pani Annę?

— Jako narzeczoną Karola — powiedziała Smugowa, oczy jej zgasły, pociemniały.

— Jaka była wówczas?

— Zakochana, szczęśliwa, radosna i wesoła.

— I skłonna do zwierzeń?

— Jak każdy, kto jest szczęśliwy.

— A potem?

— Potem zmieniła się nie do poznania.

— Kiedy to nastąpiło?

— W jakiś rok, może nawet wcześniej, po ślubie.

— Może zmieniła się tak, ponieważ doznała rozczarowa-nia? Zawodu? — przerwał Smugowej. — Może na przykład dowiedziała się, że jest od samego początku oszukiwaną żoną?

— Bzdura! — ucięła ostro Smugowa. — O niczym nie mo-gła wiedzieć! Wątpię, czy się nawet kiedykolwiek domyśli-ła...

Urwała, przykryła dłonią usta.

— Chciałam powiedzieć... — zaczęła, ale znowu jej prze-rwał, łagodnie i ze współczuciem:

- To niepotrzebne, proszę pani. Rozpłakała się.
- Jestem taka nieszczęśliwa.

— Wierzę pani. Ale w takim razie niech pani zdobędzie się na wspaniałomyślność i pomoże drugiej, jeszcze bardziej nieszczęśliwej kobiecie. Czy pani jej nigdy nie współczuła? Nie zastanawiała się, co było przyczyną jej choroby?

— Och! Proszę pana! — zawołała przez łzy. — Z jakiej racji miałam zastanawiać się nad nią? Ona miała wszystko, a ja co? Nawet nadziei!

— Pani ją miała, tę nadzieję — powiedział.

— Nieprawda! Nigdy nie życzyłam Annie źle. Nawet teraz!

— Teraz panią dręczą wyrzuty sumienia.

— Teraz pan mnie dręczy!

— Chcę pani pomóc.

— Nikt nie może mi pomóc. Zmarnowałam moje życie i życie tego biedaka, mojego męża. Tak, pan ma rację to był czas, w którym modliłam się, aby Anna nigdy nie opuściła progu szpitala. Żeby została tam do końca. I był czas, w którym sądziłam, że cud się spełni. Karol rozwiódł się z Anną. Był wolny. Ale nawet nie zadzwonił. Nawet go nie zobaczyłam. Czekalam. Wciąż i wciąż. Umierałam dziesiątki razy i ożywiałam się nową, głupią nadzieją. Potem dowiedziałam się, że się żeni. Z młodszą od siebie o trzydzieści lat. Miał nadzieję, że umrze, ostatecznie, pochowałam ją głęboko, ja kończę w tym roku czterdzieści osiem lat, jestem starsza nawet od Anny. Zaprosił mnie na swój ślub. Po raz drugi uczestniczyłam w ceremonii, patrząc na kobietę, którą on sobie wybrał. Powinam go była wtedy zniechęcić. Nie potrafiłam... Teraz pan już wie o mnie wszystko. Ale ja nie zabiłam jego żony ani nie potrafiłabym zabić Karola.

— Wcale pani nie podejrzewałam.

— Jeżeli nie mnie, to podejrzewa pan mojego męża. Będę go bronić. Mam sobie wiele do wyrzucenia, ale starałam się być dobrą żoną. Wiem, że brzmi to cynicznie, ale starałam się chociaż w ten sposób wynagrodzić mu krzywdę... Boże! Dlaczego on tak długo nie wraca?

— Wróci — pocieszył. Tak, wróci — pomyślał — ale teraz pewno nie może na ciebie patrzeć. Powiedział ci wszystko, wyrzucił z siebie swój zapas krzywd, mój Boże, starałaś się być dobrą żoną, cóż za nieświadoma ironia.

— Pan milczy Pan mnie potępia.

— Współczuję pani — powiedział szczerze. Opuściła głowę.

— Co pan chce jeszcze wiedzieć?

— Anna. Od kogo pani wie, że piła?

— Jak to od kogo? Piła. Wiem. Widziałam. Ale Anna miała słabą głowę — dodała usprawiedliwiająco — piła właściwie niewiele, tylko koktajle, lubiła je i potrafiła je świetnie przyrządzać. Parę razy straciła kontrolę nad sobą, stała się nieprzyjemna, obrażała Karola.

— Pani nigdy nie przytrafiło się stracić nad sobą kontroli pod wpływem alkoholu?

— Oczywiście, też nie mam mocnej głowy.

— Ale czy z tego powodu określano panią jako alkoholikę?

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza? Straciłam prawie zupełnie kontakt z

Anną, gdy zaczęła pić nałogowo. Od czasu, kiedy Karol opublikował swoją pracę, mój mąż zerwał stosunki towarzyskie z Borowskimi. Niezupełnie, ale bywaliśmy u nich coraz rzadziej, aż w końcu przestaliśmy ich odwiedzać. A właśnie w tym okresie Anna zaczęła pić.

— Kto panią informował, że pije?

— Zapomina pan, że Karol i mój mąż pracowali w tej samej instytucji? Mąż ubolewał, przynosząc mi te wiadomości. Tadeusz lubi Annę, uważał, że Anna wpadła w nałóg, ponieważ Karol się nad nią znęcał. Wszyscy o tym wiedzieli. Żona dyrektora do spraw naukowych alkoholiczka. I chociaż Karol prowadził spokojny tryb życia, właściwie odosobniony, to z racji choroby Anny, bo to jest przecież straszna choroba, zupełnie się odizolował i nikt u niego nie bywał, nikogo nie zapraszał. Zresztą to jest zrozumiałe, obawiał się kompromitacji...

— Rozumiem — przerwał Andrzej. — A jednak Anna nigdy nie piła nałogowo. Nigdy nie była alkoholiczka.

— Jak to? — przeraziła się Smugowa. — Co pan mówi? Przecież nawet leczyła się na odwykowie. Nawet wyrzucono ją ze szkoły za skandale.

— Nie było żadnych skandali w szkole. Nie leczyła się w odwykowie.

— Niemożliwe! Przecież dwukrotnie przebywała w szpitalu psychiatrycznym. Miała urazy poalkoholowe, depresje.

— Nie miała. Za każdym razem przebywała w szpitalu z rozpoznaniem psychozy depresyjno-maniakalnej. Sprawdziłem to dokładnie.

Zapanowało milczenie. Długie, bardzo długie. Nie przerwał tego milczenia. *

— Dlaczego, proszę pana? — spytała Ł rozpaczą Smugowa. — Dlaczego? Skąd?

— On pani również opowiadał o ciężkim stanie Anny, prawda? Opowiadał o tym jak cierpi, ponieważ ma żonę alkoholicką, a pani mu serdecznie, szczerze współczuła. I potępiała Annę. Opowiadał, że nie może nikogo wpuścić do swojego domu, ponieważ nie jest pewien żony. Opowiadał o jej delirach, urazach, zatruciach alkoholowych? Nawet radził się, jak ma postąpić, co robić, co począć?

— Dlaczego, proszę pana?

— Tego jeszcze dokładnie nie wiem. Ale będę wiedział.

— Dlaczego pan mi o tym mówi?! — krzyknęła.

— Niech pani uważa na siebie.

— Chcę zostać sama.

Zatrzymał się w drzwiach. Smugowa siedziała za stołem, poruszając bezgłośnie ustami.

— Słucham? — zapytał.

Nie odpowiedziała. Usta jej poruszały się w dalszym ciągu bez dźwięku. Zrozumiał, że nie słyszy. Stał chwilę, niezdecydowany, zastanawiając się nad słowami pocieszenia. Nie znalazł takich. Wyszedł, cicho zamknął za sobą drzwi.

*

Zapomniał, że ma własne klucze do mieszkania, zadzwonił, a babka natychmiast

otworzyła mu drzwi tak, jakby za nimi czatowała. Miała groźny wyraz twarzy, ale spojrzawszy na wnuka, jęknęła tylko:

— Jędrusiu! — i rezygnując z pretensji, odebrała marynarę, a potem podsunęła domowe kapcie. Nie zaprotestowała nawet wtedy, kiedy powiedział, że nie będzie jadł. Ruszył prosto do łazienki, a gdy — otrzeźwiony nieco chłodnym prysznicem — poszedł do swojego pokoju, znajdując tam zasłany czystą pościelą tapczan, zaciągnięte zasłony w oknach i filiżankę mocnej aromatycznej herbaty z biszkoptem, uśmiechnął się rozczulony. Babka dbała o niego jak o małego, niezaradnego chłopczyka.

Nie przypuszczał, że zaśnie. Ale ledwo przyłożył głowę do poduszki, zapadł w ciężki sen. Obudziły go podniesione szepty z holu. Słuchał chwilę i już wiedział. Babka, strzegąc swojego wnuka, energicznym i zdecydowanym szeptem wzbraniała Żabickiemu wstępu do pokoju. Andrzej szybko narzucił szlafrok i wyszedł. Żabicki skonfundowany, bo w obecności babki tracił przeważnie rezon, przestępując z nogi na nogę jak sztućbak przy groźnej nauczycielce, usiłował wtrącić słówko w szepotaną tyradę babki, która zarzucała Żabickiemu krańcowy egoizm i oświadczyła, że choćby się waliło i paliło to „Jędrusia” nie obudzi. Za nic mając powagę kapitańskich gwiazdek, nacierała na Żabickiego, postukując obcasikiem staroświeckiego lakierowanego pantofelka. Niska, szczupła, w ciemnej sukience z koronkowym żabotem, z siwym koczkiem włosów ściągniętych na czubku głowy, pozornie nobliwa, starsza dama, bynajmniej nienobliwie wymachiwała potężnemu Żabickiemu w energicznej gestykulacji małymi rączkami, powtarzając swoje: „za nic, nigdy, nie pozwoli obudzić”.

— Babciu — przerwał tę komiczną scenę Andrzej — ja nie śpię.

— No i proszę! — rzuciła się. — I obudził go pan!

— To ty mnie obudziłaś, babciu. Szeptalaś nazbyt głośno — roześmiał się Andrzej.

— Szeptalam cicho — oświadczyła. — A ty się nie wtrącaj. Był tylko jeden sposób, żeby ujarzmić babkę i Andrzeja — czym prędzej z niego skorzystał:

— Jestem straszliwie głodny — powiedział. — Umieram wprost z głodu. Kapitan — mrugnął do Żabickiego — też umiera z głodu. Ale czy wiesz, na co umiera z głodu? Na twój wspaniały strudel tyrolski z kremem waniliowym.

— O Boże — jęknął Żabicki. %

— Wie pan jednak, co dobre — babka rzuciła Żabickiemu łaskawsze spojrzenie.

— Strudel? Ale czyja mam migdałki?

— Masz, masz, ty masz wszystko w spiżarni — uspokoił Andrzej.

— Ewentualnie zamiast migdałków wrzucę garść zmielonych orzechów włoskich — zamruczała babka i zajęta tym problemem, wycofała się do kuchni.

— O Boże — powtórzył Żabicki.

— Chodź, na godzinę mamy babcię z głowy — śmiał się Andrzej.

— Ale za to wisi nad nami groźba strudła — zauważył po-nuro Żabicki. — Nie mogłeś wymyślić potrawy bardziej lek-kostrawnej?

— Nic innego nie przyszło mi do głowy — powiedział ze skruchą Andrzej. — Trudno. Przynajmniej częściowo będziemy musieli zjeść ten strudel. Babcia nie

daruje.

— O Boże — westchnął po raz trzeci Żabicki. Opadł w fotel, jak gdyby wizja babcinego strudła pozbawiła go gwałtownie sił. — Gdzie się włóczyłeś przez cały dzień? Od babci wiem, że wróciłeś do domu dopiero koło dziewiętnastej.

— Byłem — powiedział Andrzej, częstując Żabickiego papierosem — w szpitalu na Dzikowie, potem w szkole Borowskiej, a na końcu zajrzałem ponownie do Smugów.

— No i? — zapytał Żabicki.

— Potem — powiedział Andrzej. — Czego dowiedziałeś się o Borowskim?

— Trochę się nazbierało.

— Mów! — ponaglił niecierpliwie.

— Właściwie bez rewelacji. Chociaż kilka szczegółów z życia Borowskiego będziemy musieli wyjaśnić. Tak na pierwszy rzut to wydaje się, że jest kryształowym człowiekiem z małymi skazami, ale któż ich nie ma? Przeszłość bez zarzutów, facet zasłużony.

— Jako naukowiec? — spytał z przekąsem Andrzej.

— Wiesz już o tym? Z tym jego wynalazkiem sprawa nieco się gmatwa. Rzeczywiście, jest autorem podobno dość rewelacyjnego wynalazku. Chyba rewelacyjnego, skoro otrzymał nagrodę ministra i natychmiast awansował w instytucie. Ale dokoła tego wynalazku narosła cała legenda i wiele bardzo brzydkich plotek. Czy z kolei można plotkom wierzyć? Wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy spadają ze stołka? Najserdeczniejsi przyjaciele znikają, okazuje się nagle, że wszyscy — z najserdeczniejszymi przyjaciółmi na czele — zawsze wątpili, przepowiadali, przeciwdziałali, sprzeciwiali się i tak dalej, i tak dalej. Borowski przez kilka lat trząsł instytutem, bardzo podobno lubił rządzić, a mniej pracować, ale to teraz tak się o nim mówi. To zwykła kolej rzeczy, dość podła, niemniej jednak instytut wystawił swemu byłemu dyrektorowi do spraw naukowych opinię wielce paskudną. Nieoficjalną, bo ta oficjalna brzmi mniej więcej następująco: zdolny, odpowiedzialny, wykazujący się, zwolniony ze stanowiska na własną prośbę.

— Pozbyli się Borowskiego, więc wystawili mu kurtuazyjną opinię — zauważył Andrzej.

— Zamiast uprzedzać się do Borowskiego, posłuchaj. Nieoficjalna opinia głosi, że uważano go powszechnie za miernego inżyniera i naukowca. Przez wiele lat pracy w instytucie niczym się nie wykazał. Podobno, tak się mówi teraz, wielokrotnie zastanawiano się nad jego przydatnością naukową w instytucie i gdyby nie jego serdeczny przyjaciel, Tadeusz

Smuga, człowiek wybitnie uzdolniony, z którego zdaniem instytut się liczył, Borowski dawno musiałby zmienić pracę. Podobno Smuga bronił zawzięcie Borowskiego przed uwolnieniem i ciągnął go dosłownie za uszy. Odwalał za niego pracę, pomagał, taki altruista, jednym słowem.

— Albo poczciwy, wierny przyjaciel.

— A więc tylko ze względu na osobę Smugi Borowski ostał się w instytucie. Ale w tych plotkach tkwi niepokojące ziarno prawdy, bowiem opinia Borowskiego z j^litechniki jest paskudna. Borowski studiował wraz ze Smugą. Na politechnice

pamiętają tę parę nierozłącznych przyjaciół. Pamiętają, ponieważ Tadeusz Smuga już podczas studiów wykazywał się wybitnymi uzdolnieniami, skończył politechnikę jako prymus. Pamiętają też i dlatego, że pracy dyplomowej Borowskiego towarzyszył pewien lekki smrodek. Borowski, w przeciwieństwie do Smugi, był miernym studentem i przepadł już na drugim roku. Potem repetował trzeci. Natomiast zaskoczył wszystkich znakomitą pracą dyplomową. Była tak świetna, że nie na miarę realnych możliwości Borowskiego, toteż prodziekan uznał ją za niesamodzielną. Borowski się odwoływał i w końcu dopuszczono go do obrony pracy. Obronił z trudem, ale jednak obronił. Ta praca dyplomowa Borowskiego stała się podstawą, dla której otrzymał zatrudnienie w nowo powstałym instytucie. Potrzebowali tam młodych, zdolnych ludzi, którzy rokowali duże nadzieje. Inna rzecz, że Smuga już pracował w instytucie i przygotował odpowiedni grunt dla swojego przyjaciela. Potem były jałowe lata, nieprzychylnie Borowskiemu, no i wystrzelił, niespodziewanie, swoim wynalazkiem. Pięć lat temu go opublikował. Dostał za niego sporo grubej forsy, nagrodę ministra oraz awans.

— Pięć lat temu. A w rok później Anna Borowska zachorowała psychicznie.

— Jaki związek ma choroba Borowskiej z sukcesami jej męża? — zachnął się Żabicki.

— Nie wiem. Może nie ma żadnego. A może ma.

— Czego dowiedziałeś się w szpitalu? Po co łaziłeś do szkoły? Przecież złożyliśmy oficjalną wizytę dyrektorce.

— Później — Andrzej zbył Żabickiego — referuj dalej.

— Jak sobie życzysz — powiedział nieco urażony Żabicki. — Ten wynalazek Borowskiego dotyczył transformatorów, a jeśli chcesz poznać szczegóły techniczne... — dodał złośliwie.

— Obejdzie się. I tak nie rozróżniam transformatora od akumulatora. Wał dalej.

— Blisko pięć lat trząśł instytutem. Podobno był tępy, zarozumiały, pewny siebie, bufoniasty, samowładczy, słowem: wyżywał się nie jako naukowiec, ale jak facet, który wlaź na stołek i otrzymał ludzi do sprawowania nad nimi rządów absolutnych. A teraz zastanawiająca historia. Otóż Smuga, do tego najlepszy przyjaciel, odsunął się ostentacyjnie od Borowskiego po jego awansie. Zamiast korzystać z przywilejów Borowskiego, pławić się w jego łasce, zerwał z nim bliższe kontakty. Mówi się, że postąpił tak dlatego, ponieważ kierowała nim urażona ambicja. Podobno to Smuga miał zostać dyrektorem do spraw naukowych i rzeczywiście ministerstwo kilkakrotnie zamierzało Smugę mianować na to stanowisko, ale on odmawiał, prosił o zwłokę, gdyż zamierzał ukończyć pracę nad swym wynalazkiem. Nie skończył go jednak. Wobec tego obecnie znaleźli się wśród serdecznych przyjaciół eks-dyrektora Borowskiego i tacy, którzy twierdzą, że praca Borowskiego była jakimś kantem, i kto wie, czy Borowski nie nadużył zaufania Smugi. Ale z kolei Smuga ani razu nie wysunął zarzutu przeciwko Borowskiemu, co jest rzeczą zastanawiającą i świadczącą na korzyść Borowskiego. Smuga pracował nad swoim wynalazkiem skrycie, nawet temat pracy utrzymywał w tajemnicy. Ta tajemniczość wywoływała komentarze wśród pracowników. Twierdzono, że wynalazek Smugi był w ogóle fikcją, a Smuga, kończąc się jako

naukowiec, usiłował w ten fikcyjny sposób podnieść swój prestiż. Inna wersja plotek głosi, że Smuga po prostu przeliczył się ze swoimi realnymi możliwościami. Jak było naprawdę, nie wiadomo. W każdym razie Smuga nie wystąpił z oficjalnym oskarżeniem Borowskiego, chociaż teraz mówi się po cichutku, że Borowski zwyczajnie i cynicznie okradł swojego przyjaciela z wieloletniej pracy nad wynalazkiem. Gdyby jednak tak było, to dlaczego Smuga milczał? Ani oficjalnie*, ani prywatnie nie pomawiał Borowskiego o kradzież czy pffląjat. Zawikłana historia. I cuchnąca. Smuga od momentu błyskawicznej kariery zawodowej Borowskiego rozpoczął przeciwko niemu trefną działalność. Namiętnie pisywał donosy.

— Biedak — powiedział Andrzej.

— Obrzydliwe donosy i obrzydliwe skargi. Dziesiątkami, do wszystkich możliwych organów i instytucji. Do ministerstwa, do Zjednoczenia, do prokuratury, wydziału finansowego, wszędzie. Wypisywał, że Borowski prowadzi się niemoralnie, że zbudował sobie willę za ukradzione pieniądze, że jest maniakiem seksualnym i zbrodniarzem, plugawa treść.

— Biedak — powtórzył Andrzej. — Oczywiście, podejrzewasz go?

— Podejrzewam. Zazdrość, zawiść, zawiedzione ambicje. Czy to mało?

— Mało.

— To motyw poważnie obciążający.

— Przecież Borowski żyje. Natomiast nie żyje jego żona. Smuga nie znał Ewy Borowskiej.

— Ale nienawidził Borowskiego i chciał się zemścić.

— Bzdura. Gdyby chciał się krwawo zemścić, jak przypuszczasz, trułby tylko Ewę. Cóż mu po śmierci dziewczyny, skoro Borowski umarłby również i nie miałby nawet okazji szlochać nad ciałem swojej zmarłej żony?

— Trywializujesz.

— Trywialne, ale prawdziwe.

— Anna otruła dziewczynę, zaś Smuga zamierzał otruć Borowskiego.

— Cóż za przypadek — zakpił dobrodusznie Andrzej — podczas jednej kolacji do jednego stołu zasiadło dwoje trucieli. Do tej kolacji dorzucę ci następną potencjalną trucicielkę, Smugową. Ona też miała motyw. Kochała beznadziejnie Borowskiego. Niezaspokojone uczucie, więc przytaszczyła morfinę i otruła swoją, o wiele lat młodszą od siebie, rywalkę. A ta rywalka, ta cwana kurewka, też miała motyw. Z kolei pragnęła chciwie zagarnąć majątek swojego męża i wyspała mu cyjanek. Krwawa kolacja, czyli zemsta trucieli.

— Aleś mnie okpił — powiedział smętnie Żabicki.

— Przepraszam. Oczywiście, mamy podstawy, aby zastanawiać się nad osobą Smugi, który wiedział, że żona go zdradza z Borowskim. Kochał żonę. Nie chciał jej stracić. Miał moralne prawo, aby zniechęcić Borowskiego, bo ten zabrał mu ukochaną kobietę i okradł z pracy. Popatrz, jak fatalnie splotło się życie Smugi z osobą Borowskiego.

— Ależ, Andrzej — zaprotestował Żabicki — Smuga nawet teraz, kiedy Borowskiemu powinęła się noga i wszyscy się od niego odwrócili, nie wystąpił z

żadnym oskarżeniem. A miał sprzyjające okoliczności, załatwiłby Borowskiego ostatecznie i definitywnie. Bo jeżeli przedtem obawiał się wystąpić przeciwko mocnemu szefowi, to obecnie wystarczyłoby jedno słowo, nawet aluzja, i miałby go w ręku. Przecież pisywał na Borowskiego anonimy-donosy. Sądysz, że facet, który chce zniszczyć drugiego za pomocą tak nędznych metod, za wszelką cenę, nawet za cenę swojej osobistej godności, zawahałby się szlachetnie i nie dobił go wtedy, kiedy dobić najłatwiej, bo bez wysiłku? Poza tym nikt nigdy nie oglądał pracy Smugi. Jego wynalazek był albo zwykłą mistyfikacją, albo nieudaną próbą.

— A skąd wiesz, że Smuga, który tak lojalnie służył Borowskiemu, nie wtajemniczył go w swoją pracę? — zaatakował Andrzej.

— No cóż. To jest argument — powiedział po zastanowieniu Żabicki. — Ale dlaczego Smuga milczał? Nie walczył o swoje prawa?

— Ponieważ się załamał. Został zdradzony przez przyjaciela, któremu ufał i przez kobietę, którą kochał. Myślę też, że bał się utracić żonę. Odeszłaby od niego, gdyby zaatakował Borowskiego. Odeszłaby, ponieważ nie uwierzyłaby w racje swojego męża, bo zaślepiła ją uczucie. Myślę że wyszła za Smugę tylko dlatego, żeby być bliżej Borowskiego.

— Aż tak?

— Aż tak.

— Więc nie tylko życie Smugi splotło się fatalnie z osobą Borowskiego. Smugowej również.

— I nie tylko ich. A Anna? A ta mała, która myślała, że jest cwana?

— Ostro galopujesz, Andrzej — poważnie powiedział Żabicki.

— Ostro. Sprawdziłem w szpitalu, Anna nie była alkoholiczką.

— A przecież... — zaczął Żabicki, lecz Andrzej mu przerwał.

— No właśnie. Dlaczego preparował te wieści o rzekomym alkoholizmie żony? Może w taki sposób usiłował pozbyć się żony? Dlaczego? Odpowiedzi — na razie — znamy. A teraz myśl, cyjanek w jego koktajlu. A jeśli to alibi? Alibi dla pana Borowskiego? Zabezpieczenie przed ewentualnymi podejrzeniami? Przecież nie będziemy podejrzewać kogoś, kto też miał umrzeć. Alibi uprzedzające, asekuracyjne, a jeśli coś w obmyślonym starannie planie zawiedzie? Bardzo chytre, przewidyujące alibi. W kilku punktach plan zawiódł. Na przykład wtedy, gdy Anna usiadła nie w tym miejscu, jakie jej Borowski wyznaczył. Sięgnij do wczorajszych przesłuchań, przypomnij, co mówili świadkowie, a co uszło naszej uwadze. Młoda pani Borowska ostentacyjnie nie chciała ruszyć się ze swojego miejsca, chociaż Borowski prosił ją, aby zrobiła dla Anny miejsce koło siebie. Pewno sądził, że żona musi go usłuchać, w ogóle był przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa, uległości i pewno nawet na myśl mu nie przyszło, że żona mu odmówi. Tymczasem ta się sprzeciwiła i Anna usiadła na miejscu, które zrobił jej Smuga. Borowski potknął się więc od razu na wstępie. To był duży błąd, z poważnymi konsekwencjami. Udowodniłem przecież i tobie, i jemu, że Anna ze swojego miejsca nie mogła sięgnąć do koktajlu Ewy, a więc jeżeli przez cały czas kolacji siedziała między Smugą a Borowskim, to nie miała możliwości, aby otruć dziewczynę. Kolejny błąd Borowskiego polegał na pozbyciu się ampułki. Posłuchaj Stefan, Anna przyrządziła koktajl przy barku. Zwróciła się do swojego byłego męża z prośbą o pomoc,

ponieważ naczynia były ciężkie, kryształowe, a shaker z koktajlem również swoje ważył. Borowski szybko przyniósł i shaker, i tacę ze szklankami koktajlowymi, które postawił na stole. I tu nastąpiło nieprzewidziane przez niego potknięcie. Otóż nowa pani Borowska, wściekła, że wszyscy tak zajmują się Anną, zabrała Borowskiemu tacę z ręki i sama rozstawiła szklanki i rozlała koktajl. On liczył, że tę czynność wykona Anna. Tymczasem Anna wróciła na swoje miejsce i więcej się stamtąd nie ruszała. Ale Borowski nie wiedział, że Anna nie ruszy się z tego miejsca, że nawet wywołana do telefonu — nie opuści jadalni. Potem nagły telefon do Borowskiego. Ten wyszedł, zasunął za sobą drzwi łączące bawialnię ze stołowym, a zrobił to po to, by goście nie mogli słyszeć jego rozmowy telefonicznej. Szybko skończył rozmowę i poszedł do toalety zniszczyć ampułkę. Morfinę do koktajlu Ewy wlał wcześniej. Przecież kręcił się przy stole, wstawał, pochylał się nad Ewą, upominając ją. Nikt jego manipulacji nie musiał zauważyć. Ewa była zdenerwowana, a Smugowie dobrze wychowani, nie przyglądali się scysjom małżeńskim, natomiast Anna była zbyt przerażona. Zostawił sobie odprysk szkła od ampułki, który podrzucił później na barek. Tak zaplanował i bardzo dobrze to planował, żeby zrzucić wszystkie podejrzenia na Annę. Ona i tak nie poniesie odpowiedzialności karnej, bo — wiem — orzecznictwo sądowe zakłada całkowitą niepoczytalność przy psychozach depresyjno-maniakalnych. Anna zniknie na zawsze z jego życia, zamknięta w zakładzie dla umysłowo chorych. Zresztą ona mu w czymś istotnym zagrażała... Jednak Anna siedziała kamieniem i nie wychodziła z jadalni. Nawet po torebkę, którą — tak przypuszczam — zabrał jej specjalnie podczas powitania. Kobiety nie pofcąfią obyć się bez torebki, sądził więc, że prędzej czy później — ona wyjdzie do holu po torebkę, w której miała swoje leki, zaś on o tych lekach dobrze wiedział. Ale nie wyszła. Nie chciała też podejść do fałszywego telefonu. Musisz sprawdzić połączenia telefoniczne z numerem Borowskiego, bo w trakcie kolacji rzekomo były dwa. Założę się, że był tylko jeden. Ten do Anny, do której niby dzwonił jakiś mężczyzna, to błąd. Borowski w taki sposób zamierzał wywabić Annę z jadalni, która posłusznie powinna była zerwać się z miejsca, podejść do aparatu i oburzona wyjaśnić omyłkę. Okazałoby się, oczywiście, że nikt nie dzwonił, a Borowski obróciłby to w żart. Może stwierdziłby, że Anna ma wielbicieli o dość dziwnym poczuciu humoru, skoro urządzają takie dowcipy... Ale Anna, zamiast podejść do telefonu, zaczęła pleść jakieś bzdury. Uparła się, że nikt nie może do niej dzwonić, bo jest sama, i tak dalej, i tak dalej. Zajrzyj do protokołu z przesłuchania Smugi i Smugowej. Jednym słowem doskonały plan spalił na panewce. Anna nie wyszła z jadalni, nie miała więc okazji, żeby pozbyć się ampułki. Ale nie sądzę, żeby Borowski przejmował się zbyt tymi wpadkami, bo Anna miała powody, aby czyhać na jego śmierć. W końcu Anna jest szalona i to ona przyrządziła koktajl. A poza tym on podrzucił odprysk ampułki na barek i miał doskonałe alibi, a mia — nowicie cyjanek w swoim koktajlu.

— W tym coś jest — przyznał posepnie Żabicki. — Zgadzę się z tobą, jak dotąd, w dwóch punktach. Borowska ze swojego miejsca nie mogła wlać morfiny do koktajlu Ewy, a pomysł z koktajlem Borowski celowo zaaranżował.

— Bo tylko Borowski mógł zaaranżować taką sytuację.

— Właśnie. Tylko on — powiedział jeszcze bardziej posepnie Żabicki. — Ale

dlaczego? To bez sensu. Żenił się po to, żeby zabić?

— Może, żeniąc się, nie wiedział jeszcze, że będzie musiał zabić.

— Strudel, chłopcy! — babcia triumfalnie wkroczyła do pokoju, niosąc na dużej tacy wielki półmisek, wypełniony czymś ciastowatym, obficie polanym żółtym kremem.

— Jeść, póki gorący. Pożywny: dwanaście żółtek w kremie i dwanaście żółtek w cieście.

— Babciu — powiedział prosząco Andrzej — przeskadasz nam.

— Przecież sam prosiłeś o strudel? — zdziwiła się z przykrością babka. — A może wolicie coś bardziej konkretnego? Mam peklowaną golonkę. Więc jak? Chcecie golonki?

Andrzej mrugnął porozumiewawczo do Żabickiego.

— Z sosem tatarskim byśmy może i zjedli...

— O tak! Koniecznie z sosem tatarskim — powiedział Żabicki.

— To muszę kręcić majonez... — zmartwiła się babka.

— Cóż za problem dla ciebie, babciu — powiedział chytrze Andrzej.

— Rzeczywiście — przyznała — zadem problem. Oliwę mam, jajka mam, szyneczki kawałek też się znajdzie...

— No to mamy babcię na dalszy pół godziny z głowy — roześmiał się Żabicki.

— A co zrobimy z tym strudlem?

— Zjemy go po golonce. Na deser... — Andrzej spoważniał. — Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonany, że Borowski chciał usunąć ze swojej drogi pierwszą żonę. Może się mylę, podejrzewając go o aż taką zbrodnię, ale wiem na pewno i mogę to dowieść, że Borowski zniszczył Annę. Spowodował jej śmierć cywilną. Boję się, Stefan, że tym razem nie będzie to prosta sprawa. Mamy do czynienia ze złym, zdolnym do wszystkiego człowiekiem.

— Życiorys, poza karierą zawodową, ma bardzo piękny.

— Życiorys można spreparować.

— Chwileczkę. Posłuchaj, mnie też nie podoba się Borowski. Ale wielu ludzi odpowiedzialnych, tacy, którym musimy wierzyć, wystawiło mu piękne opinie.

— A jego finanse? Ta willa? Konto? Sprawdziłeś? Może ma na sumieniu jakieś malwersacje?

— Czysty jak łąza. Willę wybudował za darowane pieniądze. Otrzymał sto tysięcy dolarów z Francji, zapisał mu je jakiś różany maniak-amator. Prowadził z Borowskim ożywioną korespondencję, poznał go osobiście. Widocznie przypadli sobie do gustu, a że był nadzianym maniakiem, więc odpalił drugiemu maniakowi różanemu z dalekiego kraju niekiepską forszę.

— Ten maniak przyjeżdżał do Polski?

— Borowski jeździł do Francji. Pierwszy raz z wycieczką, drugi na prywatne zaproszenie tego Francuza. Co prawda wydział finansowy rozliczył Borowskiego, ale on miał w nosie wydział, wylegitymował się ze swoich dochodów, niemałych zresztą, ponieważ wziął nagrodę ministra, otrzymał też kilka dziesiąt tysięcy za patent, no i jako dyrektor do spraw naukowych pobierał regularnie godziwą pensję. Zapłacił raz podatek wyrównawczy, otworzył konto „W” i teraz może pozwolić

sobie na prowadzenie życia z procentów, mając w odwodzie konto.

— Szczęściarz, co? Sto tysięcy dolarów na ładne oczy.

— Na ładne róże — sprostował Żabicki. — Zostań hodowcą amatorem, może też ci ktoś coś odpali.

— Daj spokój. Nie czas na żarty — mruknął Andrzej. — Lepiej powiedz, komu i za co Borowski tak się podobał, że uznali go za zasłużonego?

— Działalność partyzancka. Nawet ofiarowano mu Krzyż Walecznych, ale odmówił.

— Budujące. A serio?

— Mówię serio. Otóż Borowski trafił do konspiracji w czterdziestym pierwszym jako młody, dwudziestoletni chłopak. Pozyskał sobie zaufanie dowództwa, ma na swoim koncie wiele udanych akcji bojowych. Wyróżniał się brawurą i odwagą, był oddany sprawie. Zawdzięcza mu się wiele. Pod koniec czterdziestego drugiego okręg przeżywał ciężkie chwile, ktoś sypał, i właśnie Borowskiemu udało się rozpracować i wykryć prowokatorów. W czterdziestym trzecim przeszedł do lasu i objął dowództwo oddziału. I znowu chwalebne czyny, lista zasług Borowskiego wydatnie się zwiększyła.

— Słucham, słucham i odnoszę wrażenie, że twoja opowieść dotyczy zupełnie kogoś innego — powiedział Andrzej.

— A jednak dotyczy jednej i tej samej osoby. Sprawdź w archiwach, same superlatywy.

— Za co miał otrzymać Krzyż Walecznych?

— Za swoją ostatnią akcję. Jego oddział, dokonując zamachu na generała von Bramstatera, zginął w zasadzce. Ocalał tylko „Olgierd”, bo taki pseudonim nosił Borowski. I relacja o tych ostatnich zdarzeniach jest relacją samego Borowskiego, ale nie widzę powodu, żeby w nią wątpić, bo nikt dotąd w nią nie wątpił. Otóż w styczniu czterdziestego czwartego roku oddział „Olgierda” wziął do niewoli niemieckiego oficera łącznikowego, który ujawnił rzecz doniosłej wagi, wskazał mianowicie czas, kierunek i trasę przejazdu von Bramstatera, który miał wieźć do sztabu ważne plany operacyjne. Informacja oficera okazała się prawdziwa, poza jednym, rozstrzygającym o losie oddziału, szczególe. Generałowi zamiast spodziewanej nielicznej obstawy towarzyszył silny oddział, i chociaż w trakcie potyczki von Bramstater zginął, a partyzanci przejęli dokumenty, to już nie było odwrotu. „Olgierd”, sam ranny, wydał rozkaz jednemu ze swoich chłopców, o romantycznym pseudonimie „Róża”...

— Jak?! — krzyknął Andrzej.

— Co ci się stało? Zbladłeś?

— Nic, nic. Mów dalej szybko!

— Ależ, Andrzej...

— Mów! — krzyknął.

— „Róża” był tylko lekko ranny, miał więc szansę się przebić. „Olgierd” rozkazał mu zabrać dokumenty i za wszelką cenę dostarczyć je dowództwu. Ale „Róża” domagał się dla siebie asekuracji, tchórzył, więc „Olgierd” zdecydował się go osłaniać. „Róża” jednakże zginął, a oddział Niemcy wybili do nogi i nikt nie ocalał.

Dokumenty dostarczył „Olgierd”. Był ciężko ranny. Dokumenty okazały się niezwykle ważne i właśnie wtedy przedstawiono „Olgierda” do odznaczenia. Ale nie przyjął, odmówił, twierdząc, że to przede wszystkim jego chłopcy zasłużyli na medal.

— Róża — powiedział powoli Andrzej. — Pamiętaj o Róży. Pamiętaj o Róży.

— Andrzej? — Żabicki zaniepokoił się wyglądem przyjaciela.

— Więc to nie jest zakochana kobieta... tylko Róża właśnie. Pamiętaj o Róży.

— Słuchaj, może ty jesteś chory?

— I nie ma żadnych świadków? Nikogo? Wszyscy zginęli. Róża też? Jak zginął Róża?

— Słuchaj, ty jesteś naprawdę chory. Jacy świadkowie? Drzewa, wiatr? Nawet drzewa tam nie ocalały, teren uległ takim zniszczeniom, że w dwa lata po wojnie zamieniono go na ziemię uprawną i teraz rośnie tam żyto albo kartofle.

Świadkowie! Borowski szukał ich uparcie, długo, mając nadzieję, że może ktoś żyje, ogłaszał anonsy w prasie, w radio, wszystkimi możliwymi sposobami.

— On nie szukał. On sprawdzał.

— Sprawdzał?

— Tak. Chciał być pewien, że nikt nie żyje. Nikt! A jednak ktoś przeżył.

PAMIĘTAJ O RÓŻY. To Róża albo ktoś, kto zna jego dzieje, albo zna przeszłość Borowskiego.

— Może mi raczysz wyjaśnić? — powiedział urażony Żabicki.

— Pąsowy pąk róży. Świeżo zerwany. Jeszcze z kroplą rosy porannej. Rzucony na stolik, na tarasie. Karteczka pokryta technicznym pismem: PAMIĘTAJ O RÓŻY I ten jego atak. Teraz rozumiem, to był atak strachu, którego nie potrafił ujarzmić. On się boi, on wpadł w sidła strachu. Boi się Róży. Więc Smuga, który wynurzył się z labiryntu krzewów, z powitalną różą w dłoni, był jego śmiertelnym wrogiem, wywołał też strach. Pamiętaj o Róży, kim jest Róża? Dziś rano, Stefan — mówił chaotycznie, gorączkowo — dziś rano! pamiętasz? Szukaliśmy popielniczki, chcieliśmy wygasić te cholerne papierosy, pamiętasz? Ten śliczny lekki stolik na tarasie? Po-deszliśmy, ale nie było na nim popielniczki. Był w ogóle pusty. Nic na nim nie leżało. Kiedy wróciłem do Borowskiego, zaraz po twoim odjeździe, na tym stoliku leżała świeżo zerwana róża, jeszcze z kroplą rosy na płatku i z przypiętą do listka kartką, na której ktoś napisał: PAMIĘTAJ O RÓŻY. A Smuga...

— Po kolei, prokuratorze — przerwał ostro Żabicki, twarz miał ściągniętą. — Wszystko dokładnie, po kolei. Punkt po punkcie. I bez emocji. Rzeczowo. Zabawa w detektywa amatora skończona, wszedłeś na zbyt poważne obszary...

ROZDZIAŁ, SZÓSTY

Z^wykli, beznadziejni głupcy — myślał.

Po wyjściu prokuratora i kapitana zamknął się w swoim gabinecie, otoczony ciszą i półmrokiem, zastanawiał się, czy ze strony prokuratora lub kapitana cokolwiek mu zagraża.

Głupcy — myślał. — Głupcem był kapitan, bo milczał jak zaklęty, wyraźnie podporządkowując się temu młokosowi, prokuratorowi. Prokurator... Czy kompetencje prokuratora sięgają tak daleko, żeby bez nakazu rewizji grzebać w prywatnym kredensie? Ale prokurator jest też zwykłym głupcem, chociaż? Chociaż przejawia pewną dozę inteligencji, nawet bystry z niego facet. A jednak i on ostatecznie okazał się beznadziejnym głupcem. Ze mną bowiem nikt nie wygrał i nie wygra. Mój plan był doskonały. Jestem zawsze ponad. Głupcy! Cudowni, prostolinijni, nabrali się wspaniale, okpiłem ich, „pan też miał umrzeć”, połknęli moją przynętę.

Zadowolony i pewien siebie rozpierał się w fotelu. Był pełen pychy i pogardy. Sięgnął po swój sekretny pamiętnik i zapisał czerwonym flamastrem: „Dziś, dnia czternastego czerwca, uświadomiłem sobie, że jestem bezkarny. To podniecające uczucie. Ale jednocześnie zdałem sobie sprawę, że zmarnowałem swoje życie, rozmieniłem je na drobne”. Uśmiechnął się,

zastanowił i dopisał: „Ponieważ po raz nie wiem który doszedłem do wniosku, że świat wypełniony jest durniami. Ale to rozkosz, wiedzieć o tym. I wiedzieć, że się jest ponad”.

— Tak — powiedział na głos — to rozkosz.

Podniecające uczucie. Prokurator...

Nienawidził tego młokosa. Przez niego przeżył dziś moment strachu. Przez niego wyrwało mu się, że nastąpi koniec, że wszystko zostanie odkryte, a z taką precyzją obmyślany plan poniesie fiasko. Upokorzył go ten prokurator. Zmusił do obaw, do lęku. Przez niego tracił jasność myśli, zdolność logicznego rozumowania do tego stopnia, że dał się przyłapać w sprawach tych szklaneczek i wina. Pytania zdawały się być pozbawione związku, bezprzyczynowe, a tymczasem prowaodziły do określonego celu, prokurator zamierzał udowodnić, że pomysł z koktajlem nie był przypadkowy, lecz z premedytacją zaaranżowany. Borowski zobaczył siebie, jak wyciąga z kredensu shaker, tacę, pięć szklaneczek, przeciera je pedantycznie z kurzu, sprawdza pod światło, czy lśniące, potem ustawia na barku. Przygotowuje te naczynia zgodnie ze swoim planem, a madere, którą Anna najchętniej używała do swojego koktajlu, zastępuje innym, ciężkim i słodkim winem. Specjalnie wędruje do piwnicy po aleatico. Anna musi znaleźć wszystko pod ręką, żeby jego plan przebiegał sprawnie i szybko, bez zakłóceń, musi znaleźć przyszykowane alkohole, wino, puszkę soku pomarańczowego i puszkę soku cytrynowego. Nie powinna płatać się po mieszkaniu — już nie swoim — w obecności Ewy. Prokurator, ten głupiec, zwiódł go swymi pytaniami, osaczył, i ręce zaczęły mu drętwieć z upokorzenia, że pozwolił się podejść, i ze strachu, bo się zaplątał we własnych odpowiedziach. No, a potem ta demonstracja przy stole, ten głupiec mu groził, zaś groźba była jednoznaczna, jawna, i co gorsza, podparta dowodem tak przekonywującym, że nawet dziecko nie

miałoby żadnych wątpliwości, że Anna z tego miejsca nie miała żadnych możliwości manipulowania przy szklance Ewy. Gdyby Smuga tak nie pośpieszył z uprzejmościami, to Ewa musiałaby zrobić miejsce koło siebie. „Usadził pan swoją byłą żonę w niewłaściwym miejscu, panie inżynierze” — słowa prokuratora zabrzmiały ostrzeżeniem. I wtedy przyszło olśnienie, które zwróciło spokój, pewność siebie, właśnie fakt, że „usadziłem” Annę w niewłaściwym miejscu jest dla mnie okolicznością sprzyjającą, gdybym działał z premedytacją „usadziłbym” Annę obok Ewy. A to, że Anna z tego miejsca nie mogła manipulować przy szklance nie jest dowodem przeciwko mnie. Pewność siebie przerodziła się w pychę, gdy usłyszał od prokuratora, że już wiedzą. „Zresztą nie możemy pana podejrzewać, ponieważ podczas tej kolacji pan też miał umrzeć”, rozpiął role tym głupcom, rozdał i teraz grają je posłusznie.

Pomysł z cyjankiem był znakomity i będziecie grać dalej swoje role — myślał, żegnając się z prokuratorem. — Ty stary głupcze — myślał, podając rękę kapitanowi. Nawet nie potrafiały wyciągnąć odpowiednich wniosków, nawet przestali się interesować ampulką, odpieczętowali ją — dalej, Dominika będzie mogła sprzątnąć. Cóż za głupcy, a on ich traktował jak partnerów, stracili zainteresowanie dla ampulki, a przecież to jasne, że Anna nie miała możliwości, aby się tej ampulki pozbyć, może sądzą, że ją połknęła? — myślał ironicznie, pogardliwie. A przecież przeżył taki moment lęku, że aż pociemniało mu o oczach. Gdy opadła woda z muszli klozetowej, wtedy w jednej chwili, uświadomił sobie rozmiar swojego błędu. Zniszczył dowód rzeczowy. Miał tylko jedną ampulkę, atak nerek symulował bezbłędnie, i ten osioł, prywatnie wezwany lekarz, opłacony potrójną stawką, dał się ubłagać i przepisał morfinę, ale to była jedna, jedyna ampulka. Stracił ją w tak nieprzemysłany sposób, bez zastanowienia. Plan był formalnie prosty, wlać morfinę do koktajlu, ale technicznie trudny do wykonania. Jak przeprowadzić skomplikowaną operację, a mianowicie otworzyć ampulkę,

przebrać jej zawartość do szklaneczki Ewy na oczach wszystkich? Nie miał talentów prestidigitatorskich. Musiał tę skomplikowaną czynność jak najbardziej uprościć, aby była bezpieczna. Znalazł w apteczce płaską, dobrze przylegającą do dłoni buteleczkę. Przebrał morfinę. Pieczołowicie, długo oczyszczał blat biurka. Pustą ampulkę zaniósł do ubikacji, spuścił wodę. I zrozumiał, że popełnił fatalny, nie do wybaczenia błąd. Pochylony nad muszlą patrzył tępo w ściekającą wodę. Ręce mu zesztywniały. — Ubranie — pomyślał z prześwieceniem nadziei. Ubranie — w myśl planu — zamierzał na tychmiast wysłać przez Dominikę do pralni pozbyć się tego ubrania, na wszelki wypadek, gdyby komś milicji zachciało się sprawdzać, wystarczyłby mikroskopijny okrusz szkła, opiłek, żeby podejrzenia padły na niego — a on miał pozostać poza wszelkimi podejrzeniami, myślał nawet o takich szczegółach, żeby pozbyć się ubrania. Ubranie — błysk nadziei — może znajdzie na ubraniu, może na biurku ocalał jakiś okrusz szkła, choćby okruszynę, wystarczy... Znalazł maleńki trójkątny odprysk, który przyczepił się do rękawa marynarki, widocznie dotknął powierzchni biurka. Odechnął z ulgą. Hołubiąc

wprost tę kruszynkę szkła, zaniósł ją na barek. Niech się udławia. Otarł pot z czoła. Miałem szczęście — pomyślał. — Ostatecznie nic się nie stało, należy teraz zmienić tylko plan. Musi tak zaaranżować sytuację, żeby brak ampułki dał się logicznie uzasadnić. Anna będzie musiała opuścić jadalnię po rozlaniu koktajlu. W tym momencie, nie w innym. Pretekst trzeba będzie znaleźć wiarygodny, niewzbudzający podejrzeń. Na przykład usłyszę telefon. Pójdę, odbiorę, powiem, że to do niej. Anna wyjdzie odebrać, to wystarczy na użytek milicji. Pewno się zdziwi, że to telefon do niej, nie szkodzi. Powiem z niesmakiem, że to jakiś mężczyzna. Uznają ją za bezczelną, nie dosyć, że zjawia się nieproszona, to jeszcze do cudzego domu dzwonią do niej obcy ludzie. Powiem: „Moja droga, nie znam powodów, dla

190
których udajesz, że nie było połączenia, to twoja osobista sprawa". Tak — postanowił Borowski — telefon zadzwoni w momencie, kiedy będziemy wznosić toast. Może to być nawet toast za zdrowie Anny. Czemu nie?

Torebka — pomyślał — Zaraz po jej przyjsciu zabiorę torebkę i zostawię z holu. Wyjdzie po nią. Im więcej będzie się ruszać, tym lepiej.

I był już zadowolony. Sprowokuje sytuację, która zmusi Annę do opuszczenia jadalni, a brak ampułki wytłumaczy sobie prosto i logicznie: zniszczyła ampułkę, pragnąc zatrzeć ślady zbrodni. A ja — cały czas w cieniu. Ja — nie istnieję. „Ale to rozkosz, wiedzieć o tym. I wiedzieć, że się jest ponad” — odczytał na nowo zdanie, podkreślił czerwoną, grubą kreską „ponad”. — Wszelkie niepokoje okazały się zbyteczne, — pomyślał, zamknął notatnik, schował, odłożył czerwony flamaster i strzepnął pyłek kurzu z blatu biurka.

A zresztą — pomyślał — jeżeli nie chcą pożreć Anny, niech wybierają. Mają w kim. Na przykład ta głupia dziwka. Może już wiedzą, czym się zajmowała? Jeżeli jeszcze nie wiedzą, niedługo rozszyfrują jej przeszłość. Kurewka, wycieruch, nawet notowana za kradzież. Ona rozlewała koktajl, ona podała napój gościom. Czyż nie jest prawdopodobna sytuacja, że była mewka postanowiła sprzątnąć swojego męża, tym bardziej że zapisał jej forszę? I załatwić pretendencję do reszty majątku? Forsa rzecz łakoma. A ponieważ nieźle sobie popiła, mogła się po prostu omylić. Wypić koktajl przeznaczony dla Anny. Skąd wiedziała, że Anna przyjdzie? To też proste, mogła ją zwabić pod jakimś pretekstem. Zresztą, co mnie to obchodzi, ci głupcy wymyślą jakąś kretyńską wersję wypadków, wynajdą motyw i okoliczności obciążające. Nie spodoba im się moja biedna, zmarła tragicznie żona, proszę, mają jeszcze Tadeusza. Nie udowodnią mi, że kiedyś okradłem tego cymbała z jego pracy, ale wystarczy informacja o wieloletnim

191

romansie z Krystyną. Zabójstwo na tle zazdrości! Motyw tragiczny: oszukiwany przez przyjaciela mąż truje z chęci zemsty młodą żonę i zamierza otruć również i swojego przyjaciela. Ba, nawet Krystyna może pasować, biedaczka, kochała mnie cierpliwie tyle lat, wierna i uległa jak pies, a kiedy ożeniłem się z inną, postanowiła zabić mnie i moją żonę.

— Macie w czym wybierać, panowie — powiedział.

— Dominiko! — zawołał, wychodząc do holu. Wsunęła się z jadalni, ze ściereczką do kurzu w rękę.

— Dominiko, jestem głodny. Dużo jedzenia. Dobrego jedzenia. Podaj do bawialni. Stołowy czuć jeszcze... — chciał powiedzieć trupem, ale opamiętał się. — Wietrzeli pokój całą noc, nie zamykaj okien.

Stara twarz gosposi rozjaśniła się uśmiechem ulgi.

— Nareszcie pan woła o jedzenie. A już się bałam, że z głodu zemrze. Cały dzień bez kęska.

Biedna pocziwina — pomyślał.

— Odgrzać panu obiad? Dobry obiad, zupka z porów, jak pan lubi.

— Idź, odgrzej.

Przeszedł do bawialni, nalał sobie kieliszek rieslinga i wypił. Wino gasi pragnienie i orzeźwia. A taki upał... Już zmierzcha, mimo to upał nie zelżał.

Pocziwina. Przywiązała się do mnie. Dobrze, że taka głupia, właściwie debilna.

Dlaczego dotąd nie przesłuchali Domini? Błąd, panowie. Uśmiechnął się.

Przyniosła mu na tacy zupę z porów, stek, sałatkę z cykori.

Jej jedyna umiejętność to gotowanie — pomyślał. Stek pachniał wspaniale, poczuł silny głód. Upił łyk zupy.

— Wspaniała — pochwalił.

— No i chwała Bogu, że smakuje — ucieszyła się.

— Siadaj. Będę jadł i będę z tobą rozmawiał. Ile lat już u mnie pracujesz?

Przycupnęła na brzegu fotela pokornie. Był dla niej wspólniały, bo był bogaty.

— Piętnaście, pan przecież wie, przyszedłam razem z Anną.

— Właśnie. Anna wniosła cię w posagu. Dobry to posag, zawsze byłem z ciebie zadowolony. Nie chciałbym cię stracić.

Spochmurniała.

— Kiedy ja już mówiłam panu. Chcę do Anny.

— A ja ci tłumaczyłem, prawda? Nie mogłaś być z Anną, bo Anna leżała chora, w szpitalu.

— Ale pan się jej wyrzekł. Pan ją opuścił. Prosiłam pana, żeby pan tego nie robił.

— Dominiko — powiedział cicho, życzliwie — przecież wiesz, że to Anna chciała rozwodu. Zapomniałaś?

— Ona, pan wie, ona już wtedy była chora. Ona nie wiedziała, co mówi. Pan nie powinien.

— Może masz rację. Może rzeczywiście nie powinienem był rozwodzić się z Anną. Teraz zostałem ukarany za grzech, jaki popełniłem.

— Pan Bóg jest sprawiedliwy. Ta kara się należała. I panu, i tej... — nawet nie chciała wymówić imienia Ewy — tej nowej. Niech pan teraz wróci do Anny. Ona wyzdrowieje i będzie pana dalej kochać i szanować. Takie miała oczy nieprzytomne, jak ją wyprowadzali. Dokąd ją wyprowadzali?

— Widzisz... — zaczął powoli, ostrożnie. — Oni myślą, że to Anna.

Nie rozumiała. Patrzyła tępo bladoniebieskimi oczami.

— Oni myślą, że Anna otruła moją żonę.

— I pan im na to pozwolił? — krzyknęła. — Pan pozwolił im tak myśleć?

— Dominika, ja nie jestem taki potężny, jak przypuszczasz.

— Tyle ma pan pieniędzy — powiedziała — tyle majątku.

— Pieniądze to nie wszystko — tłumaczył. — Słuchaj, oni myślą jeszcze, że Anna

mnie też chciała otruć. Rozumiesz? Niewiele brakowało, a ja też bym nie żył.

— To tamta chciała pana otruć — zawołała Dominika. — Widziałam to po niej. W jej oczach paliła się chciwość. Chodziła po całym domu, wtykała swój nos wszędzie i tymi oczyskami obmacywała meble, dywany, wszystko. Chciała mnie wyrzucić stąd, z tego domu, chciała go zaearnąć dla siebie, a on jest Anny, do niej należał i należy. ^k.

— Należał, należał — uspokajająco powiedział Borowski. — Dominiko, jeżeli kochasz Annę naprawdę, możesz jej pomóc.

— A pan?

— Ja robię wszystko, żeby jej pomóc. Rozumiesz? Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo kocham Annę.

— Pan jest taki dobry — powiedziała z zachwytem. — Pan nie zostawi mojej Anny.

— Nie zostawię, oczywiście. Ale ty jej musisz pomóc. Od ciebie wiele zależy. A potem nasza Anna wróci. I będziesz się nią opiekować jak dawniej. Jak kiedyś. Tylko nie płacz, prośszę cię.

Otarła łzy.

— Co trzeba zrobić? — spytała.

— Posłuchaj, oni będą cię pytać o różne rzeczy. Może jutro. Pamiętaj, nie wolno ci się ich bać. Jeżeli się wystraszysz i powiesz coś inaczej, przypadło, nie pomożemy Annie.

— Boję się tylko kary boskiej — odpowiedziała.

— Więc słuchaj. Odpowiadaj na ich pytania zgodnie z prawdą. Będą cię się pytali, czy znasz mnie dobrze, czy znałaś dobrze Annę, czy znałaś moją nową żonę. Mów szczerze, wszystko, co myślisz. Mów im, tak jak było. To Anna chciała rozwodu, a ja się nie upierałem, prawda?

— Pan był dla niej zawsze dobry. Nie żałował jej pieniędzy.

— Właśnie. Mów o tym. Mów im o chorobie Anny, o płonących się chciwością oczach Ewy. Mów im wszystko. Tylko jednego nie wolno ci powiedzieć, że przyłapałem Ewę w swojej sypialni z tym... no wiesz, widziałaś go.

— Dlaczego? Przecież ona chciała pana otruć? Puszczala się...

— Nie pytaj dlaczego — przerwał surowo. — To dla dobra Anny.

— Dla niej zrobię wszystko.

— I teraz słuchaj mnie uważnie: wolno ci mówić o Ewie same złe rzeczy, ale o tym jednym masz milczeć. I jeszcze powiesz im, że Ewa lubiła sobie wypić.

— Bo lubiła! To prawda, ile razy pan za drzwiami, ona do baru, i już sobie nalewa.

— Więc nie będzie grzechu kłamstwa. Powiesz, że lubiła wypić. Powiesz, że ja się bardzo na nią gniewałem, że tak sobie pociąga.

— Przecież to też prawda, pan się gniewał.

— Powiesz, że tego dnia, kiedy była kolacja, sama widziałeś, jak Ewa ukradkiem z piwnicy wynosi wino. Aleatico. Taka ciemna butelka, z czerwoną nalepką. Aleatico. Powtórz.

— Aleatico, aleatico — zamamrotała gospoia.

— Musisz zapamiętać tę nazwę. Aleatico. Widziałeś moją żonę, wyniosła ukradkiem z piwnicy butelkę wina aleatico. Widziałeś też, jak je piła. Zresztą,

Dominiko, to jest prawda. Ona mi to wino ukradła z piwnicy. To bardzo drogie wino. Wino, które lubiła Anna. Wino, które kupiłem specjalnie dla Anny. Miałem jej to wino zanieść z prezencie. Rozumiesz? Ukradła wino przeznaczone dla Anny. Musiała to zrobić, boje zostawiła na barku. Rozumiesz? Przyniosła wino z piwnicy, popiła sobie i butelkę zostawiła na barku. Otóż to jest bardzo ważne, bo oni mnie dziś pytali, dlaczego to wino, akurat to a nie inne, znalazło się między wódkami na barku. Przecież wiesz doskonale, Dominiko, jaki jestem porządny, akuraty, u mnie wszystko ma swoje miejsce. Nie wiedziałem, co im mam odpowiedzieć, w pierwszej chwili pomyślałem, że może sam to wino przyniosłem, do obiadu, ale później przypomniałem sobie, że na pewno nie przynosiłem. Przecież samo na barek nie wyskoczyło z piwnicy. Więc kto je tu przyniósł? Tylko Ewa. Ale musisz im powiedzieć, że widziałaś, na własne oczy widziałaś, jak Ewa to wino wynosi z piwnicy, popija je, a potem odstawia na barek. Powiesz im jeszcze, że sprzątając przed kolacją w jadalni, przecierałaś barek z kurzu i wycierałaś każdą butelkę. I butelkę z tym winem również.

— No, pan mi przecież każe zawsze przecierać każdą butelkę — powiedziała, ale spojrzała nieufnie. — I to ma być takie ważne dla Anny? To wino?

— Tak — powiedział — ponieważ oni myślą, że w tym winie była trucizna.

— Aha. Zapamiętam w takim razie. Aleatico, aleatico — wbijała sobie do głowy Dominika.

Wypił kawę, kieliszek koniaku. Czuł się świetnie.

Aleatico — pomyślał. — Teraz już, prokuratoro, będziesz musiał wyrzec się wersji, że pomysł z koktajlem należał do programu. Jeżeli bowiem zwątpisz chociaż w jeden element swojej układanki, zwątpisz też i w całość. Wino zjawilo się na barku przypadkowo i ta poczciwa Dominika udowodni, że zadziałał przypadek. A że na butelce nie ma innych odcisków palców niż Anny, „cóż, mój pan jest wymagający, skrupulatny; każdą butelkę muszę przetrzeć miękką flanelową szmatką”.

Wypił jeszcze jeden koniak. Znowu był pewny siebie i silny, niekaralny, niepokonany, triumfujący i zwycięski. Poradzi sobie także i z tym, kto przesyła róże. Pamiętaj o Róży. Świetnie.

Mogę pamiętać. Nie boję się ciebie, ty, kimkolwiek jesteś, człowiekiem czy upiorem. Oczywiście, jesteś tylko człowiekiem. Więc poradzę sobie z tobą. Znajdę cię, wytropię i zabiję. Jak? Nieważne. Najważniejsze, że strach minął. Po raz pierwszy myślał z takim spokojem: kimkolwiek jesteś, zabiję-

Długo smakował trzeci kieliszek koniaku. Właściwie pra-gnął, żeby Róża przyszedł. Zbyt długo znajdował się w jego władzy. Zbyt długo Róża wzbudzał strach.

Nie boję się. Znowu, jak dawniej, jak kiedyś, nie boję się nikogo.

Wyszedł do ogrodu. Już pociemniało, wieczór gęstniał, róże przybrały odcień głębokiej, doskonałej czerni. Przestał się ich obawiać. Kochał je znowu. Głosiły mu zwycięstwo i siłę. Patrzył na swój pogrążający się ogród bez lęku. Teraz może przyjść, bo czuł się gotowy. Usłyszał czyjeś kroki, skradające się ostrożne. Ktoś szedł ścieżką między różami. Niewidoczny, osłonięty przez róże.

Róża — pomyślał.

Był spokojny. Ruchy miał pewne, kiedy błyskawicznie przebiegł dróżką przy tarasie. Żaden kamyczek nie obsunął się spod stopy.

Ale kroki ucichły.

Zaczaiłeś się, Różo — pomyślał Borowski, wstrzymał oddech, znowu zapanowała cisza. Wsunął się między krzaki i zniknął ze ścieżki. Po chwili usłyszał, że ktoś ruszył. Ostrożnie, skradające

Róża — pomyślał. Zobaczył go w czerwieni. Leżał w kępach uschniętych, zwarzonych w mrozie wrzosów. Cały w czerwieni, tylko twarz nietknięta, jasna, młodzieńcza. Włosy miał lekko kręcone na skroniach i chłopięcy zarost, taki puszysty meszek na policzkach gładkich jak u dziewczyny. Puszek nad wargą. Legł na niej cień śmierci. Oczy umierającego, duże, dziewczynskie, błękitne, już mętniały.

Zabiję cię znowu. Teraz dokładnie i bez fuszerki — pomyślał. — Słuchał w napięciu, idący przystanął. I znowu cisza. Cisza. Boisz się mnie. Czaisz się.

Przesunął się między krzakami, zatoczył koło i znalazł się na tyłach głównej ścieżki. Dojrzał ciemny zarys postaci.

Skoczył. Uderzył całym ciałem w plecy obcego. Uchwycił szyję. Zadławił. ■

— Coś pan — wycharczał napadnięty. Czapka spadła mu z głowy. Zaśniła łysa czaszka Lelickiego, wykrzywiły się usta. — Coś pan? — zachrypiał Lelicki powtórnie, palce Borowskiego rozluźniły uchwyt i puściły.

— Do cholery! — ryknął Borowski. — Czemu się pan szwendasz po moim ogrodzie!

Lelicki sapał, chwycił głęboko oddech. Oczy mu łzawiły.

— Ale pan ma chwyt, panie inżynierze — odezwał się ochryple i dotknął swojej szyi. — Boli.

— Cholera, co wy tu robicie, Lelicki?

Lelicki przestępował z nogi na nogę. Jakby z namysłem zastanawiał się nad odpowiedzią. Oczy mu wciąż łzawiły, nie ocierał ich, tylko raz po raz dotykał swojej szyi. Łysa głowa drżała i kapka śliny w kącie ust. Wszyscy go w tej dzielnicy uważali za kretyna. Od pięciu lat pełnił funkcję człowieka do wszystkiego. Przyplątał się tu jakieś pięć lat temu, wiosną, i odtąd przychodził dzień w dzień. Najpierw go przepędzano, potem mieszkańcy okolicznych willi przyzwyczaili się do jego widoku, aż w końcu zaczęli obarczać go drobnymi pracami, to komuś dywany potrzepał, to trawniki przyszczygł, żywopłot przyciął, śmieci wywiózł. Borowski też często korzystał z jego usług. Lelicki był milczący, mrukliwy, powierzchowność miał odrażającą, zawsze brudny, w wytłuszczonych portkach, w równie wytłuszczonej kapocie, trochę głuchawy, ale chętny do pracy i staranny

— E... tego — zamamrotał Lelicki.

— Do diabła! — rzucił wściekle Borowski. — Mielicie szczęście, Lelicki. Ja złodziei tępię.

— E... tego — powtórzył głupawo i nagle uśmiechnął się, wyszczerzył żółte zęby.

— Ale pan ma chwyt, panie inżynierze. Aleś pan skoczył. Jak tygrys. — Zaśmiał się, wyciągnął rękę, chwycił Borowskiego za ramię. Borowski wyszarpał się z

obrzydzeniem. — He, He — śmiał się głupowato Lelicki — muskuły pierwszorzędne.

— Kretyn — mruknął Borowski. — Przyjdźcie do mnie jutro rano, znajdę wam robotę. I na drugi raz nie włóczcie się po cudzym terenie. Co was napadło? O tej porze?

— Pan inżynier chyba tak z nerwów — zachrypiał Lelicki. — Ja tak sobie tylko szedłem. Bo tego... Kazali panu oddać. — Stęknął, pochylił się, podniósł czapkę, nadział na głowę. — Ale teraz nie mogę znaleźć. Wypadła mi z ręki, jak pan skoczył.

— Co wypadło?

— Zaraz poszukam, zapłacili, trzeba oddać akuratnie — stęknął i znowu pochylił się, obmacując ziemię przy nogach. — O jest. To kazali oddać. Do rąk własnych. Agresywnie rozkwitła róża na długiej, wysmukłej łodyżce czerniała się kirem. Przy jej liściu, też ciemnym, aż czarnym, bielila się jasną plamą niewielkich rozmiarów karteczka.

— Kto? — zdołał tylko wykrztusić z siebie Borowski. Nogi ugięły się pod nim, pot oblał czoło.

— Kazali i tak se niosłem...

— Kto? Mów, bo cię uduszę!

— Kiedy kazali...

— Mów. Kto?

— Taki jeden. Szedł uliczką. Zaczepił i powiada: „Oddajcie panu inżynierowi”. Dwie dychy dał. „Oddajcie do rąk własnych”, powiada, „i powiedzcie, że to od Róży”. Jakiś stuknięty czy co? Ale dwa dychacze dał, zarobek łatwy. Tyle, aby zanieść, oddać i powiedzieć, że to od Róży.

— Coś jeszcze mówił? — pot zalewał oczy, usta dławily się śliną, kolana osłabły.

— Ja się boję — pomyślał Borowski, jednak się boję. Dlaczego?

— Ten pan będzie wiedział, o co chodzi, tak powiedział. Głupi gość, nie?

— Kiedy to było? Dokąd poszedł? A

— Dopiero co tu się kręcił. Jakby pan za ni* pognał, to może go pan i dogoni. Taki wysoki, szczupły, włosy jak len, lekko kręcone przy skroniach, oczy dziewczynskie, niebieskie i duże, policzki takie jakieś gładkie, bez zarostu, ładny chłopak, ale widać nie wszystkich ma w domu, nie? A jak idzie, to kołysze się w biodrach.

Pchnął Lelickiego, wyminął, wypadł na uliczkę. Jakiś mężczyzna, wysoki, szczupły znikł za rogiem. Pobiegł za nim. To on, Róża! Niebieskie oczy, włosy jak len, policzki gładkie, bez zarostu. Idzie, kołysząc się lekko w biodrach, bystry, uważny, czujny, nieufny mimo swoich dziewiętnastu lat, podejrzliwy, a więc zapłacisz mi za swoją nieufność do mnie, Różo. Zapłacisz mi za swój brak akceptacji dzielnego Olgierda, za swoje powątpiewanie, podejrzliwość, zapłacisz mi, bo byłeś zbyt wścibski, zbyt mądry, zbyt bystry. Zapłacisz mi, nawet nie umrzesz śmiercią bohatera, pozbawię cię złudzeń, i to będzie dla ciebie najstraszniejsze, ta świadomość, z jaką umrzesz, ty biedny podejrzliwy głupcze, otworzę przed tobą walizę i zobaczysz na własne oczy, za co giniesz, frajerze, i może wtedy stracisz fason, swoją hardość. Może wtedy ugną ci się kolana i oczy zaciągną bielmem

strachu, umierać tak podle, tak szmałtawe Będiesz patrzył na mnie, skamłając, żebrząc o łaskę życia dla siebie. Tamci, dzięki mojej łasce, mieli lżejszą śmierć, łatwiejszą, słyszysz, już po nich, już ostatnie wystrzały uciuchły, jaka cisza, słyszysz? Jeszcze jeden strzał, kogoś dobijają, zazdrość temu dobitemu, on sądził, że ginął za ideę, za ojczyznę. Ty wiesz, za co, przez kogo i dla kogo giniesz — dla mnie, a ja przecież nie jestem ojczyzną, jestem wielki, słuchaj o mojej wielkości, teraz do ciebie strzelę, ale nie między oczy, bo chcę, żebyś umierał długo, chcę, żebyś żebrał o zmiłowanie, chcę, żebyś skamlał, ślinił się ze strachu. Zawsze byłeś taki hardy, Rózo. Majaczę — pomyślał Borowski, usłyszał za sobą charakterystyczny, kołyszący się krok, przystanął, zaczerpnął tchu. — Majaczę — myślał, biegnąc uliczkami. Kluczył, uciekał przed tymi krokami, które dudniły za nim w ciszy wieczoru i osaczały go, ale kiedy odwracał się zniechęcony, tylko światło lamp ulicznych lśniło poświatą na drzewach, na jezdni, i nikogo, nikogo. Cisza.

Wydłużyły się cienie drzew. I światło lamp ulicznych wydało się Borowskiemu trupie, a pustka uliczka — przerażająca. Każdy cień stawał się Różą. Ogarnęło go teraz pragnienie mordy, zabijał każdy cień, każdego dopadał. Potknął się, upadł. Oszalałem ze strachu — pomyślał, zasłonił twarz, głowę. Czekał. Wiedział, że Róża jest blisko. Nieopodal. Kryje się teraz w tej ciszy. Zapłakał. Nie chciał umierać. Zataczając się z wyczerpania, wrócił do willi. Przed furtką widać było czarną postać Lelickiego i jaśniejszy punkcik na wysokości jego twarzy. Lelicki oparty o parkan palił leniwie papierosa.

— No i co? Znalazł go pan? Dopadł?

Zamykał za sobą furtkę, kiedy Lelicki powiedział:

— Niech pan się nie martwi, inżynierze, spotka go pan na pewno. Już niedługo. Róże, wszędzie róże. Apoteoza zwycięstwa. Ogarnięty furrią, gołymi rękami począł szarpać, miażdżyć, rozgniatać, niszczyć te czarne, ciche, milczące róże. Kopał, gryzł, dygotał — walczył. Nie czuł bólu, dusił się intensywnym, zapachem róż, charczał, rozgrywał, łamał. Wyrwać wszystkie, co do jednej, zabić, zabić, niech nie straszą, nie szydzą. Wiele czasu minęło, nim oprzytomniał. Powłókł się ku lśniącej nieskazitelną bielą willi. W lustrach holu zobaczy! upióra. Siebie. Przekrwione oczy, wybaluszone, oszalałe i usta czarne od ziemi i od krwi. Potem ręce, oglądał je długo, jak ślepiec zbliżając je na wysokość wzroku, były bez czucia, spuchnięte, porane kolcami róż, krwawe.

Zadzwoił telefon.

Róża — pomyślał.

— Karol? Halo? Mówi Krystyna. Jaka Krystyna — pomyślał.

— Karol, halo? Słyszysz mnie? Tu Krystyna.

— Co znowu za Krystyna? — rzucił słuchawkę. Z lustra patrzyła na niego twarz upióra. — Rozbić lustra — pomyślał. Telefon rozdzwoił się ponownie.

— Odczep się — powiedział.

— Muszę cię widzieć, Karol. Koniecznie.

— Odczep się, rozumiałaś?

— Karol. Ja widziałam. Ja widziałam coś... wczoraj. Zesztywniał.

Będę się teraz bał wszystkiego i wszystkich — pomyślał — nawet tej idiotki.

— No?

— Widziałam coś. Coś, co chyba dotyczy ciebie i Anny. Karol? Jesteś tam? Jesteś? — ponowiła pytanie, bo milczał.

— Co widziałas?

— Nie przez telefon. Był u mnie prokurator, rozumiesz? Ale mu tego nie powiedziałam.

— Przyjdę. Jutro. O ósmej.

— Karol, ja...

— O ósmej — odłożył słuchawkę. Widziała? Co? Jak wlewałem morfinę? Nie, tego nie widziała, gruchała tak czule z Anną. — Szantaż — pomyślał. — Co mnie to wszystko obchodzi, Anna, Krystyna, prokurator, kapitan; co mnie to obchodzi teraz, kiedy Róża jest znowu, gdzieś obok. Blisko, może na wyciągnięcie ręki? Poszedł jak najciszej na górę, żeby nie obudzić Dominiki. Ta sprawa jest zamknięta, w porządku, wygrana — ta sprawa należy już do czasu przeszłego. Rzucił się na tapczan. Cóż go może obchodzić śmierć Ewy, aresztowanie Anny, jego życie, tak doskonale wymodelowane, rozpadło się, on rozpadł się, ginął. Strach zamknął go szczelnym pierścieniem, dusił, Róża, tylko Róża jest ważny-

Co się ze mną stało? Czy to ja?

Był niczym. Był zerem, pospolitym i mizernym, jak inni. Płakał ze strachu. Pocił się ze strachu. Żeby móc cofnąć czas! Jeszcze kilka godzin temu przeżywał uniesienie z powodu własnej wielkości, dzielił świat na: ja i reszta. Reszta to ci głupcy, i czuł się w mocy kierować ich życiem. Głupcy stano-wili o prawie, o sprawiedliwości.

Sprawiedliwość, pojęcie śmieszne, komiczne, bo wymyślone dla asekuracji przez tchó-rzów i głupców. Czymże ona była, jeżeli dotąd udawało mu się ją tak wystawiać do wiatru? Metafizyka. Przez trzydzieści kil-ka lat bawił się z tą sprawiedliwością w chowanego. Była śle-pa, głucha i niema. Tak myślał jeszcze kilka godzin temu, eu-forycznie i nieprawdziwie, poczuł się na tyle silny, żeby skończyć sprawiedliwości do gardła. I skoczył pewnie, jak za starych, dobrych czasów. Dłonie miał sprawne, silne, a ruch doskonale wymierzony. Skoczył, ale to nie był Róża, lecz ten kretyn Lelicki. Róża jednak zmartwychwstał w opisie Lelickiego, zmaterializował się, stał się rzeczywisty, realny, żył, a przecież żyć nie powinien. Żył cały czas, może mijali się kil-ka razy na dzień, dlaczego się czaił, zamiast uderzyć? Zamiast skorzystać choćby z tego asekuracyjnego pojęcia — sprawiedliwość — i wymierzyć ją na własną rękę? „Spotka go pan na pewno. Już niedługo”.

Zmrużone chytrze, małe, wyblakłe oczka. Obłeśny uśmiech. Ryża, odrażająca szczecina dawno niegolonego zarostu na brudnych, obwisłych policzkach.

„Spotka go pan na pewno. Już niedługo”.

Wysoki, szczupły. Włosy jak len, kręcone przy skroniach. Gładkie policzki, niebieskie, duże dziewczynskie oczy.

Ale przecież... Do diabła! Przecież minęło od tamtego dnia ponad trzydzieści lat, i jeśli nie zabiłem Róży, on musiał się postarzyć o te trzydzieści lat. Dzisiaj z pewnością nie miałby wyglądu młodzieniaszka.

„Jak idzie, kołysze się w biodrach”. 1

Nawet chód nie zmieniony. Dokładność opisuttóży sprzed trzydziestu lat.

Skąd Lelicki zna Różę sprzed trzydziestu lat?
Skąd? Skąd?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Upał gęstniał. Nad miastem wisiała ciemna, nierucho- ma chmura — zapowiedź burzy, kładła się nisko nad dachami wieżowców i zacieśniała horyzont. Andrzej obserwował tę chmurę od pary minut z okna gabinetu Żabickiego. Z dziesiątego piętra rozległa panorama miasta wyglądała imponującoroziskrzona i kolorowa. Nie będzie burzy — pomyślał Andrzej. Upał zatykał i du- sił, to po prostu chmura pyłu otoczyła miasto. Serce go zakłu- ło. Niedobry dzień dla ludzi chorych na serce. Nie będzie dziś w ogóle palił.

— Chciałbym go zobaczyć — powiedział.

— Ja również — odparł Żabicki. Przetarł oczy, łzawiły od niewyspania. Zarwał już drugą noc. Druga nieprzespana, de- nerwująca noc.

Ja przynajmniej choć trochę spałem, choć parę go- dzin — pomyślał Andrzej.

— Róża — powiedział Andrzej. — Czy jest Różą?

— Kimkolwiek by był, nie wolno nam go spłoszyć.

— Wiem... ale wydaje mi się, że on jest właśnie Różą.

— Teraz nie powinno ci się nic wydawać. Teraz przeszli- śmy do ofensywy, więc żadnych „wydaje się”. We wszystkim

musimy mieć stuprocentową pewność — surowo, z naganą w głosie powiedział Żabicki.

— Jesteś po prostu zmęczony — uśmiechnął się pojednaw- czo Andrzej, a Żabicki odpowiedział mu też uśmiechem, nie-lekkim, zmęczonym, i przetarł znowu oczy. Od wczoraj i od momentu, w którym Żabicki zarządził sta- łą obserwację willi Borowskiego, zaszło wiele ■dumiewają- cych wypadków. O godzinie dwudziestej drugiej* trzydzięci wywiadowca nadał pierwszy meldunek, w którym poinformo- wał, że Borowski wyszedł na taras willi. Minutę później zaś na teren posiadłości wszedł mężczyzna w starszym wieku, wyglądający na włóczęgę. Mężczyzna ten zachowywał się po- dejrzanie, rozglądał się na boki, jakby sprawdzał, czy nie jest śledzony. Kilka minut potem z ogrodu dały się słyszeć jakby odgłosy walki. Wywiadowca usłyszał, jak nieznajomy powta- rza chrapliwie: „Co pan, inżynierze?”. Następnie przybysz od- był z Borowskim rozmowę, w wyniku której

Borowski wypadł na ulicę Lipową jak oszalały i zachowywał się tak, jakby albo kogoś ścigał, albo przed kimś uciekał. Czaił się pod drzwiami, biegł przed siebie, skręcał niespodziewanie w odchodzące od Lipowej inne uliczki, kluczył. Wreszcie upadł i leżał długo, osłaniając głowę. O godzinie dwudziestej trzeciej dziesięć wrócił na teren swojej posiadłości, wymienił kilka krótkich zdań z owym starszym człowiekiem, który jakby czekał na Borowskiego, w każdym razie nie oddalił się nigdzie, stał przed furtką prowadzącą do ogrodu. Ta wymiana zdań znowu była gwałtowna, Borowski odepchnął mężczyznę, pobiegł w stronę willi i zamiast wejść do domu, zaczął wyrywać i deptać krzaki róż. To furiackie niszczenie trwało długo, ponad godzinę, wreszcie, już po północy, Borowski udał się do willi i światła w oknach pogasły. Do rana panował spokój, a o godzinie piątej pojawił się znów ów starszy mężczyzna, który zerwał różę w ogrodzie Borowskiego, doczepił do niej kardeczkę, a następnie podrzucił na tarasie. Spokojnie opuścił ogród Borowskiego, udał się do willi naprzeciwko, i do tej pory, a dochodziła godzina dziesiąta, przycinał żywopłot.

Żabicki zerwał Andrzeja na nogi o szóstej rano, nie zważając na protesty babki. Cały wydział operacyjny pracował zresztą od bladego świtu.

I Żabicki, i Andrzej wiedzieli już, że Anna Borowska jest niewinna. Ustalono bowiem, że przedwczoraj, w trakcie tragicznej kolacji, tylko jeden abonent łączył się z numerem Borowskiego. A więc nikt nie dzwonił do Anny. Był to blef Borowskiego, w gruncie rzeczy dość naiwny.

— Mamy go — powiedział Żabicki posepnie, bez triumfu. — Mamy tego drania. Teraz możemy mu udowodnić, że to on otruł Ewę, a nie jego była żona. Możemy mu udowodnić, że zamierzał z premedytacją skierować podejrzenie na Annę i że zwabił ją do domu pod jakimś pretekstem, po prostu pewno kazał jej przyjść i okazywać absolutne posłuszeństwo. Smugów zaprosił też wyłącznie po to, aby mieć wiarygodnych świadków.

— Nie gorączkuj się, ponieważ nie wiemy, dlaczego otruł Ewę — przerwał Andrzej i westchnął. — Zajmijmy się raczej identyfikacją owego starszego mężczyzny. Kim jest? Czy to Róża, czy posłaniec Róży? A może jakiś zwykły szantażysta? W każdym razie ten człowiek właśnie, kimkolwiek jest, ma klucz do przeszłości Borowskiego. A w tej przeszłości należy szukać motywów zbrodni. Borowski nam nie ucieknie, zresztą on jest pewny siebie, tak przekonany, że daliśmy się nabrać na jego mistyfikacyjne alibi, że uważa nas za skończonych głupców, których wyprowadził w pole.

— Sam jest, na nasze szczęście, skończonym głupcem — mruknął Żabicki. Ścienny zegar wybił godzinę dziesiątą.

— Powinna już tu być — powiedział Andrzej.

W tej samej sekundzie otworzyły się drzwi i sierżant wprowadził Annę Borowską. Plecy miała trochę przygarbione, głowę wtuloną w ramiona, oczy pełne lęku.

— Możecie odejść — polecił Żabicki sierżantowi. A kiedy funkcjonariusz wycofał się, powiedział do Anny:

— Jest pani wolna. Bardzo nam przykro, że przetrzymaliśmy panią te czterdzieści osiem godzin.

Nie zrozumiała. Zacisnęła kurczowo dłonie. Patrzyła

przed siebie, omijając wzrokiem Żabickiego i Andrzeja, patrzyła gdzieś poza ich głowami pustymi, przestraszonymi oczami. ^

— Proszę pani... — Andrzej podsunął jej krzesło, usiadła. — Jest pani wolna. Uwolniona całkowicie z podejrzeń. To nie pani otruła Ewę Borowską. Otruł ją pani były mąż, Karol.

Drgnęła, skuliła się jeszcze bardziej.

— Proszę pani — ciągnął Andrzej — czy pani mnie rozumie? Słyszysz? Milczała bardzo długo.

— A Dominika? — zapytała szeptem. Wyprostowała się. Oczywiście rozeszły się nienaturalnie, zogromniały.

— Stare kobiety — powiedziała obcym, drewnianym głosem — mogą umrzeć nagle. Takie stare kobiety umierają nagle, z byle głupstwa. Na niestrawność. Spadają ze schodów i łamią sobie kręgosłup. Pamiętaj, Anno. Takie stare kobiety umierają bez przyczyny. Chcesz, żeby Dominika żyła, Anno? Pragniesz tego przecież. Kochasz ją. Więc pamiętaj: takie stare kobiety jak Dominika... — mówiła, a Żabicki już podnosił słuchawkę, już wykrecał numer.

W parę minut potem pogotowie zabrało Annę Borowską, powtarzającą wciąż, że stare kobiety, takie stare kobiety jak Dominika, mogą umrzeć nagle, niemal bez powodu. Nie opierała się sanitariuszom ani lekarzowi, pozwoliła prowadzić się bez sprzeciwu, obojętna na to, co się z nią dzieje, co z nią robią — zajęta tylko tą jedną myślą: stare kobiety mogą umrzeć nagle, bez powodu.

Milczeli długo, głęboko wstrząśnięci.

Więc to tak — pomyślał Andrzej. Mimo upału poczuł chłód. — Szantażował ją śmiercią Dominiki. Uważał, że jest bezpieczny. Nawet gdyby komuś o tym powiedziała, kto by jej uwierzył, szalonej? Po prostu urojenia chorej umysłowo.

— Cokolwiek stanie się z Anną Borowską — powiedział Żabicki z pasją — czy odzyska świadomość, czy nie, nie spóźnie, dopóki temu człowiekowi nie udowodnię czarno na białym całej jego winy. Całej! Żeby nie mógł powiedzieć nawet jednego słowa na swoją obronę.

— To nie będzie takie trudne — zauważył Andrzej. — Borowski jest typem zarozumiałego, pewnego siebie bufona. Nie dopuszcza do siebie myśli, że mógłby popełnić jakiś błąd. A jeżeli chodzi o urojenia Anny, to od razu, gdy tylko lekarka powiedziała mi o tych dziwnych głosach przez telefon, odzywających się z punktualnością zegarynki, zacząłem podejrzewać Borowskiego. Ta dokładność owych rzekomych głosów pasowała mi do jego skrupulatnej pedanterii. Prawdopodobnie wyobrażał sobie, że w ten sposób będzie bardziej demoniczny. Sytuacja ułożyła się dla niego dogodnie. Chorej psychicznie kobiecie można wiele wmówić, wiele zasugerować, przy jednoznacznej bezkarności. Opowie komuś? Tym lepiej, będzie to jeszcze jeden dowód, że jest wciąż chora. Myślę zresztą, że Borowski nie liczył na szybkie opuszczenie szpitala przez Annę. Dopóki Anna pozostawała w szpitalu, dopóty czuł się całkowicie bezpieczny. Tymczasem wiadomość, że on założył sprawę o rozwód, dokonała cudu i Anna powróciła do równowagi — na tyle, że lekarze zdecydowali wypisać ją do leczenia

ambulatoryjnego. A ten fakt krzyżował plany Borowskiemu. Nie chciał Anny w swoim życiu. Zagroziła mu. Kupił więc jej mieszkanie, świetne posunięcie, bo dzięki temu zyskał sobie pozytywne opinie dobrego, wspaniałomyślnego męża, który troszczy się nawet o swoją byłą żonę. Kupił więc mieszkanie, założył telefon po to, aby „czuwać” nad Anną. No i czuwał. W parę dni po powrocie ze szpitala Anna zaczęła odbierać telefony.

— Wynikałoby z tego, że Borowski, posługując się Anną jako biernym narzędziem, zamierzał już wtedy zabić swoją nową żonę. Ożenił się tylko po to, żeby zabić? No, nie przesadzaj — zaproponował Żabicki.

— Wcale tego nie sugeruję. Myślę, że ożenił się kierowany autentycznym uczuciem. Przecież on wówczas nie wiedział, że Anna opuści szpital. A

— Jeżeli kochał, to czemu zabił? \

— Może właśnie dlatego, że kochał. Że wyobrażał sobie, że jego nowa żona jest jak lilia, czysta, niewinna, a tymczasem poznał jej przeszłość. Zostawmy na razie motyw. Natomiast z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy już teraz ustalić moment, w którym Borowski powziął decyzję zamordowania Ewy. Testament! Sporządzając testament, wiedział, że zabije Ewę, a podejrzenie zrzuci na Annę. Ten testament również mnie od początku niepokoił. Cóż za zastanawiający zbieg okoliczności: mężczyzna w pełni sił witalnych na dwa tygodnie przed zabójstwem swojej młodej, nowej żony udaje się do notariusza i spisuje testament, dzieląc swój majątek pomiędzy byłą i aktualną żonę, z których pierwsza ginie, a druga zostaje podejrzana o dokonanie zbrodni. W dodatku obie spadkobierczynie wiedzą o zapisie. Annie można więc dorzucić jeszcze jeden motyw, a mianowicie: pieniądze. Anna nie chciała umierać. Mimo telefonów, sugestyjnych namów Borowskiego broniła się. Namawiał ją, żeby popełniła samobójstwo. Dzień po dniu, a ona ciągle żyła, ciągle podnosiła słuchawkę. Skończyć z Anną i z Ewą za jednym zamachem, to był jego plan, całkiem pomysłowy zresztą. Toteż jestem przekonany, że kiedy powziął decyzję zamordowania Ewy, w swoich telefonach do Anny począł szantażować ją śmiercią Dominiki. Teraz mu była potrzebna Anna żywa i posłuszna jego woli. Trzeba sprawdzić w centrali telefonicznej wszystkie połączenia z numerem Borowskiej, założę się, że przede wszystkim to on do niej wydzwaniał.

— A jeżeli dzwonił z miasta? Z jakiejś budki telefonicznej?

— Z taką punktualnością? Nie, to nie pasuje do jego charakteru, on był cały czas pewny siebie. Nie przewidział takiej ewentualności, że znajdzie się ktoś, kto potraktuje słowa Anny serio. Nawet lekarka uznała te głosy za urojenia. Natomiast Anna poddała się dopiero w momencie, gdy Borowski zagroził jej śmiercią Dominiki. Kochała Dominikę, a ta była w rękach Borowskiego. Chciała ją uratować, zastosowała się więc do jego poleceń. Przyjechała w określonym dniu, na określoną godzinę. Borowski zaprosił Smugów jako świadków wydarzeń. Wiedział, że Smugowie, znając Annę, będą świadczyć przeciwko niej. I tu się też pomylił. Po pierwsze: nie pomyślał o tym, że Tadeusz Smuga nienawidzi go tak bardzo, że nawet wbrew oczywistym faktom będzie świadczyć przeciwko niemu, że skorzysta z okazji, aby dać upust swojej nienawiści. Po drugie: okazało się, że Borowski nie zna, mimo wieloletniego romansu, Krystyny Smugowej — okazała się zbyt uczciwa i zbyt

nieszczęśliwa, żeby czepiać się tej szansy, jaką on jej podsunął, i dobijać Annę. Smugowa nigdy nie traktowała Anny jako swojej rywalki. On się w ogóle nie zna na ludziach, ten Borowski. Dał się nabrać cwanej dziwce. Uwierzył, że jest cnotliwą panią. Poza tym nie potrafił dopatrzeć się w Smudze przeciwnika dla siebie, zlekceważył go, a o Krystynie sądził, że jest tak śmiertelnie w nim zakochana, że rzuci się na Annę. Anny też nie docenił, bo przecież mu nie uległa.

— Nas też — powiedział Żabicki.

— Nas uważa pewno za ostatnich głupców — uśmiechnął się Andrzej.

— A siebie?

— Jest pedantem — zauważył Andrzej. — Pedanteria jest cechą charakterologiczną. Zazwyczaj pedanci bywają niesłychanie despotyczni. Nie liczą się z opinią innych, a swoje zdanie uznają za rozstrzygające i jedynie miarodajne.

— Twoja babcia jest despotką, a daleko jej do pedantki — uśmiechnął się Żabicki.

— Despotką tylko w stosunku do ciebie, bo chce mnie uchronić przed twoimi pomysłami — roześmiał się znowu Andrzej, lecz zaraz spoważniał. — Myślę, że ta dziewczyna żyła jeszcze, kiedy Borowski poszedł do łazienki. Morfina nie zabiła od razu. To Smuga zwrócił uwagę na ten fakt, bo nieobecność Borowskiego trwała dość długo, a według Smugi zbyt długo. Dlatego sądzę, że on czekał, aż Ewa umrze. Potem martwą zaniósł do jadalni. To była doskonała demonstracja psychologiczna i Smugowie w pierwszym szoku jej ulegli.

— Pracuję w swoim zawodzie ponad dwadzieścia lat. Miałem do czynienia z najrozmaitszymi przestępcami. Widywałem małe, pospolite kanalie i tępych zbrodniarzy, zbrojeńców i psychopatów, lecz nigdy dotąd nie spotkałem się z tak ponurą sprawą i tak ponurym sprawcą. Po prostu doświadczam czegoś w rodzaju lęku. Kim jest ten człowiek? Co ukrywa? Czego się jeszcze dogrzebiemy? Głupiec, któremu zwyczajnie się udało, czy wybitny, genialny umysł?

— A może to ktoś, komu wydaje się jedynie, że jest genialnym? — zapytał Andrzej.

— Zodiak, Zodiak, tu piętnastka — zgłosił się wywiadowca, przerywając Andrzejowi. — Obserwowany wyprowadza właśnie wóz z garażu. Co mam robić? Odbiór.

— Piętnastka, jedź za nim i melduj. Nie zgub go.

— Tak jest. Bez odbioru.

— Bądź spokojny — powiedział Andrzej, bo dostrzegł niepokój na twarzy Żabickiego — on nie ucieka. Natomiast twój sierżant Karbowski coś się grzebie. Długo zbiera informacje o naszym tajemniczym mężczyźnie z różą. Musimy do niego dotrzeć jak najszybciej. Czy to jest Róża, ów dziewiętnastoletni chłopak z oddziału „Olgierda”? Czy ktoś, kto otrzymał od Róży informacje o Olgierdzie vel Borowskim? Róża na pewno wówczas nie zginął, natomiast Borowski był i jest przekonany o jego śmierci. Czy jednak Róża żyje do tej pory? Trzydzieści lat z okładem, wiele mogło się zdarzyć.

— Kapitanie Żabicki — zabrzmiało od progu.

— Wchodźcie — rzucił niecierpliwie Żabicki — guzdraliście się haniebnie.

Sierżant Karbowski, starszy, tęgi mężczyzna, otarł pot z czoła, westchnął ciężko:

— Trudno było, kapitanie. Ale ustaliliśmy wiele. Ten starszy mężczyzna nazywa

się Jakub Lelicki. Ma pięćdziesiąt dwa lata. Od pięciu lat mieszka na terenie naszego miasta, przyjechał tu z Poznania, ale pochodzi ze wsi Troska, która leży w województwie kieleckim. Tam w każdym razie był zameldowany od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku do pięćdziesiąt drugiego. Potem zniknął ze wsi i tu już jest luka w jego dowodzie.

— Sprawdzaliście dowód? — zapytał groźnie Żabicki.

— Tak, ale nawet nie domyślił się dlaczego. Ten facet z wili, gdzie Lelicki przycinał żywopłot, wysłał go do miasta po coca-cole, kupował dla niego całą skrzynkę i przeszedł na czerwonych światłach. Sprawdziłem dowód, mandat darowałem, pouczyłem na przyszłość.

— Mówcie dalej.

— Pięć lat temu przybył tu z Poznania, zamieszkał w takim drewnianym baraku przy ulicy Jaracza piętnaście. Tam jest chyba jakaś melina, panie kapitanie. Nie wchodziłem, bo nie miałem rozkazu. W biurze meldunkowym powiedziano mi, że Lelicki przez dwa lata meldował się na pobyt tymczasowy, ale ponieważ nie podjął nigdzie pracy zarobkowej, później nie otrzymał już pozwolenia na pobyt. Mieszka więc od trzech lat nielegalnie, właśnie tam, przy Jaracza. Od pięciu lat też kręci się nieustannie w rejonie osiedla Matejki, zwłaszcza na ulicy Lipowej. Wykonuje dla właścicieli wili rozmaite drobne usługi. Zimą wykorzystują go najczęściej do palenia w centralnym, poza tym trzepie dywany, wywozi śmieci, sprząta posesje, przycina żywopłoty, taki facet do wszystkiego. Opinię ma dobrą, chociaż uważają go za przygłupiego. Mruk, ale chętny do pracy, i wszyscy zleceniodawcy są z niego zadowoleni. Poza tym niekarany. Uczciwy, nie kradnie, podobno można powierzyć dom jego opiece i przypilnuje.

— To wszystko?

— Czy to mało, kapitanie? — sierżantowi wydłużyła się twarz. — W tak krótkim czasie?

— Zupełnie nieźle, sierżancie — pochwałił Żabicki. — Teraz jedźcie do centrali i wynotujcie za okres ostatnich sześciu miesięcy wszystkie połączenia telefoniczne numeru Anny Borowskiej oraz ustalcie abonentów, którzy się z jej numerem łączyli.

— To robota na pół dnia — westchnął sierżant.

— Mylicie się — pocieszył Andrzej — załatwicie ją o wiele szybciej.

Sierżant dyskretnie wzruszył ramionami, niedbale zasałtował i wyszedł.

— Pięć lat temu przybył do naszego miasta — powiedział Andrzej. — Mniej więcej w tym samym czasie Anna Borowska zachorowała psychicznie...

— Daj spokój — obruszył się Żabicki. Jaki związek ma pojawienie się Lelickiego z chorobą Borowskiej?

— Nie wiem, ale te daty dziwnie pasują do siebie. Jedźmy. Jedźmy na Jaracza — poderwał się Andrzej. — Daję nakaz przeszukania w mieszkaniu zajmowanym przez Lelickiego.

*

Przy Jaracza piętnaście znaleźli rozwalający się, drewniany, parterowy barak. I gdyby nie smrodliwy rynsztok — płynący mętną, cuchnącą cieczą przez wyboiste

podwórze — można by sądzić, że barak nie jest zamieszkały. Zwłaszcza że ostemplowano go urzędowym obwieszczeniem: „Obiekt przeznaczony do rozbiórki”. Małe okna były tak brudne, że nie przepuszczały światła do wnętrza ani nie pozwalały niczego dostrzec. Ale w gołębniku na podwórzu gruchały dorodne gołębie, a między dwoma słupami na rozpiętych sznurach suszyła się bielizna. Drzwi były jednak głucho zamknięte. Długo dobijali się, nim usłyszeli człapanie i zachrypiły, kobiecy głos, który zawarczał ze złością:

— Czego?

— Milicja. Otworzyć — nakazał Żabicki.

Z sionki buchnął odór samogonu. Kobieta zaciągnęła rozchełstaną na piersiach bluzkę. Miała przekrwione oczy, żółtą cerę, kołtun nieczesanych, zlepionych brudem włosów na głowie.

— Panie władzo — jęknęła przymilnie, prosząco. Chwyliła Żabickiego za rękaw. — Panie władzo...

Żabicki lekko ją odepchnął. Zza drewnianych, zmurszałych drzwi głos męski wychrypiał:

— Jadźka! Sprzedawaj drożej, cztery dychy za pół basa. Kobieta tylko jęknęła, ale Żabicki z Andrzejem już weszli

do kuchni. To stąd bił odór samogonu. Wysoki, tęgi, równie odrażający mężczyzna pochylał się nad stołem, zastawionym dziesiątkami butelek — po winie, wódce, lemoniadzie, i z wielkiej, dwudziestolitrowej kanki czerpał wazową łyżką bimber. Na widok munduru kapitana błysk strachu strzelił w oczach i zaraz przygasł.

Mężczyzna, zrezygnowany, odrzucił łyżkę wazową na stół, otarł ręce o spodnie i powiedział:

— Cholera. Jadźka, wpadliśmy.

— Cicho! — burknęła kobieta i znowu przyskoczyła do Żabickiego. — Panie władzo... dwoje dzieci... małych... chorych... my pierwszy raz, żyć jakoś trzeba...

— Gdzie te dzieci? — zapytał Żabicki. W kuchni panował zatechły półmrok i nic nie wskazywało na obecność dzieci, żadnych dziecinnych ubrań, drobiazgów, zabawek.

Kobieta uśmiechnęła się zachęcająco:

— Tam — pokazała ręką kąt w kuchni — małe, chore...

W kącie, za zrujnowanym piecem, coś się poruszyło. Żabicki podszedł, zatrzymał się, pochylił i cicho przywołał:

— Andrzej! Zobacz!

Na przegniłym sienniku rzuconym wprost na podłogę, błyszczwały gorączką dwie pary oczu. Te oczy wydawały się zbyt duże, a twarzyczki dzieci były jak piastki, policzki pomarszczone. Głowy również były jakby zbyt wielkie w stosunku do chudych ramionek, wyłaniających się spod szmat, które być może kiedyś były kołdrami lub kocami.

— Małe, chore — zajęczała kobieta.

— Na co chore? — zapytał Andrzej. Odchylił szmatę i wzdygnął się, bowiem na sienniku leżały dwa nagie, szare od brudu, wychudzone do granic możliwości ciała. Ostry smród moczu i odchodów uderzył tak silnie, że zagłuszył nawet odór bimbru.

— Głupie, od urodzenia — jęczała kobieta. — Nie mówią, nie chodzą, robią pod siebie, ale jeść muszą. Niech pan nie krzyczy. Niech pan okaże serce i zmiłowanie. Na tym — wskazała na stół i kankę — zarabia się tyle, że ledwo na chleb starczy.

Niewiele, ale... ale podzielić się możemy... Tysiączek szanownej władzy starczy?

— Milczeć! — ryknął Żabicki. — Dzieci — powiedział do Andrzeja — trzeba będzie im odebrać! Kanalie! — krzyknął na kobietę i tępo patrzącego przed siebie mężczyznę — Wami zajmę się osobiście! Będziecie odpowiadać za usiłowanie przekupstwa milicji i za pędzenie bimbru, a także za znęcanie się nad dziećmi. Wreszcie za przetrzymywanie u siebie nielegalnych lokatorów.

— Jakich lokatorów? — postawił się mężczyzna. — My tylko jednego trzymaliśmy u siebie.

— Niemeldowanego.

— Nie chcieli go zameldować. Prosił, naprzykrzał się, żeby go trzymać. A teraz za to, że człowiek okazał serce... — chlipnęła kobieta.

— Milczeć! Od kiedy u was mieszkał?

— I... panie władzo, niedawno, kilka miesięcy.

— Od pięciu lat, nie kłamać!

— Może i od pięciu — z rezygnacją przyznał mężczyzna.

— Gdzie mieszkał? Tu, w tej kuchni?

— E, gdzieżby w kuchni. Swój pokój ma, własny i za darmo. Nic od niego nie braliśmy, ani złotówek, przysięgam — wtrąciła pospiesznie kobieta. — Jak go zapytacie, potwierdzi moje słowa, ani grosza przez pięć lat. Na siłę wlaź, więc co, bić się z nim mieliśmy, czy jak? I najpierw mieszkał legalnie, meldowany, dopiero potem nie chcieli mu przedłużyć mel-dunku. To my cierpieliśmy przez niego. Dzieci musiały się poniewierać w kuchni, na tym barłogu, bo on nam pokój za-jął, nowe drzwi sobie wstawił na własny koszt, zamek nowy, a teraz to niby nasza wina?

— Dość tego! — huknął groźnie Żabicki. — Zaprowadźcie nas do pokoju Lelickiego — rozkazał mężczyźnie. Ten spoj-rzał niepewnie na kobietę:

— Co robić, Jadźka?

— Prowadź — powiedziała ponuro. — Ale tam zawarte, a my nie mamy kluczy — dodała.

— Ejże — powiedział Żabicki — nie macie? Czyżby?

— Daj spokój, Jadźka — mruknął mężczyzna — oni na pewniaka. Wiedzą wszystko, pewno Władek doniósł.

— Przynieść klucze i otwierać!

— Ale tam nie ma towaru, tam naprawdę mieszkał ten Le-licki.

— Lepiej byś gęby nie otwierał — warknęła kobieta.

— Klucze!

Otworzyła kredens, grzebała na półce. Wyjęła pęk klu-czy.

— Ten — pokazała. Żabicki obejrzał uważnie.

— Podrobiony — stwierdził. — Szperaliście w pokoju Le-lickiego. Czego szukaliście?

— Brylantów! — odparła zaczepnie kobieta. Z przymilnej stała się teraz agresywna. — Brylantów!

— Jadźka...

- Zatkaj gębę! — i bluznęła potokiem wyzwisk.
- Cisza! — huknął Żabicki. — Powie pani jeszcze jedno słowo...
- To co? Figę nam udowodnicie! To nie my, to ten Lelicki bimber pędził! Lepszy z niego cwaniak! TeraMia nas chce winę zwalić, niedoczekanie! My mu tylko pomagaliśmy bimber rozlewać w butelki. Kazał nam. Straszyl. Groził.
- Będziecie tłumaczyć się przed prokuratorem. Nie tylko w sprawie Lelickiego. Prokurator postawi wam kilka zarzutów. Tak więc niech pan uspokoi żonę, dobrze radzę — powiedział Żabicki.
- Jadzka, przecież oni wszystko wiedzą...
- Ożesz ty! — warknęła z pogardą kobieta i znowu zaczęła. — Powiem prawdę. To on! — wskazała na mężczyznę — to jego wsadzajcie, on mi ani mąż, ani brat, to jego bimber, bił mnie, przymuszał, żebym pomagała...
- Jadzka! — zawołał z przestachem mężczyzna.
- Proszę pani, radzę zachować argumenty na później — łagodnie odezwał się Andrzej i ta łagodność przestraszyła kobietę. Umilkła natychmiast, wycofała się w kąt kuchni i zaczęła płakać.
- To gdzie pokój Lelickiego?
- Mężczyzna pokazał solidne drzwi na końcu wąskiej sionki.
- Ile wam płacił?
- Najpierw pięćset, potem patola.
- Dlaczego dorobiliście klucze? Mężczyzna opuścił oczy.
- No? — ponaglił Żabicki.
- Bo tego... taki dziwak... Rano, jak wychodził do miasta, ubierał się za dziada. Myśleliśmy nawet, że łązi na żebry. Ale nie, on chodził na osiedle Matejki, tam sprzątał ludziom i był na posługi. A jak wracał, to sobie wodę grzał, mył się, przebierał w dobre ubrania. Mył się calutki, lecz gęby nie tykał, gęba u niego zarosnięta na ryżo, taka brudna aż strach. Jednak tam w pokoju u niego niczego nie ma — dodał szybko i usprawiedliwiająco zarazem — parę ubrań wisi w szafie, dwie pary butów, trochę książek... i tyle... To co, panie władzo? Powiedziałem szczerze o tym Lelickim, daruje mi pan?
- Proszę pójść do żony i czekać.
- Ale dzieci...
- Za dzieci odpowiecie wspólnie.
- Kiedy od urodzenia głupie, tylko kłopot — dodał jeszcze mężczyzna i powoli, z ociąganiem zawrócił, w progu kuchni zawahał się, jakby zamierzał coś powiedzieć, machnął ręką i zniknął za drzwiami, skąd dochodziło zawodzenie kobiety.
- Jak zwierzęta — skomentował Żabicki. Otworzył drzwi i wszli. W pokoju panował mrok. Okna były oblepione gazetami. Żabicki odszukał kontakt, zapalił światło. W odróżnieniu od rudery, swój pokój Lelicki utrzymywał w nienagannej czystości. Żelazne łóżko porządnie zasłane kocem w kratę, podłoga zamieciona, stół uprzątnięty, tylko szuflada lekko wysunięta. Żabicki wysunął ją do końca.
- Róża — powiedział.

— Więc jednak... — westchnął Andrzej.

W szufladzie leżały równo przycięte, białe kartki, wyrwane ze szkolnego zeszytu. Każda zapisana technicznym pismem: PAMIĘTAJ O RÓŻY.

— Przygotował cały stos... — zauważył Żabicki.

— A róże miał pod ręką. Brał z ogrodu Borowskiego — do-dał Andrzej. — Kiedy posłał Borowskiemu pierwszą? Rok temu? Miesiąc? A może pięć lat trwa jego gra? Przebierał się każdego ranka, gdy szedł na Lipową. Zapuścił zarost, nie golił się, rzadko mył twarz. Udawał brudnego włóczęgę. Dla-czego udawał? Obawiał się rozpoznania? Przez pięć lat Bo-rowski patrzył na niego, rozmawiał z nim i nie poznał.

Przeszukali pokój. Niewiele było do szukania. Szafa była właściwie pusta, trzy ubrania, płaszcz zimowy, dwie pary wy-czyszczonych butów. Na parapecie leżało kilka książek. Żad-nych notatek, zapisków, korespondencji nie znakzli. Jedyne kałamarz z czarnym atramentem i wieczne pióro łez zakrętki, które było stare i popsute. Sprawdzili, atrament był identyczny jak na karteczkach. Żabicki schował kałamarz z atramentem i pióro. Ekspertyza określi, czy karteczki pisano tym piórem i tym atramentem, poza tym wykaże również, czy to pismo Lelickiego i czy na karteczkach są jego odciski palców.

— Możemy go zatrzymać — stwierdził Żabicki.

— Nie śpiesz się, poczekajmy — sprzeciwił się Andrzej. — Zaprosimy go na rozmowę. Musimy od niego usłyszeć, że jest Różą. Od niego też musimy poznać prawdę o Borowskim. Nie wolno nam więc Róży wypłoszyć. On wymierzał sprawiedli-wość na własną rękę. My staniemy się jego wrogami, Stefan. To mściciel.

Była godzina wpół do dwunastej, upał stęzał, fiat Żabickie-go zamienił się w buchające żarem pudło.

— Wolałbym już wracać piechotą — westchnął Andrzej.

— Egoista — powiedział Żabicki. — Myśli tylko o sobie. Ruszył, wywołał wywiadowcę. Ten zameldował, że Borow-ski od godziny prawie przebywa w mieszkaniu Smugów.

— Słuchaj, Stefan, gdy Borowski wyjdzie od Smugów, każ go zatrzymać pod jakimś pretekstem — poprosił Andrzej.

— Piętnastka, zgłoś się za minutę — zlecił Żabicki. Spoj-rzał pytająco na Andrzeja — Co za pomysł? — zaczął, ale ten przerwał mu gorączkowo:

— Każ zatrzymać Borowskiego. Wymyśl jakiś wiarygodny pretekst, niech mu drogówka sprawdzi wóz, musisz go zatrzy-mać.

— No, a ty?

— A mnie podrzucicie na Lipową. Żabicki zastanowił się przez moment.

— Dominika?

— Dominika — potwierdził Andrzej. — Porozmawiam z nią pod nieobecność chlebowawcy. Jeszcze jej nie przesłu-chiwaliśmy, a ona musi dużo wiedzieć.

— Pomysł nie jest zły — przyznał Żabicki.

— Zatrzymaj Borowskiego, dopóki nie zadzwonię. Nie tyl-ko chodzi mi o to, że

gospościa będzie się czuła swobodniejsza. Chodzi również o jej bezpieczeństwo. Lepiej dla niej, żeby Borowski nie wiedział o naszej rozmowie. Jemu grunt pali się pod nogami. On się boi. Nie nas, ale Róży. Kogo wczoraj ścigał uliczkami osiedla? Różę? Cię Róży? Co zaszło między nim a Lelickim? On chyba w dalszym ciągu nie domyśla się, że Lelicki jest tym, który go ściga, tropi i osacza, inaczej stary już by nie żył. Ale z wczorajszego zachowania widać, że Borowski wpadł w panikę. Dlaczego niszczył w ataku szaleńcze ukochane róże, owe „symbole zwycięstwa”?

— Och, przestań mi wykladać kawę na łąkę, przecież rozumiesz! Zatrzymam Borowskiego.

— Więc czemu skreślasz w Świerczewskiego?

— Bo najpierw pojedziemy do komendy dzielnicowej, niech zajmą się natychmiast tymi z Jaracza i zaopiekują się dziećmi.

— Co za człowiek! — zdenerwował się Andrzej. — Wież mnie na Lipową. Szkoda każdej chwili.

— Piętnastka! Piętnastka! — wywołał Żabicki. — Zgłoś się.

— Tu piętnastka, odbiór.

— Słuchaj uważnie, piętnastka. Skontaktuj się natychmiast z najbliższym radiowozem milicji drogowej. Gdy Borowski opuści mieszkanie Smugów i wsiądzie w wóz, przejedzie kilkaset metrów, mają go zatrzymać pod byle pretekstem i tak długo marudzić przy sprawdzaniu dokumentów oraz stanu technicznego samochodu, dopóki nie dam znaku, że można akcję odwołać. Piętnastka, zrozumiałeś?

— Tak jest.

— Wykonać i meldować co pięć minut.

— Tak jest.

— Widzisz, jaki jestem posłuszny? — zażartował Żabicki. — Czy zauważyłeś też, że jadę w kierunku osiedla Matejki? 4

— I to ci się chwali — odparł Andrzej.

— No, nie wiem. Gdyby mój szef wiedział, że kapitan Żabicki słucha rozkazów niejakiego prokuratora Doleckiego... — uśmiechnął się z sympatią. — Ale szef na szczęście trwa w błogiej nieświadomości i sądzi, że prokurator zajmuje się jedynie przygotowaniem materiału oskarżenia... — przyhamował pod willą Borowskiego. — Powodzenia, Andrzej. I dzwonić zaraz. Za długo nie możemy maglować pana inżyniera z kodeksu drogowego.

Andrzej ruszył ścieżką między różami. Przy białym tarasie dzieło zniszczenia odsłoniło czarną ziemię. Krzaki podeptanych, połamanych i wyrwanych z korzeniami róż, zalegały ścieżkę, tamując przejście. Przywiedle piętrzyły się stosami w palącym słońcu, chociaż ciągle jeszcze w czerwieni.

Symbol zwycięstwa — pomyślał Andrzej. Obszedł taras i zadzwonił do drzwi wejściowych.

— Pana nie ma w domu — oznajmiła gospościa.

— To nie szkodzi — uśmiechnął się do niej — ja mam sprawę do pani.

Przyglądała mu się podejrzliwie.

— Widziałam pana — powiedziała. — Wczoraj był pan z tym mundurowym. I

przedwczoraj też, jak się otruła ta... no, niby nowa żona. Czemu pan nie w mundurze?

— Nie lubię. Za gorąco, latem. Zastanawiała się jeszcze.

— No, jak z milicji... — powiedziała z wahaniem — to mogę pana wpuścić. I wszystko powiem, jak było — dodała z nagłą gorliwością.

Wprowadziła go do dużej, jasnej, nowoczesnie urządzonej kuchni. Usiadła i zaczerpnęła głęboki oddech.

— Całą prawdę, panie milicjancie. Powiem. To ona ukradła to wino z piwnicy, przyniosła do jadalni, zostawiła na barku. Wino aleatico. Ale-ati-co — powtórzyła. — Widziałam na własne oczy. Pan Borowski kupił te wino specjalnie dla Anny, bo bardzo je lubiła. Czasem nalewała kieliszek sobie, drugi mnie, zaśiadałyśmy w moim pokoju, bo ja tu mam własny pokój, a jakże, i rozmawiałyśmy długimi godzinami. Anna umiała tak ślicznie opowiadać o różnych rzeczach. Czasem czytała mi ciekawe książki, bo ja, panie, oczy mam trochę słabe, a liter dawno już zapomniałam. — Twarz starej kobiety łagodniała, wypogadzała się, a głos jej wymawiał imię Anny ciepło, z miłością. — Ona jest dla mnie jak rodzona córka. Jak zachorowała, myślałam, że i ja oszaleję albo umrę, albo coś złego sobie zrobię. Takie tu rzeczy zaczęła wyprawiać, wszystko z tej choroby. Najpierw chciała rozwodu z panem Borowskim. Jak to można rozwodzić się, zostawić precz taki majątek? Pan dbał o nią, właśnie to wino, aleatico, kupił dla niej specjalnie. Dla mojej Anny.

— Skąd pani wie, że to było wino aleatico, a nie jakieś inne? — zapytał, myśląc, że Borowski jest naprawdę wielkim głupcem, zadufanym w sobie głupcem. Przyuczył gosposię, co ma mówić. Udowodniłem mu wczoraj, że starannie wyreżyserował wydarzenia podczas kolacji. Pamiętał o przygotowaniu szklaneczek oraz podstawowego składnika koktajlu, wina aleatico, a teraz postanowił uciec się do pomocy gosposi, aby obalić wnioski, płynące z wczorajszej lekcji pogładowej. Zapomniał jednak pouczyć staruszkę, żeby nie przyznawała się do tego, że jest analfabetką.

— Skąd wiem? Bo widziałam. Na własne oczy — podkreśliła Dominika. — Ona to wino wyniosła z piwnicy i w jadalni postawiła na barku. I popiła sobie fest. W ogóle dużo piła. Co pan Borowski za drzwi, to ona już do barku i nalewa sobie i pije. — Spojrzała chytrze, wyczekująco na Andrzeja. — Ale' atico — powtórzyła. Uśmiechnął się.

— Czemu pan się śmieje?

— Bo nie wiem, dlaczego pani opowiada mi o tym winie. Zmieszała się..

— Opowiadam, bo to chyba ważne. \.r

— Kto pani powiedział, że ważne?

— Nikt mi nie powiedział. Sama tak pomyślałam. Przecież ona otruła się przez to wino.

— Ewę Borowską otruto, ona nie otruła się sama.

— E, tam, otruto... Pan nic nie wie, panie milicjancie. Ona chciała otruć dla pieniędzy pana Borowskiego i przez omyłkę, bo Bóg tak chciał, wypiła to wino, no i otruła się. Kto by tam ją truł?

— Kto pani powiedział, że w winie była trucizna?

— A nikt! — zadarła hardo głowę — też mam swój rozum.

— Ile lat pracuje pani u Borowskiego?

— Przyszłam do niego razem z Anną.

— Skąd pani zna Annę?

— Była małym dzieckiem, a ja ją już znałam. Wychowywała się w domu, w którym mieszkałam. Taka była śliczna. Jak obrazek. Zawsze była śliczna. Jak moja córka.

— Miała pani córkę?

— Pan Bóg nie dał. Ani córki, ani syna. Mąż mnie rzucił, bo nie miałam dzieci. Patrzyłam na nią przez okno: taka śliczna jak obrazek, jak moja rodzona córka.

Codziennie patrzyłam na nią przez okno. Uśmiechałam się do niej. Najładniejsza ze wszystkich dzieci na podwórzu. Jakbym miała córkę, też y była najładniejsza. Potem jej matka umarła, a ojciec ożenił się

drugą- Nie dbali o nią. Aleja czuwałam, byłam rada, że mogę się nią zająć.

Przychodziła do mnie. Kupowałam jej cukierki, szyłam sukienki, czesałam jej śliczne włosy. U mnie odrabiała lekcje. Dobrze się uczyła, była mądra, dobra, kochana. Jak

do-rośla, przeniosła się do mnie i zawsze już byłyśmy razem. Pan to rozumie? —

rozplakała się. —A teraz zabraliście mi ją. Dla-czego? Co ona wam złego zrobiła?

Jak mogliście jej wyrzucić taką krzywdę? Ona była tak bardzo chora. Do szpitala ją za-bierali dwa razy. A kiedy wypuścili, musiałam czekać, aż mi będzie wolno pójść do niej i znowu być razem z nią.

— A kto pani bronił?

— Lekarze tak powiedzieli panu Borowskiemu, że przez jakiś czas musi mieć spokój i lepiej żeby nikt jej nie odwie-dzał, aż wyzdrowieje.

— I uwierzyła pani Borowskiemu?

— Dlaczego miałabym nie wierzyć? — zdziwiła się szcze-rcze. — On też jej dobrze życzył. Chociaż ożenił się z tą... z tą nową. Pieniądzy nigdy nie skąpił. O, dużo mu można zarzu-cić, ale nie to. Zresztą u mężczyzny najważniejsze jest to, żeby nie był skąpy. A teraz, niedawno, zrobił zapis. Cały majątek przepisał na nią.

— Powiedział pani, że zapisał Annie cały majątek? Kiedy?

— Ze dwa tygodnie temu. Przyjechał z miasta, przyszedł do mnie do kuchni i powiedział: „Dominiko, właśnie wszyst-ko, co mam, zapisałem Annie. Niedługo wyzdrowieje zupeł-nie i będziesz mogła z nią zamieszkać”. Popłakałam się za tę jego dobroć i zaczęłam prosić, żeby wypędził z domu tę... I żeby przestał gniewać się z Anną, bo czy to jej wina, że za-chorowała? Jak tylko Anna zaczęła mi mówić o rozwodzie, zaraz pomyślałam, że chyba pomieszało się jej w głowie, żeby rzucać człowieka, który ma tyle dobra.

— Kiedy Anna zaczęła mówić o rozwodzie?

— Dawno. Jakieś pięć lat temu. I zaraz jej ta biedna głowa zachorowała.

Modliłam się za nią. Ale nic nie pomogło. Anna zawzięła się na ten rozwód. Pan Borowski nie chciał, a ona nic, tylko powtarzała: „Muszę się od niego uwolnić”. I zaczęła robić różne niedobre rzeczy. Ten gabinet, panie milicjancie... pan Borowski zabraniał tam chodzić. Nikomu nie wolno było tam wchodzić, nawet żeby sprzątać.

Mówiłam jej: „Po co tam zaglądasz, co tam ruszasz, gdzie szperasz, opamiętaj się”.

Ale ona nie słuchała. „Ty niczego nie rozumiesz, Dominiko”, mó-wiła do mnie i przerzucała papiery w gabinecie u pana. W koń-cu wstawił zamek i zaczął zamykać

drzwi na klucz. Przedtem nie zamykał. Słuchałyśmy go, i ja, i Anna, bo w gniewie robił się paskudny. Nie daj Boże, żeby się gniewał, karaz robił się blady, a oczy miał takie, że aż strach było w nie%atrzeć. Moja Anna jak odmieniona robiła wszystko to, czego jej nie wolno było robić. Prosiłam, błagałam: „Opamiętaj się, chcesz nie-szczęścia?”. Ale ona była już chora, dorobiła klucz i ledwo pan wyszedł, ona od razu wchodziła do gabinetu i szukała, szpe-rała. No i niedługo potem wzięli ją do tego szpitala.

— Mówiła pani, czego szuka?

— Trochę mówiła. Na początku. Ale potem przestała mówić.

— Nie wierzyła jej pani?

— Kto by uwierzył w takie niestworzone rzeczy.

— Co mówiła?

— Że niby pan Borowski ukradł temu, co tu kiedyś ciągle przychodził, temu Smudze, jakiś tam wynalazek. Od tego zaczęła się cała choroba Anny. Proszę pana — powiedziała żarliwie — i jakby to możliwe było, żeby taki bogaty człowiek, pan Borowski, który ma tyle dobra, taki majątek, coś ukradł?

— Co jeszcze mówiła?

— E, szkoda powtarzać.

— Niech pani powie.

— Że znalazła w gabinecie coś strasznego. Między książkami... nie... nie tak powiedziała. Powiedziała: „Dominiko, w książkach znalazłam coś strasznego. Coś strasznego o nim.

O nim”, to znaczy o panu Borowskim. I patrzyła na mnie, oczy miała takie jasne, nieprzytomne, i nagle zaczynała krzyczeć. Właśnie tak zachorowała.

— W książkach — powtórzył. Setki nowiutkich tomów na półkach. Równo, symetrycznie, dekoracyjnie ustawione trzy tysiące tomów. W książkach.

— Od kiedy zaczęły pojawiać się te róże z przypiętymi karteczkami?

— Te róże? Pan Borowski myślał, że to Anna je podrzuca. Z tej swojej wariacji. Nawet mnie podejrzewał, że pomagam Annie, bo te róże, panie milicjancie, ktoś tu przynosił na-wet wtedy, gdy Anna była pierwszy raz w szpitalu. Jak była drugi raz, to był spokój, ale teraz, od pół roku, może dłużej, okropnie ich dużo. Do czego to komu potrzebne?

— Czyli te róże pojawiły się tutaj, zanim Anna zachorowała?

— Tak było.

— Więc to trwa już pięć lat? Zastanawiała się.

— Tak coś koło tego. Długo — zamyśliła się. — Ja też myślałam, że to Anna. Ale jak poszła pierwszy raz do szpitala,

1 te róże ciągle się pojawiały: na tarasie, na oknie, na podłodze w pokojach, w garażu, pod drzwiami, to już wiedziałam, że kto inny tak się wygłupia.

— Pan Borowski przejmował się tymi różami?

— Najpierw nie. Ale ostatnio bardzo. Zmieniał się na twarzy, jakby się bał.

Dziwne — powiedziała.

— Pani zna Jakuba Lelickiego?

— Tego przygłupiego? Znam.

— Pan Borowski też go zatrudniał?

— Wszyscy go tu zatrudniali. U nas też często coś robił. Na wiosnę kopał ogród. Zimą palił w centralnym. Przydatny. Raz przestał przychodzić i źle było bez niego. Chorował podobno. Tak mówił.

— Pamięta pani, kiedy to było?

— Pewno, że pamiętam. Jak on tu jest pod ręką, to mam mniej roboty. Nie muszę sprzątać w ogrodzie, nawet okien nie myję. A wtedy akurat należało okna umyć. Pan widzi, ile tu szyb, jakie duże, cały dzień okna myłam, siły już nie te.

— Więc kiedy Lelicki przestał przychodzić?

— Ano tak z półtora roku temu, koło Wielkanocy. I nie przychodził długo.

— Czy w tym czasie róże pojawiały się nadal? Nie zrozumiała. Popatrzyła pytająco.

— Czy róże ktoś podrzucał, gdy zabrakło Lelickiego? Zastanawiała się długo.

— Wtedy właśnie uspokoiło się z tymi rógmami — powie-działa wreszcie, za to bardzo stanowczo — i alceferat Annę za-brano po raz drugi do szpitalu. Potem pan Borowski znalazł sobie tę nową. Ale! Panie milicjancie! — zawołała. — Pan my-śli, że to Lelicki te róże tutaj...? Ten obdarty dziad? A skąd by on pieniędzy nabrał? Taki łachmyta, pan go widział? Skąd by pieniądze brał na róże, kiedy one tu i zimą, a zimą przecież róże drogie, dużo pieniędzy muszą kosztować. Gdzie by tam Lelicki! — zaśmiała się krótko. — Ale fakt, że kręcił się tutaj często. I fakt, że te róże chyba coś znaczą, bo dlaczego pan Borowski tak by się nimi przejmował? Z nim chyba w ogóle niedobrze. Co on wczoraj nocą w ogrodzie wyprawiał, tyle pięknych krzaków zniszczył, a dziś rano, strach spojrzeć: twarz szara jak popiół, a ręce, mówię panu, panie milicjancie, ręce całe opuchnięte, okrwawione od tych róż. Spojrzał na mnie tylko raz, a ja czym prędzej do kuchni, aż mi się zimno zrobiło od tego spojrzenia. Śniadania też nie wołał, on zawsze tak akuratnie, o jednej godzinie, nie daj Boże spóźnić się mi-nutkę.

— Taki wymagający?

— Bardzo — zacisnęła usta. — Bardzo — powtórzyła.

— Anna nie miała z nim łatwego życia?

— Łatwego nie miała, ale tyle dobra...

— Borowski kochał swoją drugą żonę?

— Nie znam się na tym — jeszcze silniej zacisnęła usta. — Nie zwierzał mi się. Ale tam! — dodała pogardliwie — jeżeli nawet go na początku opętało, to potem jeszcze szybciej prze-szło. Trzeba chyba być ślepym, żeby nie dojrzeć, co z niej za jedna.

— Nie lubiła jej pani?

— A nie. Ledwo weszła do cudzego domu, od razu zaczęła się tu szarogęścić, a rządzić, jakby już to wszystko do niej nale-żało. A to jest Anny. Nie po to tyle lat tu wytrzymała, żeby na koniec wszystko stracić. Pan Borowski zresztą i tak zapisał majątek Annie. I ta nowa o tym się dowiedziała, i za to chciała go otruć. Bóg łaskaw, nie dopuścił. Bo to wino aleatico...

— O tym już pani mówiła — przerwał łagodnie. — Proszę pani, Borowski panią okłamał. On nie zapisał całego majątku Annie, lecz jedynie połowę. Drugą połowę

zapisał swojej nowej żonie.

Aż cofnęła się z krzesłem.

— Pan kłamie!

— Nie mam powodu. Milczała długo.

— Tej drugiej... — powiedziała z nienawiścią. — Niedoczekanie.

— Ona już nie zagraża. Nie żyje.

— Ja jej nie żałuję.

— Była młoda.

— Wycieruch.

— Dlaczego pani tak źle mówi o zmarłej?

— Bo wycieruch — zaśmiała się gorzko. — A on chciał mnie oszukać. Chciał okraść Annę, bo ona daleko, bronić się nie potrafi. Coś panu powiem, panie milicjancie. Niech pan słucha. Ta nowa to zwykły wycieruch. I on, Borowski, się o tym dowiedział. Zakazał mi o tym komukolwiek mówić, ale powiem, bo mnie oszukał. Jak tę nową tu sobie przywiózł, to skakał koło niej tak, jak nigdy koło Anny nie skakał. W ogóle nie podobne do niego, piesek na dwóch łapkach, służący. Za-ciskałam zęby, patrząc na to wszystko, ale mówiłam, przeczekam, nie pozwolę, aby tych dwoje oszukało Annę. Więc tak: on, taki zawsze, że ani podejdź do niego, nagle łasi się do tej swojej nowej. Aż wstręt brało patrzeć, żeby stary dziad tak się poniżał. No, ale to niedługo trwało. Bo ona zaczęła się naj-pierw malować. A on tego nie znosi. Anna nie malowała się nigdy, nie potrzebowała malować się i nie lubiła. Więc ta tu napacykowała sobie twarz i widzę, a on aż zbladł. Szału do-stał. Ścierał tę pomadę z jej twarzy, że cały tydzień później na ulicę nie mogła wyjść, szminkę razem ze skórą jej starł. O, my-słę, dobrze, w porządku. I czekam dalej. Ale widzę, że jemu coraz częściej nos ze wściekłości bieleje, a oczy jak dwie jamy. A ta nowa nic sobie z niego nie robi. Śmieje mu się prosto w twarz. Pobił ją, chyba ze dwa razy. Pobił, a potem się kajał. Słyszałam, bo chodziłam podsłuchiwać. No i jakieś trzy tygo-dnie temu, może trochę więcej, przyłapał ją we własnej sypial-ni z takim jednym, co go sobie przyprow^teiła prosto z ulicy. Chyba już coś podejrzewał, bo powiedział jej, że wyjeżdża na pół dnia, a wrócił po dwóch godzinach. No i skończyło się jej panowanie. Za parę dni przychodzi do mnie i mówi, że wszyst-ko zapisał Annie. Tak było. A wczoraj wziął mnie na rozmowę i powiedział, że jak mnie milicja będzie przesłuchiwać, to mogę mówić o wszystkim, ale o tym, że on ją przyłapał z tym jednym, mam nie mówić.

— O tym winie też Borowski kazał pani powiedzieć? Zaprzeczyła gwałtownie.

— Nie. Nie kazał! Ja widziałam, jak tamta to wino aleatico przyniosła z piwnicy.

— W tym winie nie było trucizny.

— Jak to? — na twarzy Dominiki odmalowało się zasko-czenie.

— Trucizna była w koktajlu, a koktajl przyrządzała Anna.

Przestraszyła się bardzo. Zbladła.

— Co pan opowiada, co pan opowiada — zabełkotała.

— Proszę pani — powiedział łagodnie Andrzej. — Niepo-trzebnie pani kryje Borowskiego. Pani kocha Annę jak własną córkę i ja to rozumiem. Borowski powiedział, że to dla dobra Anny musi pani tak zeznać o tym winie. Powiedział, że podejrze-wamy Annę właśnie dlatego, że w winie była trucizna. Powie-dział: ja tego

wina nie przynosiłem, ty również nie przynosiłaś, a znalazło się na barku. Kto więc je tam postawił? Tylko Ewa.

— Nie powiem więcej ani słowa.

— Powie pani. Proszę słuchać: Anna nie otruła nowej żony Borowskiego. Anna jest już wolna. Wolna, ale znajduje się z powrotem w szpitalu. Pojedzie pani do niej. Załatwimy to. Będzie się pani nią opiekować i Anna szybko wyzdrowieje. Całe zło już minęło. Teraz już wszystko będzie dobrze. Bo Borowski jest złym człowiekiem. Okłamał panią wiele razy. Okłamał panią, kiedy Anna potrzebowała pomocy, bo to nieprawda, że nie wolno było jej odwiedzać. Okłamał panią mówiąc, że cały majątek zapisał Annie. Chciał panią uspokoić. Zależało mu na tym, żeby pani mu ufała. Okłamał też panią wczoraj. Bo on sam przyniósł to wino. Przyniósł je dlatego, ponieważ chciał, aby Anna przyrządzała koktajl. Chciał wszystkie podejrzenia skierować na Annę, właśnie dlatego, że jest chora i nikt jej nie uwierzy. Nawet pani jej nie wierzyła. Proszę nie płakać — lekko podniósł głos, bo gosposia zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła szlochom. — Teraz musi być pani silna. Jest pani potrzebna Annie. I nam. Milicji. Będzie pani ważnym świadkiem przeciwko Borowskiemu. Ponieważ to on otruł swoją żonę. Pani zna dobrze zwyczaje Borowskiego, proszę więc teraz zastanowić się i powiedzieć, czy codziennie ściera pani kurz z barku? Nie miała siły mówić, skinęła tylko głową. Patrzyła na Andrzeja bladoniebieskimi, łzawiącymi oczami z podziwem i jednoczesnym strachem.

— Z butelek również?

Przytaknęła. I nagle jej oczy zapłonęły gniewem.

— Butelki wina aleatico nie było przedwczoraj na barku?

— Nie było — powiedziała głucho.

— A komplet szklaneczek koktajlowych?

— Już stał. Pomyślałam, że wyciągnęła ten komplet ta nowa. Więc schowałam go do kredensu. Na miejsce. Ale kiedy nakrywałam do stołu, komplet znowu znalazł się na barku. Pamiętam to doskonale, ponieważ pomyślałam, że trzeba o tym powiedzieć jemu... że ona grzebie w kredensie.

— Czy pani ma kogoś bliskiego w tym miernie?

— Ja? Nikogo. Tylko Annę.

— Niech pani szybko spakuje najpotrzebniejsze rzeczy.

— Dlaczego?

— Nie może pani tu zostać.

— Ja się go nie boję.

— Lecz ja obawiam się o pani bezpieczeństwo.

— A co się stanie z tym wszystkim? — zatoczyła szeroki ruch ręką. — Z tym całym dobrem? To ma przepaść? Niedoczekanie!

— Niech pani lepiej pomyśli o Annie.

— Właśnie o niej myślę. To wszystko jest jej. Nie dopuszczę, żeby się zmarnowało.

Andrzej zrozumiał, że dalsza dyskusja jest bezcelowa.

— Proszę pani — powiedział — teraz jest pani potrzebna Annie. Nikt poza panią nie potrafi jej pomóc. Anna jest bardzo chora. Bardzo. Chce pani pilnować tego „dobra” czy być przy Annie?

— Chora... — powtórzyła, jakby dopiero teraz do niej do-tarło. — I tak pan o mojej Annie dobrze mówi... To pan nie jest przeciwko niej?

Chwyciła Andrzeja za rękę. Usta jej drżały.

— Pan nie jest przeciwko? — powtórzyła. — I naprawdę zawiezie mnie pan do niej? Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

— I tylko ja jedna mogę jej pomóc? — głos Dominiki za-brzmiał radością. — Tylko ja?

— Jestem tego pewien.

— Tak. Tak. Natychmiast... — wybiegła z kuchni. Słyszał, jak krząta się za ścianą pospiesznie, potrąca meble, trzaska szufladami. Za chwilę była już z powrotem, z małą torbą, go-towa.

Wyszli do holu.

— Muszę zadzwonić — powiedział Andrzej. Wykręcił nu-mer Żabickiego. W lustrach holu odbijały się obite skórą, miękkie, klubowe fotele, a drzwi do gabinetu Borowskiego były uchylone. Numer Żabickiego nie odpowiadał. Wykręcił ponownie, ale nikt nie odbierał połączenia. Więc najpierw Anna zaczęła podejrzewać męża o szwindel — przywłasz-czenie pracy Smugi. Gdy podejrzewania zamieniły się w pew-ność, postanowiła odejść. Czy groziła Borowskiemu zdema-skowaniem? A może w ogóle nie miała żadnych dowodów, poza podejrzaniem? I dlatego wciąż i wciąż szukała, aby móc je rzucić w twarz i uzyskać w taki sposób prawo do wolno-ści? Przy okazji natknęła się na jakieś inne sprawy, które Dominika określiła jako „straszne”. Odłożył słuchawkę. W gabinecie Żabickiego nikt się nie zgłaszał. Szukała na-miętnie, obsesyjnie. Dorobiła klucz do gabinetu męża, nara-żała się na jego gniew, ale śledziła, podglądała, szperała. I w tym czasie zaczęły się pojawiać róże. Nic dziwnego, że Borowski uznał, że to Anna właśnie szantażuje go tymi ró-żami. I pewno dlatego specjalnie się nie przejmował, bo Anna dla niego nie była aż tak groźnym przeciwnikiem, po-radził sobie z nią. Ale róże wciąż przychodziły, więc tracił pewność siebie, a Anna nie chciała ustąpić, musiał ją znisz-czyć. Co Anna znalazła w jego gabinecie między książkami? W książkach? „Coś straszego w książkach”, zwierzyła się Dominice.

— Panie milicjancie — odezwała się prosząco Domini-ka. — Chodźmy już, bo...

— Chwileczkę. Ruszył do gabinetu.

Gruby dywan stłumił kroki. Andrzej przymknął drzwi za sobą, teraz z zewnątrz do gabinetu nie dochodziły żadne dźwię-ki. Zasłony nie przepuszczały światła. W cichym półmroku lśniły jedynie grzbiety książek ustawionych na regałach.

Zapalił lampkę na biurku. Poczul lekki odór zgnilizny.

Gdzieś stąd, z biurka. Zauważył, że jedna szuflada jest nieco wysunięta. A

Róże. Stosami. Uschłe, czarne, połamane i M wpół zgniłe, zduszone upałem, brakiem powietrza, rozkładające się, i zu-pełnie świeże, lekko tylko przywiędłe. Pewno te wczorajsze.

Dlaczego ich nie zniszczył? W jakim celu przechowywał? Serce mu biło. Co one znaczą, te róże? Szantaż? Nie, to nie mógł być szantaż.

Mściciel — pomyślał Andrzej. Nieuchwytny, nierozpozna-walny, anonimowy,

zmartwychwstały. Ktoś, kto dawno umarł. Ktoś, kto nie żył od trzydziestu paru lat, przysyłał swoje upiorne pozdrowienia, swoje memento. Mściciel: Lelicki, dziad, przygłupi, ociężały, mrukliwy mężczyzna, człowiek do najgorszych robót, włóczęga. Dla Borowskiego: nikt. Pewno mu się nawet nie przyglądał. Zresztą i tak prawdopodobnie nie odnalazłby w tym zarośniętym, brudnym, zniszczonym mężczyźnie żadnych cech mistycznego mściciela... A ten brał odwet za swoją śmierć i za swoje zmartwychwstanie. Czekał. Obserwował.

Na co czekał?

Może właśnie na tę chwilę, w której Borowski zacznie bać się, w której spostrzeże pierwsze oznaki strachu i osaczenia na jego wymuskanej, pewnej siebie, gładkiej twarzy.

Mściciel — pomyślał Andrzej. — Czekał, obserwował. Nie spieszył się, tylko dzień po dniu przypominał o sobie, przez długie lata. Presja strachu. Koszmar strachu. Pamiętaj o Róży.

Pamiętaj. Pamiętaj. Nie żyję, zabiłeś mnie, ale oto jestem, czekam, obserwuję, jestem blisko ciebie, jestem przy tobie.

Wczoraj Borowski nie umiał już dłużej walczyć ze swoim strachem. Wczoraj zrozumiał, że Róża jest blisko i musi go dopaść. Pustymi, obojętnymi uliczkami gonił cień Róży, pustymi uliczkami uciekał przed jego cieniem. Kto tu kogo ścigał? Był słabszy od cienia Róży, poczuł się pokonany i gdy wrócił do swojego ogrodu, otoczyły go zewsząd kwiaty. Pachnące, piękne, wspaniałe. Jego fałszywe „symbole zwycięstwa”, które okazały się symbolem klęski. Chciał je zniszczyć. Rzucił się na nie, wrywał gołymi rękami. Nie miał dość siły, krzewów rosło zbyt wiele, zbyt wybujałych, pokonały go. Dlaczego właśnie zasadził ten ogród różany? Róże, jedyna jego prawdziwa namiętność. Róże, które kochał, darzył uczuciem, on, który był niezdolny do uczucia?

Gorączkowo począł wysuwać szuflady biurka. Co znalazła Anna? Tych róż jeszcze wówczas tu nie było.

W trzeciej szufladzie na samym wierzchu notatnik oprawiony w safian.

— Moje życie — przeczytał Andrzej. Litery starannie wykaligrafowane, każda litera w innym kolorze.

Przewrócił kartkę. „Moje życie jest wspaniałe”, przeczytał. „Kiedy patrzę w swoją przeszłość, wydaję się jak bóg. Być bogiem. Prawie bogiem — jestem nim. Świat jest pełen głupców. Niszczyc głupców jak najgorsze plugawe robactwo. To daje rozkosz. Zawsze uważałem, już we wczesnym dzieciństwie, że różnię się wybitnie od swoich rówieśników. Wszyscy ludzie, z którymi zetknąłem się, to głupcy. Moja pogarda jest jak bezmierne morze. Sprawiedliwość jest wymysłem tchórzy. Ci, którzy wierzyli w ideę sprawiedliwości, błagali mnie na kolana o darowanie życia. Rózo, czasem myślę o tobie. Wtedy wychodzę na taras. Patrzę na otaczający mnie mój ogród. Jest doskonały. Jak wszystko, co stworzyłem. Tworzyłem ludzi, aby potem ich zniszczyć. Zabiłem cię, ale kazałem ci żyć w moich różach. Jestem niekaralny. Jestem ponad. Ponad! Nie powinieneś być mnie podejrzawać. Wtedy darowałbym ci śmierć szlachetniejszą...”

— Panie milicjancie... — Dominika ostrożnie uchyliła drzwi.

— Chwileczkę — mruknął Dolecki zdławionym głosem. Dusiło go w gardle.

Odłożył notatnik. Przerzucał pozostałe papiery.

To zdjęcie wydało mu się znajome. Duży, biały dom, szeroki taras na białej podmurówce, rabaty róż...

Napis w języku angielskim: „Enpine, Sylwan Rftad, Wel-
lington”. ^

Obracał poźółkły kartonik, przyglądał mu się z narastającym uczuciem grozy.

Czarne plamy na rabatach róż. Obce, cudze jak krew. Reklamówka jakiejś angielskiej firmy budowlanej. Poszukał wzrokiem daty. Tysiąc dziewięćset czterdzieśty rok.

Biała, piętrowa bryła willi, duży taras. Na tarasie rozstawione lekkie, jakby trzcinowe foteliki, stoliki. Przed tarasem fontanna: delfin wykuty z kamienia, może z marmuru. Krzewy róż dookoła, czarne, z czarnymi, zaschłymi plamami.

Poczuł, że się poci. To przecież willa Borowskiego. Ten sam układ architektoniczny, taras, biel ścian, nawet stoliki i foteliki na tarasie, i fontanna w kształcie delfina, wierna kopia tego zdjęcia z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, tylko róż więcej — morze róż.

„Enpine poleca swoje usługi. Gwarantuje wykonawstwo najwyższej jakości. Budujcie tylko w Enpine!”.

— Panie milicjancie...

— Już, już...

Schował notatnik i zdjęcie do swojej teczki. „W książkach”, powiedziała Anna. Ale jeśli znalazła tylko to, co on znalazł przed chwilą, wystarczyło, żeby się załamać.

W książkach — pomyślał. Zdecydowanym krokiem podszedł do ostatniego regału.

Z ostatniej dolnej półki brał każdy tom do ręki. Przewracał stronicę za stronicą. Jeśli w książkach — to tu, w tych, tak rażąco, sztucznie używanych, tak odbijających od dekoracyjnego tła. Egzemplarz Rozwoju rybołówstwa otworzył się Andrzejowi na stronicy osiemdziesiątej pierwszej. Osiemdziesiąta pierwsza stronica doklejona. Jakiś dokument w języku niemieckim. Nie znał dobrze niemieckiego, tyle co z liceum, wysilił całą swoją pamięć, długo trwało, zanim mniej więcej odsylabizował tekst: „Komendantura SS wystawia niniejszym pokwitowanie na sumę dwóch tysięcy marek dla Jerzego Brodzkiego”.

Litery zaczęły skakać Andrzejowi przed oczami. W ustach miał sucho. Serce waliło.

Dalej pokwitowanie na pięć tysięcy marek nagrody za likwidację bandytów:

„Nowosielskiego Jana, Kowalczyka Bronisława, Dobronia Henryka, Starowieckiego Pawła... okazicielowi niniejszego zaświadczenia nakażuje się na terenie Generalnej Guberni wszystkim placówkom SS służyć wszelką pomocą”, podpis i stempel: „Obersturmführer Horst Funke”.

— Panie milicjancie...

Dołączył książkę do notatnika i zdjęcia. Zamknął aktówkę. Serce łomotało.

Dokładnym przetłumaczeniem tych dokumentów zajmą się biegle albo Żabicki, on zna niemiecki. Jerzy Brodzki. Karol Jerzy Borowski, syn Kazimierza i Ireny z domu Brodzkiej... Pracując dla SS, posługiwał się panieńskim nazwiskiem matki i swoim drugim imieniem — nie wysiłał się zbytnio, tak był pewien siebie?

Jestem niekaralny. Jestem ponad. Ponad!

Uważał się za niekaralnego — pomyślał. Długo. Za długo.

— Panie milicjancie... Co panu?

— Nic, nic...

Podniósł słuchawkę. Wykręcił numer Żabickiego. Tym razem natychmiast uzyskał połączenie.

— Halo, Andrzej, to ty? — głos był niecierpliwy — słuchaj, mam wiadomość: Karbowski przyniósł dane z centrali, prawie wszystkie połączenia z Anną Borowską należą do numeru Borowskiego. Od miesiąca. Od samego początku...

— Potem — przerwał gwałtownie Andrzej. — Przyślij mi natychmiast wóz. Borowskiego każ zwolnić.

— Magluje go drogówka. I nawet ma za co, bo przejechał skrzyżowanie na czerwonych światłach, zaczął się stawiać...

— Potem! — uciął Andrzej. — Wóz. Zaraz przyślij wóz. Borowskiego puść na razie.

i

ROZDZIAŁ, ÓSMY

A

x\ ta krew? — powiedział pytająco Żabicki, bo już wiedzieli, co zabarwiło zdjęcie angielskiej firmy budowlanej. Zmobilizowani pracownicy laboratorium w ciągu dwóch godzin dostarczyli wynik badań. — Ta krew? Czyja? Jego? Róży?

— Cóż za pedant — powiedział znowu Żabicki. — Jota w jotę taka sama willa. Nawet nie zrezygnował z tej koszmarnej fontanny. Jedynie w różach nie zaznał umiaru.

— „Symbol zwycięstwa: róże” —zacytował Andrzej.

— Sądzisz, że jest psychopata?

— Nie w tym sensie, żeby miał się wymigać od odpowiedzialności — powiedział Andrzej. — Myśli o sobie, że jest bezkarny, a więc wielki, doskonały i ponad. A on nie jest nawet zbyt inteligentny. Po prostu: udawało mu się. Udawało mu się przez te wszystkie lata od wojny. Jednocześnie na usługach gestapo i „niezastąpiony, dzielny, odważny”. Pewno był odważny. Tą odwagą, charakterystyczną dla ludzi ograniczonych, pozbawionych wyobraźni. Być może poszedł do konspiracji już z polecenia gestapo, jako wtyczka. Wykazywał się na obie strony. Pewno go to bawiło. Pamiętaj, że był wówczas młodym człowiekiem, właściwie chłopakiem.

Powodzenie, jakie osiągnął w swojej podwójnej grze, wbiło go w pychę.

— Ci czterej z tego dokumentu, to są właśnie ludzie, którzy dowództwo okręgu

na skutek działalności „Olgierda” uznało za prowokatorów.

— Pewno sam na nich wykonał wyrok śmierci.

— Okropne — wstrząsnął się Żabicki. — Nie ma kary na taką kanalię.

— W zemście Róży istniał pewien głębszy sens — zśuwał Andrzej. — Okrutna zemsta. Nie będę sądził Lelickiego. Raczej wycofam się w ogóle ze sprawy.

Rozumiem go.

— Och, Andrzej — westchnął Żabicki — nie traktuj tego tak jednostronnie. Dane ci jest przecież prawo łaski.

— Jakie?

— Uniewinnienie — odparł kapitan. — Znasz prawo. Lelicki będzie odpowiadał. Nikt nie ma prawa wymierzać sprawiedliwości, nawet najbardziej słusznej, na własną rękę.

— Prawo nie jest doskonałe.

— Nie tyje będziesz zmieniał — upomniał surowo Żabicki.

— Nie ja, a szkoda. Skazałbym Borowskiego nie raz, skazywałbym go, jak Lelicki właśnie, wiele razy.

— Po co on przechowywał te dokumenty?

— Z pychy — powiedział Andrzej. — Ze zwykłej pychy. Czuł się bezkarny, dla tych dokumentów zbudował całą, olbrzymią dekorację. Głupią dekorację, nawet Anna natychmiast zorientowała się i odnalazła te dokumenty. Borowskiego zgnębiła jego mania wielkości.

— Skończmy z tymi rozważaniami — westchnął Żabicki. — Na razie niech on wyobraża sobie, że sprawiedliwość jest wymysłem tchórzy. — Odsunął na bok biurka notatnik Borowskiego, zdjęcie i Rozwój rybołówstwa.

Zadzwoił telefon. Żabicki odebrał słuchawkę, zwrócił się do Andrzeja.

— Na dole Smugowa, ogromnie zdenerwowana, domaga się widzenia ze mną. Porozmawiamy?

— Oczywiście.

— A Lelicki? Zaraz go tu doprowadzą?

— Poczekaj trochę. Może skruszeje.

— Wpuścić! — polecił Żabicki, odłożył słuchawkę. — Myślałem, że to wizyta Borowskiego ją wystraszyła. Siedział u niej ponad godzinę.

Do gabinetu Żabickiego weszła złamana, postarzała, jakby jej przybyło dziesięć lat. Była ubrana wciąż w tamtą wizytową zbrukaną już sukienkę, jakby przez te dni nie rozbierała się wcale. Przygarbiona zbliżyła się ciężkim krokiem do biurka, zacisnęła drżące ręce na torebce.

— Ja... ja chciałam złożyć zeznanie.

— Proszę usiąść — Żabicki wskazał krzesło. — I proszę się tak nie denerwować.

— Zeznanie — powtórzyła. Uśmiechnęła się gorzko do Andrzeja. — A panu dziękuję.

— Za co?

— Za prawdę. To boli, ale przynajmniej żadnych złudzeń... Myślę, że przyjdzie taki czas, w którym zapomnę. Mój mąż odszedł... — głos Smugowej załamał się. — Ale ja go rozumiem. Coś trzeba z tej historii uratować, jeżeli jeszcze cokolwiek zostało do uratowania, choć odrobinę godności...

Andrzej milczał.

— On u mnie był, proszę pana — zwróciła się do Żabickiego.

— Wiem o tym.

— Ale nie wiecie, po co był. Zadzwoiłam do niego wczoraj wieczorem.

Przeklinałam pana — powiedziała do Andrzeja. — Broniłam się przed przyjęciem do świadomości tej prawdy, którą mi pan wyłożył. Miał pan rację: on chciał zniszczyć Annę. Wiele razy opowiadał mi o jej nałogu, o deliriach, napadach szalu, o swojej gehennie, swoim cierpieniu, a ja mu wierzyłam, bo zresztą chciałam wierzyć...

— To niepotrzebne — przerwał łagodnie Andrzej. — Niech się już pani nie zadrecza... Nie tylko pani wierzyła Borowskiemu. A w stosunku do Anny zachowała się pani niezwykle lojalnie. Borowski nie po to zaprosił panią na kolację, aby pani świadczyła później na korzyść Anny. Był przekonany, że zyska w pani osobie uległego dla siebie świadka.

— Zadzwoiłam do niego wczoraj. Mąż spakował swoje osobiste rzeczy i odszedł. Zostałam sama. Pomyślałam, poiw-ślałam nikczemnie, że to wszystko nieprawda, co pan powiedział. Jeszcze raz przeżyłam głupią nadzieję: mąż odszedł, Ewa nie żyje, Karol jest wolny. Nie chciał ze mną rozmawiać. Odłożył słuchawkę. Zadzwoiłam ponownie i powiedziałam, żeby nie odkładał słuchawki, bo ja coś o nim wiem... że coś widziałam.

— A co pani widziała? — zapytał Żabicki.

— Najpierw niczego nie kojarzyłam. Ale właśnie wczoraj, kiedy pan prokurator powiedział mi prawdę... tamta koszmar-na kolacja, cały ten upiorny wieczór stanął mi przed oczami... odpychałam myśl, że to, co widziałam, ma jakiś związek ze śmiercią Ewy, z zatrzymaniem Anny. Ale pan powiedział memu mężowi! Pan powiedział! — krzyknęła — że Ewę otruł ten, kto miał okazję pozbyć się ampułki, a więc ten, kto w trakcie kolacji wychodził z jadalni. Wtedy mój mąż zaczął oskarżać Karola. Anna nie wychodziła nigdzie, gdy zaczęłam wszystko wspominać, pomyślałam najpierw, że to Anna zachowywała się tak, jakby obawiała się o swoje życie... potem przypominałam sobie tę scenę w holu. Bo, gdy przyszła Anna, Karol wyszedł do niej. Pod pretekstem, że zostawiłam w salonie papierosy, też opuściłam jadalnię. Byłam ciekawa, czego Anna chce od Karola. To była taka niska ciekawość. Karol, wychodząc do Anny, starannie zasunął te oszklone drzwi, panowie przypominają sobie: te oszklone drzwi, które łączą jadalnię z salonem. Był więc pewien, że nikt go nie podsłucha, do tego stopnia pewien, że nie domknął drzwi z salonu do holu. W holu wiszą takie duże lustra i wtedy spostrzegłam, jak Karol... Karol wyszarpuje siłą z rąk Anny torebkę. Zdumiałam się, po co mu ta torebka? Anna nie chciała jej oddać, on szarpał. Powiedział coś do niej, niedosłyszałam, i ona oddała tę torebkę, a Karol położył torebkę obok telefonu. Proszę pana, i wczoraj, wczoraj przypominałam sobie to wszystko i ta scena połączyła mi się ze słowami pana, że Ewę otruł ten, kto opuszczał jadalnię i nagle wydało mi się, że Karol specjalnie odebrał Annie torebkę, żeby ona później po tę torebkę wyszła. Kobieta przecież nie potrafi obyć się bez swojej torebki, zawsze musi ją mieć pod ręką — wzięła głęboki oddech, niczym tonący.

— Przyszedł dziś. Wyglądał okropnie. Był blady, aż szary na twarzy, ręce miał

obandażowane, a oczy nieruchome. Ale uśmiechał się, tylko że samymi ustami. Był grzeczny, miły, lecz ja się przestraszyłam — znowu wzięła głęboki oddech — bałam się go. Tych jego nieruchomych oczu. Tego uśmiechu. Zapytał mnie, po krótkiej, konwencjonalnej wymianie zdań, co widziałam i czego chciał prokurator, ponieważ wczoraj powiedziałam mu, że był pan u mnie. I nie wiem, skąd u mnie wzięła się ta przebiegłość, ale powiedziałam mu, że prokurator pytał głównie o torebkę Anny. I zobaczyłam, że to kupił, strzał był celny, ta scena w holu miała dla Karola istotne znaczenie. Wciąż się uśmiechał, pił herbatę i nagle zaczął mówić o tym, że jestem jedyną kobietą, na której nigdy się nie zawiódł, jedyną kobietą w jego życiu, którą autentycznie poważa i szanuje. Mówił o swoich tak długo tłumionych uczuciach dla mnie, o tym, że chciał być lojalny wobec Tadeusza, nie chciał rozbijać naszego małżeństwa, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo Tadeusz mnie kocha, mówił, że zawiódł się na Ewie, zawiódł się strasznie i że teraz zostałam mu tylko ja. Mówił, uśmiechał się samymi ustami, a ja, skamieniała ze strachu, obrzydzenia, do niego, do siebie samej, musiałam zmienić się na twarzy, bo on nagle przerwał i zapytał, co mi się stało. Milczałam, bo cóż mogłam powiedzieć? Że wiem o wszystkim? Że wiem na pewno, że to on otrul Ewę, zniszczył Annę, mojego męża. Tak, te raz otworzyły mi się oczy, zrozumiałam, że kochałam przez całe życie drania, kanalię i mordercę. Zrozumiałam, że mój mąż nie zniszczył swojego wynalazku, że to właśnie Karol mu go ukradł, a Tadeusz, najlepszy, lojalny przyjaciel, nie miał przed nim żadnych tajemnic. Ogarnęła mnie zgroza. Mówiłam, że nie wytrzymam i powiem mu wszystko, rzucę w twarz, ale milczałam i on milczał, przyglądał mi się uważnie, czujnie, długo to trwało, w końcu zapytał: „Co widziałaś?”. Oczy... do końca życia będę pamiętać jego oczy, dwie przepastne jamy, do których wpadałam bez ratunku... — urwała, oddychała ciężko, wyczerpana przeżywaniem po raz wtóry tej sceny. — Powtórzył pytanie. Nie wiem, skąd wzięłam w sobie tyle siły, ale nagle, niespodziewanie dla samej siebie, roześmiałam się i oznajmiłam, że to był tylko żart, nic więcej. Chciałam go widzieć i dlatego w ten sposób zmusiłam go do przyjścia. Śmiałam się i śmiałam, jak szalona. Powtarzałam, że to żart, żart, bo cóż mogłam zobaczyć, jeżeli cały czas siedziałam przy stole? Płakałam i śmiałam się, powtarzając, że to żart, że pozwolił się na mój żart nabrać jak sztubak. Uderzył mnie otwartą dłonią między oczy. Krew natychmiast puściła mi się nosem. Nazwał idiotką, wykręcił rękę i zapytał: „Co widziałaś?”. Zaczęłam płakać. Mówiłam mu, że sprawia mi ból, a ja go przecież kocham, wygadywałam same brednie. Powtórzył: „Ty idiotko”, puścił mnie i wyszedł. Czy... czy mogę prosić panów o trochę wody? Żabicki, milcząc, nalał jej wody sodowej. Wypiła łączywie.

— To już wszystko — powiedziała. — To ja już pójdę.

— Proszę odpocząć. Jest pani bardzo zdenerwowana. Każę panią odwieźć do domu — powiedział kapitan.

Lelicki wszedł ostrożnie, skradająco, czapkę miętosił w dłoniach, mrużył oczy i uśmiechał się głupkowato.

— Panie kapitanie... — zaczął.

— Niech pan siada — powiedział Żabicki.

Andrzej przyglądał się Lelickiemu z bolesnym zdumieniem. Tak go sobie co prawda wyobrażał: brudny, ubrany w podarte łachy, zarośnięty, ale sądził, że oczy Lelickiego będą młode, gorejące inteligencją, że ujrzy oblicze mistyka, fanatycznego mściciela. Tymczasem w twarzy Lelickiego nie dopatrywał się niczego wzniosłego czy uszlachetniającego. Jego twarz była brudna, zarośnięta ryzawym zarostem, miał oczy chyte, cwane, przebiegłe, głupawy uśmiech kretyna.

— Nazwisko? Imię?

— Panie kapitanie — zaczął Lelicki, wierząc się na krześle. Zna się na dystynkcjach, zanotował Andrzej. — Ale dlaczego? Za co? Nie pojmuję, oderwali mnie od roboty, jeszcze taki duży dywan został do wytrzepania...

— Imię? Nazwisko? — powtórzył ostro Żabicki.

— Tam napisane — ponuro powiedział Lelicki, pogrzebał w kieszeni kapoty, wyjął z niej zatłuszczony portfel, położył na biurko. — Tam dowód i tam napisane.

— Nazwisko?! — huknął Żabicki.

— Przecież pan kapitan wie, jak się nazywam — odparł ponuro Lelicki. — Tylko ja nie wiem, czego ode mnie chcecie.

— Pan wie doskonale.

— E tam... — wzruszył ramionami.

— Przyjechał pan do tego miasta pięć lat temu.

— A co, nie wolno?

— Od trzech lat przebywa pan u nas niezameldowany.

— Więc skierujcie mnie na kolegium. To kompetencje kolegium, nie milicji.

— O, zna się pan na prawie?

— Na czym się znam, to znam.

— Przyjechał pan tu pięć lat temu. Zaczął pan kręcić się na osiedlu Matejki, zwłaszcza na ulicy Lipowej, gdzie mieszka inżynier Karol Borowski. I tak się dziwnie złożyło, że akurat pięć lat temu zaczęły się pojawiać w willi Karola Borowskiego dziwaczne przesyłki: róże, żywe, czerwone róże, zawsze zaopatrzone w bilecik o następującej treści: Pamiętaj o Róży.

Lelicki uśmiechnął się pogardliwie.

— A wiem o tych różach. Wiem.

— Co pan wie?

— Sam je często zanosilem. Dawał mi za to dychę.

— Kto?

— Taki jeden. Miał może jakieś dziewiętnaście lat. Wzrost wysoki — głos Lelickiemu stęzał, oczy znieruchomiały, zapaliły się ogniem — gładki jak dziewczyna. Nawet zarostu jeszcze nie miał. Jeszcze się nie golił. Jego szukajcie — zaśmiał się. — Jego.

— Myśmy go już znaleźli, proszę pana — wtrącił Andrzej.

— Naprawdę? — zapytał Lelicki z przekąsem.

— Naprawdę — powiedział Andrzej. — Pan jest tym człowiekiem.

— Ja mam pięćdziesiąt dwa lata, a nie dziewiętnaście.

— Kiedy strzelano do pana, miał pan dziewiętnaście lat.

— Czego ten cywil chce ode mnie? — zwrócił się Lelicki do Żabickiego. — Czego w ogóle ode mnie chcecie? Szukajcie sobie tego dziewiętnastolatka, dawał

mi dyche, czasem dwie, to nosiłem te róże.

— Niech mnie pan uważnie wysłucha, panie Lelicki — po wtórnie zabrał głos Andrzej. — Opowiem panu pewną historię. Nie znam jej dokładnie, domyślam się tylko, ale sądzę, nawet jestem pewny, że ta historia wzbudzi pańską ciekawość. Stało się to trzydzieści trzy lata temu w radomszczańskich lasach. Stacjonował tam oddział bojowy pod dowództwem „Olgierda”. Dowódca był młody, ale zasłużony, otoczony podziwem, czczony jak bohater. W tym oto oddziale, panie Lelicki, znajdował się pewien chłopak, był wysoki, miał dziewiętnaście lat, już powinien się golić, ale ku swojemu strapieniu, policzki miał gładkie jak dziewczyna, i może stąd przyjął pseudonim „Róża”, taki infantylny, barwny pseudonim. Być może w stosunku do dowódcy był bardziej niż inni podejrzliwy i nieufny. W każdym razie dowódca, „Olgierd”, w wiele lat później napisze

0 Róży w swoim sekretnym pamiętniku: „Róża... nie lubiłem go od początku. Nie lubiłem jego podejrzliwego spojrzenia”.

1 napisze też w innym miejscu: „Nie powinienem był mnie podejrzewać, wtedy darowałbym ci śmierć szlachetniejszą...” Widzę, że słucha mnie pan z niezwykłą uwagą, panie Lelicki. Zbladł pan. Proszę więc słuchać dalej mojej historii. Otóż zbliżał się koniec wojny. Czy „Olgierd” zaczął się wtedy zachowywać mniej pewnie, inaczej? Czy czymś wyraźnym się zdradził? Co podejrzewał Róża? Może się męczył ze swoimi podejrzewaniem, bo nie miał dowodów, tylko domysły? Tymczasem oddział „Olgierda” urządził zasadzkę na niemieckiego generała. Podobno generał miał przewozić ważny plan operacyjny. Tak zeznał wzięty uprzednio przez „Olgierda” do niewoli niemiecki oficer łącznikowy. To jednak oddział wpadł w zasadzkę. Albo informacje oficera były niedokładne, albo ktoś zdradził. Czy Róża myślał o zdradzie, patrząc na pewną zagładę oddziału? Może dlatego odmówił dowódcy wykonania rozkazu, który kazał mu zabrać walizy generalskie i zanieść je do dowództwa? A może jeszcze nie domyślał się zdrady? To jedno wiedział na pewno: oddział był bez szans. Niemcy mieli tak znaczną przewagę, że nikt nie ocalał. Jak się jednak zachował naprawdę Róża? Tego nie wiem, ponieważ „Olgierd” później w swojej oficjalnej relacji napisał, że Róża stchórzył i skończył niktzemnie jak tchórz. Pod presją oddziału „Olgierd” podjął się sam dostarczyć dokumenty do dowództwa, co też zrobił, i od tamtej chwili żyje w glorii i chwale, jak bohater — Andrzej podszedł do przesłuchiwanego, pochylił się nad nim, poszukał oczu, ale oczy Lelickiego uderzyły go śmiertelną nienawiścią. — Tak, panie Lelicki, tak zostało na zawsze w dokumentach historycznych, że Róża okazał się tchórzem, ślinił się ze strachu i zebrał o życie wtedy, gdy jego przyjaciele ginęli. Chciał przeżyć za wszelką cenę... — urwał, cofnął się gwałtownie, bo Lelicki skoczył mu do gardła. — Spokojnie, Rózo, spokojnie — powiedział. — Spokojnie.

Lelicki znieruchomiał. Zwiś z krzesła.

— Rózo... — powiedział cicho Andrzej.

Cisza, brak odpowiedzi. f

— Rózo! — powtórzył Andrzej. Lelicki podniósł głowę.

— Strzelił mi w plecy — zachrypiał i drgnął, zwinął się, jakby ten strzał w plecy dopadł go znowu, raz jeszcze. — A kiedy upadłem, nie wiedząc, kto ani dlaczego strzelił mi w brzuch. Stał nade mną, śmiał się. Ta torba. Torba, którą niosłem,

otworzyła się. W mech, we wrzosy posypały się pieniądze. O jakich dokumentach mówicie? — jęknął rozpaczliwie, ścisnął oburącz głowę. — O jakich? Tam były pieniądze, dolary, same dolary rozsypały się po mnie, na brzuchu, na piersi, o jakich dokumentach mówicie? O jakich? Same dolary... wszędzie, na moich piersiach, na brzuchu, wokół mnie, wśród wrzosów i mchu... Stał nade mną, śmiał się. Chciał, żebym go błagał o litość. Pamiętam jego zęby. Pamiętam jego usta. Pamiętam jego oczy. Słyszę śmiech. Widzę język, który porusza się między białymi zębami. Pamiętam każde słowo, jakie powiedział. Nosilem to w sobie. „Proś o litość, wtedy zabiję cię od razu. Dam ci łaskę natychmiastowej śmierci, Rózo”. Śmiał się, błyskał zębami. Te wyspy w lesie, to on. Wydawał oddziały po oddziale na śmierć. Podejrzywałem go, tak. Nie ufałem, był dla mnie zbyt wspaniały. Oddziały wokoło nas wpadały w kotły, tylko nam się zawsze udawało wymknąć, bez strat, cudownie, zbyt cudownie. Wreszcie wydał swoich chłopców na śmierć, umierali za jego dolary. Jakie dokumenty, o czym wy mówicie? Tam tylko te dolary! — krzyknął Lelicki — walały się po moim brzuchu. Zaczął je ze mnie zdejmować, pospiesznie, gorączkowo, nie chciał, żeby je moja krew ubrudziła. Potem strzelił raz jeszcze i już ciemność. Długa, długa ciemność. W tej ciemności żyłem przez dziesięć lat. Znalaziono mnie we wsi odległej o piętnaście kilometrów. Jak się tam doczołgałem? Nie wiem, nie pamiętam i nie rozumiem dotąd, w jaki sposób potrafiłem nieprzytomny czołgać się, walczyć o życie. Myślał, że mnie zabił. Przez dziesięć lat nie wiedziałem, kim jestem ani jak się nazywam. Jakie dokumenty? — krzyknął. — Aż raz koń mnie sponiewierał. Pokopał. I skończyła się moja ciemność. Przypomniałem sobie wszystko. Błogosławiłem tego konia. Kochałem go za to, że mnie omal nie zabił. I poszedłem szukać swojego dowódcy. I znalazłem. A wy mi tu o dokumentach, o jego zasługach, to kłamstwo, kłamstwo!

— Były też i dokumenty. Ważne dla dowództwa plany operacyjne. On pracował na dwa fronty, Rózo — powiedział cicho Andrzej — i to też tam było.

Podsunał Lelickiemu reklamowe zdjęcie firmy Enpine. Lelicki krzyknął.

— Zna pan to zdjęcie? Patrzył na nie z przerażeniem.

— Wypadło z torby, którą niosłem. Razem z pieniędzmi. Pokazał mi to zdjęcie. Kazał mi je podziwiać. Powiedział, że za nie właśnie umieram. Za tę willę, za te róże wokół niej. „Zbuduję sobie taką samą, popatrz”, mówił, „otoczę różami, biel i czerwień, popatrz, to jest piękne, doskonałe”. Szukałem białej willi. Szukałem ogrodu z róż. Szukałem fontanny w kształcie delfina. Wiedziałem, że jeżeli on żyje, to sobie zbudował willę, zasadził róże, urządził fontannę. Zawsze był taki dokładny, skrupulatny, pedantyczny. Szukałem. Długo. Była biała willa, róże i fontanna. Wszystko jak na tym zdjęciu. Tak samo. Ale nie udało się. Przeszkodziliście mi!

— W czym? — zapytał Andrzej.

— Czekałem trzydzieści lat. Trzydzieści lat.

— Na co pan czekał, Rózo?

— Wczoraj. Wczoraj. Już go miałem. Już był mój. Cóż za radość widzieć, jak umiera ze strachu. Ten strach w jego oczach. Ślinił się, pocił. Gonił mnie, Różę, i uciekał przede mną, Różą. Bał się cienia ulicznej latarni, cienia drzewa. Upadł na

środku uliczki. Schował się pod parkan, płakał. Ze strachu. Zabić, to zbyt proste. Zbyt proste. Jakim prawem popsuliście mi ws^st-ko? Do was nie strzelał! Nie śmiał się wam w twarz! Nie mŁie do niego prawa! On jest mój, tylko mój!

Żabicki bardzo blady spojrzał pytająco na Andrzeja. An-drzej skinął głową, Żabicki nacisnął sygnał, w tej samej se-kundzie w drzwiach gabinetu zjawił się sierżant.

— Wyprowadzić — powiedział Żabicki stłumionym głó-sem. — I niech się nim zaopiekują natychmiast lekarze.

— Mój! — wołał Lelicki. — Mój! Wasza sprawiedliwość za-bije go tylko raz! Chcę, żeby umierał dziesiątki, setki razy! Słyszycie?!

*

Długo milczeli. Długo nie potrafili znaleźć odpowiednich słów.

— No cóż — powiedział wreszcie Andrzej — myślę, że już czas.

— Tak, najwyższy czas — powiedział Żabicki.

Była godzina piąta po południu. Milicyjne wozy wyciem silników naruszyły spokój eleganckiej, willowej uliczki.

Biała willa lśniła nieskazitelną bielą wśród rozbuchanej czerwieni róż. Nawet woda koło fontanny miała kolor czer-wieni.

SPIS TREŚCI

Rozdział 1	5
Rozdział 2	35
Rozdział 3	67
Rozdział 4	99
Rozdział 5	141
Rozdział 6	187
Rozdział 7	205
Rozdział 8	239

WYDAWNICTWO SKRZAT POLECA

KRYMINAŁ

Sidla Strachu

: OSTROWSKIEJ OKRESU PRL-U MISTRZOWSKIM STYLU

1

NA PV>DSTAWIE POWIEŚCI ZOSTAŁ NAKRĘCONY DWUNASTY ODCINEK
EBII KRYMINALNEJ 7 ZGŁOŚ SIĘ"